

Święty na straży

Leslie Charteris



calibre 0.9.27

Leslie Charteris

Święty na straży

(The Saint on Guard)

Przełożył: Janusz Pultyn

CZEŚĆ I

CZARNY RYNEK

I

Tytuł nowojorskiego World-Telegram zapowiadał:

ŚWIĘTY MA ROZNIEŚĆ CZARNY RYNEK IRYDU.

Treść artykułu niezbyt zasługiwała na taki nagłówek! Jego autor dość dokładnie przedstawił karierę i osiągnięcia Świętego, choć pisał tylko o ujawnionych tajemnicach.

Sam Święty oczywiście nie był zbyt skromny, ale w tym stuleciu obowiązuje nudne prawo: za opublikowanie niektórych faktów groziło mu wyładowanie w pudle, zaś Simon Templar spośród pudeł wybierał jedynie te, które zawierały butelki.

Dziennikarzom wystarczało jednak samo imię Świętego, by szafować farbą drukarską, a chyba nie było też i czytelnika, który uważałby, iż w tym miejscu znaleźć się mógł artykuł bardziej rozrywkowy i zajmujący.

Jedynym wyjątkiem był inspektor John Henry Fernack. Prawdopodobnie i on był poruszony, a może znajdował się pod wpływem adrenaliny, ale na pewno nie był rozbawiony, przeciwnie, wyglądał poważnie i ponuro. Styl licznych poprzednich spotkań i przygód Simona Templara spowodował, iż przeczuwał on nowy wybuch ostrzegawczego bólu w owej smutnej, mądrej i siwej głowie. Przeszedł z ulicy Centre aż do mieszkania Świętego w Algonquin, rzucił gazetę pod nos Simona i powiedział posepnie:

– Może zechcesz mi wytłumaczyć, co to znaczy? Święty spoglądał błękitnymi oczyma kpiąco i leniwie.

– Uważasz, że powinienem ci to przeczytać, czy też utknąłeś na trudniejszych słowach?

– Co wiesz o irydzie?

– Iryd – mówił Święty, jakby czytał w encyklopedii – to pierwiastek o masie

atomowej 193,1. Występuje w platynie, a w mniejszych ilościach w niektórych rodzajach rud żelaza i miedzi. W metalurgii stosowany zwykle razem z platyną, daje stopy o wielkiej twardości i wytrzymałości, nadające się do wyrobu połączeń elektrycznych i wiercenia dziur w głowach policjantów.

Fernack odetchnął głęboko i ostrożnie.

– A co wiesz o czarnym rynku irydu?

Simon przeciągnął dłonią po ciemnych włosach.

– Wiem, że jest. Musi być. To żadna tajemnica. Iryd należy do podstawowych metali w przemyśle zbrojeniowym, a jest bardzo rzadki – tak rzadki, że po Pearl Harbour jego cena skoczyła do około czterystu dolarów za uncję. Obecna cena urzędowa wynosi około sto siedemdziesiąt dolarów, czyli jakieś dwa tysiączki za funt. Jest to więc nadal, jeśli go posiadasz, bardzo drogi delikates. Ale nie możesz go mieć.

– Można go dostać, jeśli uzyska się odpowiedni priorytet.

– Wówczas rząd wyda ci licencję na zakup. Może dodadzą też licencję na kupno płetwonogiego jednorożca. Pozostanie jednak problem, trzeba go znaleźć.

– Co się stało więc z normalnym rynkiem?

– Nie mają irydu, tylko tyle. Nigdy nie występował w nadmiarze, a od boomu zbrojeniowego stał się tak pożądanym jak stek przez rozbitka. Kradzież zapasów w Tennessee sprzed miesiąca narobiła takich szkód, że zakładom lotniczym grozi przerwanie produkcji na pół roku. Nie napisano tego, ale takie są oceny.

Wspomniany przed chwilą wypadek zasłużył na osobne nagłówki. Ze względu na wielką zuchwałość rabunku, należało o nim pisać na pierwszych stronach gazet tym bardziej, że wartość łupu była porównywalna z największymi kradzieżami wszystkich czasów.

Trzy pokryte szkłem pojemniki proszku irydowego – zwykły sposób przewożenia tego metalu – leciały z Brazylii do laboratoriów Uttershaw Mining Company w Fort Wayne. W Miami zostały przeładowane po raz pierwszy z samolotu towarzystwa Pan American.

Drugi przeładunek nastąpił w Nashville w stanie Tennessee. Ponieważ dostawa została ubezpieczona na trzysta tysięcy dolarów, według aktualnej wartości, towarzystwo asekuracyjne, nie spodziewając się jakichkolwiek kłopotów, przysłało dwóch uzbrojonych strażników do nadzoru przeładunku w Nashville. Być może dlatego, że niezbyt doceniano wartość towaru. Dla większości ludzi iryd to tylko słowo, a nie klejnot czy sztabka złota, albo inne kosztowności. Może strażnicy byli niedbali czy znudzeni; może zastosowano tylko rutynowe środki ostrożności i nikt nie liczył się poważnie z groźbą napaści. W każdym razie skutki już mają wymiar historyczny.

Podczas wylądunku pojemnika z ciężkimi butlami na lotnisko wpadł samochód. Obu strażników zastrzelono, nim spostrzegli, co się dzieje. Pojemnik wrzucono do samochodu i napastnicy odjechali tak szybko, że nikt z obecnych nie zdołał się ruszyć.

Proste.

– Co wiesz o tej robocie? – spytał Fernack.

– Tylko to, co podały gazety.

– Uważasz, że skradziony iryd wylądował na czarnym rynku?

– Nie padnę ze zdziwienia, gdy tak będzie.

– Wtedy stanie się to rzeczywiście rynek złodziejski.

– Nie pora na żarty. Powinieneś sprawie skradzionego irydu nadać priorytet.

Rzecz w tym, że to rynek nielegalny.

– Ale jak poważny producent może kupować na takim rynku?

– Poważni producenci mają kontrakty rządowe. Chcą się z nich wywiązać ze względu na patriotyzm i zysk. Każdy skusi się na zakup, gdy będzie to jedyny sposób zdobycia podstawowych surowców. Jest bezpieczny, jak każdy współudział w przestępstwie, o którym wie jedna, a najwyżej dwie osoby w firmie. Iryd nie zajmuje wiele miejsca i łatwo go przenosić w ilościach stosowanych w przemyśle. Trudno też byłoby wysledzić odpowiedzialnych i udowodnić im cokolwiek. Zdobędą więc iryd, a żaden z robotników pracujących przy nim, nie będzie zadawać pytań, ani przejmować się pochodzeniem metalu myśląc, że jest on cały czas w magazynie.

– Jak załatwiliby kupno?

Święty wyciągnął leniwie długie nogi i zwrócił się uprzejmie do Fernacka.

– Henry, ta twoja ogromna chytrość i przebiegłość w rozmowie jest bardzo nudna.

Przypomina mi zachowanie się uczciwych graczy w nieuczciwej grze, którzy mówią sobie i innym, co posiadają.

– Ja nie...

– Ależ tak. Wiesz tyle, co inni o irydzie, o czarnym rynku, skąd się wziął i jak działa, ale zadajesz mi naiwne pytania oczekując, że zdradzę się z czymś, czego nie wiesz.

Marnujesz czas.

Niechętnie ci to mówię, kolego, ale tak jest.

Nieregularna, szczerą twarz detektywa lekko poczerwieniała.

– Chcę wiedzieć, kto cię namówił do umoczenia w tym palców.

– Nikt. Wpadłem na to podczas kąpieli.

– Jeśli jest coś w tej gadce o czarnym rynku, zajmą się tym...

– Wiem. Właściwe władze. Ile to już razy słyszałem tę formułkę?

– Istnieją władze, które zajmują się takimi sprawami – powiedział żarliwie Fernack.

Simon kiwnął głową z szacunkiem.

– Jakie?

Cierpienia Fernacka budziły współczucie. Palcem poprawił kołnierzyk i brnął z wdziękiem zdenerwowanego mamuta.

– No, różne, różne agencje. Współpracujemy z nimi...

– To doskonale – podchwycił Święty. – Gdy będziecie się skradać na wielkich, płaskich stopach, ja umoczę w tym paluszek i zobaczę, czy w czymś nie pomogę.

– Sądzisz, że pomożesz, gdy spróbujesz zrobić z kogoś głupka?

– Henry, zapewniam cię, że nigdy nie ośmieliłbym się poprawić... Detektyw stracił nerwy.

– W tym wywiadzie stwierdziłeś – wybuchnął – że zamierzasz sam zająć się tą sprawą, bo władze do tej pory najwidoczniej nic nie działały.

Simon przechylił głowę.

– Tak – przyznał – prawnik tak by ujął tę myśl.

– Nie możesz tego zrobić!

– Dlaczego?

– Bo, bo...

– Powiedz – poprosił niewinnie Simon. – Czy istnieje prawo zabraniające obywatelowi poprawiać grzeszny świat?

– W tym wywiadzie – ciągnął Fernack litanie – stwierdziłeś, że masz wtyczkę, dzięki której bardzo szybko osiągniesz rezultat.

– Stwierdziłem.

Fernack zmiażdżył gazetę w potężnych dłoniach.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedział z rozwagą – że jeśli posiadasz specjalne

informacje, to masz obowiązek współpracować z odpowiednimi instytucjami?

– Tak, Henry.

– A więc?

Fernack nie zamierzał w gruncie rzeczy strzelać z armaty, lecz niewzruszona flegma

Świętego tak podniosła mu ciśnienie krwi, że struny głosowe detektywa przekształciły się w katapultę.

Simon Templar wielkodusznie zrozumiał to i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Gdybym posiadał specjalne informacje, łatwo namówiłbyś mnie na spełnienie tego obowiązku.

Detektyw zastanowił się chwilę nim odpowiedział. Wyglądało to tak, jakby utracił ducha i poszukiwał nowego wsparcia, a gdy go znalazł, w wojowniczym tonie zabrzmiała lekka niepewność.

– Chcesz mi powiedzieć, że to tylko blef?

– Chcę ci powiedzieć.

– Naprawdę nic więcej nie wiesz?

Święty odłożył niedopałek i wyciągnął następnego papierosa z paczki leżącej w pobliżu.

– Ale – stwierdził łagodnie – ktoś, kto o tym nie wie, może łatwo wpaść na pomysł, że pora się mną zająć.

Fernack przyjrzał mu się spod gęstych brwi.

– Wystawiasz się jako przynęta? – stwierdził w końcu.

– Lubię cię, Henry. Jesteś taki bystry.

– A jeśli ktoś się złapie?

– Wtedy coś się stanie – powiedział Święty marzycielsko, a w Fernacku znów

zaczęło się gotować.

– Dlaczego? To nie twoja sprawa. – Simon wstał.

– To moja sprawa, ale dotyczy każdego. W czasie tej wojny produkowane są samoloty, czołgi i jeepy. Potrzebują one iskrowników i rozdzielaczy. Do iskrowników i rozdzielaczy konieczny jest iryd. Miliony biedaków płacą podatki, kupują obligacje i robią wszystko, by za niego zapłacić. Jeśli przez jakiegoś parszywego i kanciarza kosztować on będzie dwa razy więcej niż powinien, każdy dodatkowy cent pochodzić będzie z ofiary kogoś, kto myśli, że składa ją ojczyźnie. Jeśli wojenne plany produkcyjne załamają się z powodu braku surowca, gdy jest on najbardziej potrzebny; jeśli nie powstaną samoloty i czołgi z powodu braku jakiejś części, to wielu biednych, bezradnych chłopców wypruje flaki i umrze w błocie tylko dlatego, by jakiś oszust mógł sobie kupić większe cygaro i złapać następnego ptaszka do pozłacanej klatki. To moja sprawa i będzie moją.

Nagle stał się bardzo wysoki i mocny, a coś w jego zuchwałej i walecznej twarzy, która przypominała rysami oblicze konkwistadora sprawiło, że Fernack zamilkł na chwilę, nie znajdując żadnej sensownej odpowiedzi.

Stan ten trwał tylko przez chwilę; potem cała podejrzliwość i złość detektywa powróciła jako reakcja obronna, zdwojona przez uczucia doznane przed chwilą.

– Coś ci teraz powiem! Mam dość roboty w tym mieście bez jakiegoś Robin Hooda. Pomagałeś mi dawniej, ale wszystko co robiłeś, źle się dla mnie kończyło. Nie chcę tego więcej.

Nie pozwolę na więcej!

– A jak właściwie – zapytał z ciekawością Simon – zamierzasz mnie powstrzymać?

– Każę cię śledzić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każę obserwować to

miejsce.

Jeśli ktoś zbliży się do przynęty, będę o nim wiedział wszystko, nim się ci przedstawi.

– Bardzo będziesz zajęty – powiedział Święty.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny dokładnie trzydzieści osiem osób dzwoniło do Algonquin, prosząc o rozmowę z panem Templarem. Były krótko wypytywane i wracały do swoich zajęć, uważnie śledzone przez muskularnych, przejętych dżentelmenów. W korytarzach hotelu zastępowani byli jak kulki w dzieciennym bilardzie.

Potem komisarz policji osobiście zarządził przerwanie akcji.

– Może to i obiecujący trop, Fernack – powiedział zgryźliwie i kwaśno – ale nie mogę oddać ci do dyspozycji wszystkich rezerw policji, by śledzić każdego kontaktującego się z panem Templarem.

Święty, który właśnie wynajął w tym celu wszystkich swych gości, swoiście bawił się całym przedstawieniem.

Trwało to dopóty, dopóki nie otrzymał bardzo zwięzłego telefonu z Waszyngtonu.

– Hamilton – przedstawił się ktoś sucho. – Czytałem prasę. Sądzę, że wiesz co robisz.

– Próbuję tylko – odpowiedział Święty. – Chyba coś z tego wyjdzie.

Wyobrażał sobie różne możliwości, ale wątpliwe, by mógł przewidzieć Titanię Ourley.

II

Pani Ourley była potężną kobietą. Jej budowę zwano powściągliwie posągową. Miała wspaniale ufarbowane henną włosy, niesamowitą ilość jasnoniebieskich cieni na powiekach i paznokcie, które zawstydziłyby nawet geparda zaraz po krwawym polowaniu.

Oczywiście nie ona wybrała sobie imię, choć zostało ono proroczo jej dane. Jeśli nie była królową wróżek ze Snu nocy letniej Szekspira, to na pewno wyglądała jak w prostej linii żeński potomek tytanów.

Usadowiła się na najmniejszym wolnym krześle, które tak się zapadło, iż zdawało się, że jest jakimś cudem zawieszona osiemnaście cali nad podłogą. Potem przeszła Simona takim wzrokiem jak oskard, który wbija się w bryłę lodu.

– Jeśli chce się pan dowiedzieć wszystkiego o irydie – powiedziała – to opowiem panu o moim mężu.

Simon Templar łatwo dawał sobie radę z zapowiedziami nawet bardziej tajemniczymi.

Zaproponował papierosa. Pani Ourley odmówiła z lękiem, ale serdecznie. Przysiadł więc na brzegu stołu.

– Proszę mi opowiedzieć.

– Kupuje iryd na czarnym rynku. Słyszałam, gdy rozmawiał o tym z panem Linnetem.

Pod koniec zdania głos jej opadł, jakby myślami była już gdzie indziej. Oczy błędziły nadal, ale teraz po bardzo wąskim obszarze. Dość szybko straciła całą przebojowość. Nawet się zadumała.

– Czy lubi pan tańczyć? – spytała.

– Akceptuję taniec lub odrzucam – odparł ostrożnie Święty. – Kim jest pan Linnet?

– Zajmuje się interesami jak mój mąż. Wyrabia przedmioty elektryczne. Mój mąż jest oczywiście prezesem Towarzystwa Iskrowników Ourleya.

– Jej błyskawicznie łagodniejące oczy wędrowały badawczo po wysokiej, symetrycznej sylwetce Świętego.

– Nadawałby się pan znakomicie do rumby – powiedziała końcu.

Jedynie niedościgłe męstwo Świętego, doskonale znane wszystkim czytelnikom angielskich powieści na całym świecie, pozwoliło stawić czoło wstrząsającej czułości jej uśmiechu.

– Mam nadzieję, że nigdy pani nie rozczaruję – odparł dwuznacznie.

– Wracając do pani męża...

– A tak. Oczywiście. – Ostatnie słowo wymówiła pieszczotliwie. – Zużywa mnóstwo irydu. Nie bardzo się znam na jego interesach, są takie nudne, prawda? Ale to akurat wiem. Tym samym zajmuje się pan Linnet. Wczoraj wieczorem byliśmy na kolacji z panem Linnetem i – hmm, musiałam przypudrować nos.

– Naprawdę? Nawet pani to musi?

– Tak – odparła poważnie pani Ourley. – Gdy wróciłam, „usłyszałam przypadkowo o czym Milton, to mój mąż, rozmawia z panem Linnetem.

– Proszę dalej.

– Pan Linnet powiedział: „Nie wiem co robić. Muszę mieć iryd, aby wywiązać się z kontraktów, a rynek jest zamknięty. Nie podoba mi się to, ale zapędzili mnie do kąta.

Milton na to: „Nie wątpię. Kupisz go przepłacając, tak jak ja. Nie masz innego wyjścia.”

A pan Linnet:

„Dalej mi się to nie podoba.” Potem w holu zjawił się kelner. Nie mogłam zostać tam

dłużej, musiałam wejść na salę, a wtedy przestali o tym rozmawiać. Mówię panu, był to dla mnie straszny; I wstrząs.

– Oczywiście – przytaknął Simon ze współczuciem.

– Skoro Milton i pan Linnet kupują iryd nielegalnie, to stają się przestępcami, prawda?

Simon przyjrzał się jej uważnie.

– Naprawdę chce pani wsadzić męża do więzienia? – spytał bez ogródek.

– O Boże, nie! – była naprawdę urażona. – Dlatego przyszedłam do pana, a nie na policję czy do FBI. Gdyby Milton poszedł do więzienia, nie mogłabym spojrzeć przyjaciołom w oczy. Jako patriotka mam jednak obowiązki. Nie zaszkodzi mu, jeśli trochę go pan nastraszy.

Zasługuje na to. Ostatnio tak mnie zaniedbuje. Gdyby tylko pan słyszał, co powiedział do najmilszego chłopca, którego spotkałam w Miami Beach.

Święty pomyślał, że być może ubawiłby się tym, ale był na tyle taktowny, by o tym nie mówić.

– To trochę za mało, by mnie przekonać – powiedział. – Nie zbliża mnie też do czarnego rynku. Chciałbym jednak porozmawiać z pani mężem.

– Och, jeśli to się panu uda. Jest pan taaaki sprytny, na pewno zdoła go pan skłonić do mówienia.

– Spróbuję – powiedział niezobowiązująco. – Gdzie państwo mieszkacie?

– Mam małą działkę nad Oyster Bay. Milton jest w domu o wpół do siódmej. Gdyby się pan tam znalazł, może pan powiedzieć, że właśnie tamtędy przejeżdżał i wpadł na drinka.

– Proszę napomknąć, że spotkaliśmy się w Hawanie – dodał Święty – i wprowadzić

męża w odpowiedni nastrój.

Wyprawił ją za drzwi dzięki stanowczości i zręcznym manewrom, a po powrocie, dla uspokojenia nerwów, zażył leczniczą dawkę whisky.

Simon Templar, w życiu pełnym przygód, zetknął się bliżej z wieloma kobietami na całym świecie. Na szczęście o większości z nich każdy mężczyzna powiedziałby, że są takie, jakie powinny być prawdziwe kobiety, młode, ładne i trochę dzikie. Rozumiał jednak, że łaskawość losu skończy się prędzej czy później. Nie mógł więc, w żaden sposób, uniknąć Titanii Ourley, z jej niepociągającym wyglądem i groźnym wdziękiem. Tak bywa w dziwnej kramie przygód, w której wydeptał aż tyle ścieżek. Gdy nie wiadomo, gdzie jest zwierzyna, trzeba zastawić odpowiednią przynętę, co nie jest takie łatwe. Gdy jednak coś się złapie, należy wędką szarpnąć. A wtedy wszystko zależy od umiejętności wędkarskich.

Pani Ourley była niewątpliwie trudną sztuką.

Dojechał do Oyster Bay tuż po wpół do siódmej i po nieuniknionych spotkaniach z wiejskimi głupkami, jakałami i przyjezdnymi zdołał wreszcie trafić do małej działeczki pana Ourleya.

Ta skromna działka miała dom, stojący w środku parku, wielkości najwyżej sporego hotelu.

Zbliżając się do ogromnego, ozdobionego żelazem portalu, Simon spodziewał się ujrzeć za nim podwójny rząd lokajów w perukach, lecz zamiast nich w progu tkwiła jak zjawia pani Ourley, ubrana w opiętą suknię wieczorową bez ramiączek. W tym stroju jej górne partie podobne były trochę do hojnie nałożonych do wafelka lodów.

– Simon, drogi chłopcze! To cudowne, że o mnie pamiętałeś!

Chwyciła go za obie dłonie i wciągnęła do środka, niewątpliwie łudząc się, że

wywrze tym równie piorunujące wrażenie, jakie wywarła Mary Martin w ostatnim filmie.

Znalazł się w olbrzymiej, nibyrycerskiej sieni pełnej niezgrabnych draperii i połączanych mebli, o powietrzu tak przesyconym perfumami, że mogły wznosić się w nim papierowe samoloty. Gdy pani Ourley przycisnęła go do łona, poczuł wyraźnie, że to z niej tryska obficie źródło tej wonnej zupy.

– Właśnie przejeżdżałem – zaczął Simon zgodnie z planem – i...

– I oczywiście musiałeś wpaść! Wiedziałam, że nie zdołasz zapomnieć.

– Dabby dab, co tu się dzieje? – huknął nagle w tyle gniewny głos.

Pani Ourley odskoczyła z piskiem, a Simon odwrócił się i spojrzał na pana Ourleya z takim opanowaniem, na jakie pozwalało, wzbudzające zazdrość, zachowanie jego żony.

– Dobry wieczór – powiedział uprzejmie.

Zobaczył bardzo niskiego mężczyznę o niezwykle szerokich ramionach i jeszcze wydatniejszym brzuchu opiętym sztywnym gorsem białej koszuli. W grubych owłosionych palcach trzymał przygryzione gwałtownie cygaro, a czarne krzaczaste brwi unosiły się i opadały z wielkiego rozdrażnienia.

– Tiny! – ryknął na żonę tak głośno, że nawet Święty musiał mrugnąć. – Mówiłem ci, że nie chcę kontrolować twoich wyjazdów przyjazdów, ale nie pozwolę, byś sprowadzała swych fagasów do go domu!

Pani Ourley natychmiast się opanowała.

– Ale to nie jest... Prosiłam go, by wpadł.

– Sama przyznałaś – zagrzmiał Milton Ourley. – Cóż, po raz ostatni...

– Miltonie – zaprotestowała zimno – to pan Templar. Simon Templar. No, wiesz – Święty.

– Na Jozafata! – ryknął pan Ourley. – Kto?

Simon odwrócił się od gobelinu z Beauvais, który zaczął oglądać podczas

pierwszych, ekstatycznych objawów szału bojowego.

– Święty – powiedział mile. – Jak się pan ma?

– Dabby dab dab dab – odparł pan Ourley. Nowy napływ adrenaliny do krwi sprawił, że nadał się wewnątrznie, jeszcze bardziej niż zwykle, jak wojownicza ropucha.

– Tiny, czyś oszalała, żeby zapraszać tego kanciarza, tego, tego intryganta.

– Miltonie – wtrąciła się lodowato pani Ourley – słyszałam, jak wczoraj wieczorem rozmawiałeś z panem Linnetem o irydzie. A ponieważ Simon próbuje rozprawić się z tą bandą, pomyślałam, że dobrze będzie, jak się spotkacie.

Milton Ourley wpatrywał się w Świętego, a jego szeroka pierś zapadła się niemal dwukrotnie.

Mogło to być tylko złudzenie, bo na swych krótkich i grubych nogach stał tak mocno jak wykuty kolos. Na pewno nie zachwiał się, a wzrok nie stracił nic z wojowniczości.

Był już jednak spokojniejszy, a może rozważniejszy.

– Naprawdę? – rzucił.

Święty wyciągnął papierosa z paczki, którą trzymał w kieszeni na piersi. Ze swej strony zrobił wszystko co mógł. Dał Titanii Ourley dość wskazówek, a skoro w obronie wycofała się do najprostszych faktów, nie było sensu, by martwić się nad straconymi możliwościami. Simon przestawił się na improwizację, która rokowała pewną nadzieję i obdarzył pana Ourleya szczerym uśmiechem, a nonszalancja nie dopuszczała najmniejszej niepewności.

– Widzi pan? – mruknął. – Tiny jest nie tylko piękna, ale i mądra. Czerwona twarz Ourleya spurpurowiała ponownie.

– Proszę zostawić moją żonę! – zahuczał. – I niech się pan wynosi w tej chwili, panie

Templar. Nie ma pan jeszcze praw, żeby wtrącać się w sprawy innych ludzi.

– Słyszał pan, jak mnie nazywają – odparł łagodnie Simon. – Czy Święty prosi o prawo?

– I okazuje się świętym tam, gdzie ja byłbym diabłem – rozległ się sieni inny, głęboki i kulturalny głos.

Simon odwrócił się w tę stronę.

W drzwiach ujrzał wysoką, szczupłą postać, na której strój wieczorowy leżał idealnie, uśmiechniętą, ze szklanką alkoholu w wypielęgnowanej dłoni. Mężczyzna ten, mimo szpakowatych skroni, twarz miał mocną, niemal bez zmarszczek, z orlimi rysami jak u indiańskiego wodza.

– Nie chciałbym się wtrącać, ale całe to zamieszanie jest nie na miejscu. – Nie zwracając uwagi na Ourleya podszedł do Simona z wyciągniętą ręką.

– Dużo o panu słyszałem. Nazywam się Allen Uttershaw. Przyszło mi kierować Uttershaw Mining Company. Ktoś tu mówił o irydzie. Zamierza pan odzyskać skradziony ładunek?

– Nie wiem – odparł Święty. – Niestety, dowiedziałem się o sprawie dopiero kilka dni temu.

– „Wiele kwiatów rośnie po to, by nikt nie widział, kiedy zakwitną” – powiedział sentencjonalnie Uttershaw i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Zdenerwowany Ourley machnął cygarem.

– Co to znaczy? – burknął. – Kto to powiedział?

– John Kieran – odpowiedział z powagą Uttershaw; Simon spojrzał na niego z ciekawością.

Zanosi się na to, że Allen Uttershaw jest niezłym facetem.

Pana Ourleya nie stać było na równie czysto intelektualne podejście. Powtórzył swój wściekły gest wśród kłębow dymu.

– Dabby dab dab dab! – ryknął. – Czy wszyscy zwariowali? – Najpierw żona sprowadziła tego szpicla, by niuchał w moim domu, teraz ty zaczynasz deklamować.

A może to ja oszalałem.

– Miltonie! – powiedziała stanowczo pani Ourley.

Uttershaw wziął Simona pod ramię i ruszył z nim w stronę salonu, z którego właśnie wyszedł.

– Miltonie, wstyd mi za ciebie – powiedział. – Cóż sobie pan Templar pomyśli o twojej gościnności?

– Nie dbam, dab dab, co sobie pomyśli – prychnął Ourley, drepząc bezradnie za nimi. – Moja gościnność nie polega na przyjmowaniu z otwartymi ramionami kanciarzy i szpicli.

– No, przecież pan Templar na pewno sam skorzysta z możliwości powiedzenia czegoś. – Uttershaw odwrócił się w stronę tacy z mikserem i rzędem szklaneczek. –

Napije się pan czegoś, panie Templar?

– Dziękuję – odparł Święty równie wytwornie.

Wziął wręczoną mu przez Uttershawa szklaneczkę, zajrzał do niej i znów Spoglądał zimnymi, niebieskimi oczami na twarze obu mężczyzn.

– Niezupełnie przyszedłem tu węszyć – powiedział szczerze. – Właściwie przybyłem tu przypadkowo. Ale po tym, co opowiedziała mi pani Ourley, bardzo pragnę porozmawiać z panem, panie Ourley. Jak pan wie, interesuje mnie iryd, a prawdopodobnie ma pan kontakty z czarnym rynkiem. Może zechce mi je pan zdradzić.

– Moja żona to nieodpowiedzialna idiotka – powiedział ponuro Ourley. – A ja jestem

przedsiębiorcą, mam zamówienia i je wypełniam.

– Każdy kto kupuje na czarnym rynku, popełnia oczywiście wykroczenie – ciągnął Simon niewzruszenie. – Ale w tym przypadku chodzi o coś więcej. Iryd nie jest tak pospolity, by czarny rynek obracał jedynie odzyskami ze złomu. A pan Uttershaw na pewno nie zapomniał o ostatnim rabunku, podczas którego zginęło dwoje ludzi. Jest dla mnie oczywiste, że przynajmniej część czarnorynkowego irydu pochodzi ze skradzionej dostawy, która wpierv spowodowała jego niedobór. W tym przypadku każdy, kto kupuje go, jest nie tylko paserem, ale też w pewnym sensie współwinnym morderstwa.

– Bzdury – wybuchnął Ourley. – Co pan zrobi, gdy się czegoś dowie? Przekáže informacje posterunkowym, czy wykorzysta dla siebie?

– Miltonie! – powtórzyła pani Ourley, zamierając od falującego biustu do szkarłatnych paznokci stóp, wystających z wieczorowych sandałów.

– Zważywszy na moją reputację, pytanie jest nie na miejscu – odparł spokojnie Simon. – A odpowiedź brzmi: każdy fakt wykorzystam w taki sposób, który według mnie przyniesie największy pożytek.

– Dobra – prychnął Ourley – w takim razie byłbym, daby daby, idiotą do siedemdziesiątej siódmej potęgi, gdybym cokolwiek panu powiedział. To znaczy, gdybym cokolwiek wiedział – dorzucił z pośpiechem.

Spojrzenie Simona było beznamiętne.

– Czy to samo powiedziałby pan policji lub FBI?

– Masz pan, daby daby, rację. Mój interes należy do mnie, chyba, i ci, daby daby, goście od Nowego Ładu zabiorą jego resztki.

Uttershaw podszedł ze złotą zapalniczką do Świętego, który trzymał nadal w palcach niezapalonego papierosa.

– Miltonie, czy wiesz coś o tym czarnym rynku irydu? – zapytał badawczo.

Usta Ourleya otwarły się, a potem zamknęły jak pułapka, nim wydobyło się z nich kilka słów.

– Nie mam żadnych informacji do przekazania – powiedział – zwłaszcza dla wścibskich daby dabów jak ten. Na tym koniec.

– Pytałem tylko dlatego – powiedział łagodnie Uttershaw – bo sam jestem zainteresowany.

Oczywiście ubezpieczyłem tę dostawę irydu, ale nie mogłem ubezpieczyć należnego mi zysku, który byłby całkiem spory. A przecież wszyscy musimy z czegoś żyć. Nie mogę też pogodzić się z myślą, że jacyś oszuści czerpią krociowe zyski, gdy sam poprzestaję na umiarkowanych.

Osobiście życzę panu Templarowi wiele szczęścia. Pewny też jestem, że poprze go rząd.

– Nie mów mi o rządzie! – zagrzemiał Ourley, jego twarz znów posiniała – Chcę też wiedzieć, jakim prawem wścibski syn dab blaba jak ten Templar, wtyka swój nos w moje sprawy, napastuje mi żonę i nachodzi w domu. Chcę też, by się stąd wyniósł!

– „Orzeł pozwala śpiewać drobnym ptaszkom” – przypomniał mu uspokajająco Uttershaw, a Ourley wybałuszył oczy.

– Chcę, by wszyscy przestali zasypywać mnie cytatami – jęknął głośno. – Kto to powiedział?

– Clifton Fadiman, a może FPA? – odparł pogodnie Uttershaw. Simon Templar opróżnił i odstawił niską szklaneczkę. Jasne było, że tu i teraz nie posunie się ani trochę, a przynętę zarzucił na drugiej jeszcze wędce, może z tą, lepiej mu się poszczęści. Myśląc o tym, pochylił głowę z odrobiną przesadnej uprzejmości nad dłonią pani Ourley. Dłoń

skrzyła się od brylantów.

– Chętnie znów się z tobą spotkam, Tiny – powiedział i dorzucił ze złościwością, która uchroniła go od ciarek. – Może w najbliższym czasie zatańczymy tę niezapomnianą rumbę. – Kiwnął głową prychnącemu panu Ourleyowi. – Mam nadzieję, że to jeszcze przemyślisz, Miltonie, naprawdę więzienny wikt tak wyszczupła.

Uścisnął dłoń Uttershawa.

– Jeśli dowie się pan czegoś w swych kręgach, jestem w Algonquin. Może wtedy zjemy razem obiad.

– Chętnie – powiedział serdecznie Uttershaw. – Chciałbym też wiedzieć, dlaczego zadaje pan sobie tyle trudu.

Simon odwrócił się jeszcze od drzwi. Nie znosił bowiem niektórych drobnych dotknięć i osłonek.

– Śpiewam, bo muszę – powiedział miękko i wyszedł.

Słyszeli jak jego samochód ruszył na podjeździe, a potem w pokoju na długo zapadła cisza.

Pierwszy odzyskał głos Milton Ourley.

– Co to było, daby dab? – zaskowyczał. – Wygląda na to, że i on deklamował.

Wszystkich do tego skłoniłeś. Co to miało znaczyć?

Allen Uttershaw uniósł szklankę i obracał ją z namysłem.

– „Śpiewam, bo muszę” – powtórzył. Przez chwilę jego przystojne, kościste czoło zachmurzyło się, gdy myślał, potem rozjaśniło się na chwilę. – „I gram na kobzie, ale śpiewam jak makolągwa...”

Zamilkł, a jego jasne i szare oczy błędziły po przekrwionej twarzy Ourleya.

III

Według książki telefonicznej Manhattanu Gabriel Linnet mieszkał tuż przy Madison Avenue w okolicy ulicy Sześćdziesiątej. Jak się okazało, w dwupiętrowym domu z białego kamienia, który wyglądał zamożnie. Różnił się całkowicie stylem od pałacu Ourleya, lecz mieszkańcy obu mieli chyba podobną łatwość w wydawaniu pieniędzy. Gdy Simon zatrzymał przed białym domem samochód, nie spostrzegł w oknach żadnego światła, lecz mogło to wynikać z tego, że zaciemniające zasłony zostały zaciągnięte. Gdy wysiadł z wozu dojrzał jednak jakieś światełko, iskierkę przypominającą świetlika, unoszącego się przy wejściu nad niewyraźnym, szarym kształtem w mroku. Na schodach kształt okazał się dziewczyną, otuloną gronostajowym futrem, siedzącą na kamiennej balustradzie przy drzwiach frontowych, a świetlik papierosem w jej dłoni. Bardzo słaba woń perfum, która nie mogła się równać z otepiającymi oparami otaczającymi panią Ourley, doszła do nozdrzy Simona, a gdy podszedł bliżej wywołało to w jego umyśle trochę dziwne podniecenie.

Udając, że szuka dzwonka, wyciągnął z kieszeni maleńką latarkę i ze specjalną niezgrabnością przesunął światłem po twarzy nieznajomej.

Taki przynajmniej miał zamiar, lecz kiedy ujrzał bardzo piękną dziewczynę wstrzymał dłoń.

Nie mógł się ruszyć, czuł się jak pszczołka, która utkwiała na świeżo rozwiniętym kwiatku.

Nieznajoma miała długie, kruczoczarne włosy, lśniące jak rozpalony i tego samego koloru oczy o długich rzęsach. Jej twarz tworzyła doskonały owal w kształcie oliwki, z dojrzałymi, wilgotnymi ustami, tylko one mogły być dostatecznym bodźcem dla poetów i ich poematów. O czymś takim marzy rozbitek na bezludnej wyspie, nim

zaczyna rozmawiać z mewami.

Święty powinien być pochłonięty wyłącznie swym zadaniem, lecz daleko mu było do takich głębin ascezy. Nieznajoma miała w sobie tyle kobiecości, wszystko to, czego brakowało Titanii Ourley, że nie potrafił określić, jak długo się jej przyglądał. Ona odezwała się pierwsza.

– Już pan skończył? – spytała lodowato, a jej głos tak pasował do wyglądu, że ta nagana była mu miłsza, niż zachęta większości innych kobiet.

Święty obniżył światło na tyle, by nie padało jej w oczy. Widzieli się jednak nawzajem. Sam powiedział cicho i zuchwale:

Piękna Barbara Wychwalana lutnią i piórem;

Ma włosy jak letnia noc, Ciemne i pożądane przez mężczyzn...

Przez kilka chwil siedziała w całkowitym milczeniu. Potem zapytała.

– Skąd pan wie, że mam na imię Barbara?

– Nie wiedziałem – odparł. – Właśnie wracam ze zgaduj – zgaduli dla dzieci, gdzie atakowano mnie cytatami. Ma pani na imię Barbara?

– Barbara Sinclair.

– To śliczne imię.

– Gdy już to ustaliliśmy – powiedziała – dlaczego nie idzie pan dalej? Czy nie widać, że jestem zajęta?

– Ja też – odparł Święty. – Proszę nie odchodzić. Zaraz wracam. Oświetlił frontowe drzwi szukając dzwonka.

– Marnuje pan czas – powiedziała. – Nie ma tam nikogo. Zdjął palec z dzwonka i usiadł na przeciwległej balustradzie.

– Z jakiegoś powodu – mruknął – staje się to coraz mniej ważne.

– Jestem tu od pół godziny – powiedziała.

– Takie jest życie. Nie trzymałbym pani przed moimi drzwiami przez pół godziny.

– Nie musi mnie pan trzymać przed żadnymi drzwiami przez pół godziny.

Po chwili wyciągnął papierosa, zapalił i postanowił nie tracić czasu.

– Sądzę – rzucił beztrosko – że nie sugeruje pani, że moglibyśmy stąd pójść, napić się i coś przegryźć.

– Nie – odpowiedziała. – Ale mężczyzna z samochodem to obecnie wielka pokusa.

Co z pana przydziałami na benzynę?

– Bardzo obfite – powiedział. – Co z pani sumieniem?

Wstała i wyrzuciła świetlika na ulicę ostatnim błyszczącym łukiem.

– Głoduje.

Jechał na południe w stronę Madison, zastanawiając się, gdzie j spędzić tę olśniewającą godzinę, a ona siedziała przy nim na blisko, że czuł ją swym ramieniem, a w powietrzu, którym oddychał, lekką, acz zdradziecką jej słodycz.

Potem znaleźli się w restauracji, wysoko, w narożnej loży nad światłami Manhattanu.

Były tam świece na stolikach, łagodna muzyka, ostrygi, zielona zupa żółwiowa i fascynująco niezobowiązująca pogawędka. Gdy gronostajowa narzutka spoczęła na oparciu krzesła, okazało się, że figura Barbary na pewno dorównuje jej twarzy. Nadszedł czas na coq au vin i butelkę burgunda oraz nowe pogwarki. Czas mijał bardzo szybko i nic się nie działo.

Wreszcie Święty zapalił papierosa, wyciągnął z zadowoleniem nogi i powiedział:

– Ze wszystkiego, co mogło mnie dziś spotkać, pani jest największą niespodzianką, i wydaje mi się, że pani nieźle się tym bawi. Dlaczego czekała pani na schodach towarzysza Linneta?

– To moja sprawa – odparła. Westchnął.

– Mogłem się domyśleć. Jest pani o wiele za piękna, by chodzić samotnie.

– Zamierza, mnie pan rozczarować? – spytała kpiąco. – Uważałam Świętego za awanturnika, za mężczyznę biorącego, co chce i nie zwracającego uwagi na pozory.

Simon trzymał w dłoni ostatnią lampkę wina, zbliżył ją do świecy, ciesząc się klarownością i intensywnością barwy. Gdy odstawił napój był on nadal w kieliszku gładki i nieporuszony, jakby zamrożony.

– Skąd pani mnie zna?

– Ze zdjęcia we wczorajszej gazecie – powiedziała lekko – któż pana nie zna?

– Wiedziała pani od początku?

– Oczywiście – obdarzyła go przelotnym uśmiechem z leciutkim zakłopotaniem. –

Proszę się rozchmurzyć. Czy powiedziałam coś niewłaściwego? Nie poluję na osobistości.

Nie dlatego przyszedłam tu z panem. Chciałam tego.

– Byłem po prostu trochę zaskoczony – powiedział. Wyjrzała przez okno na niezaćmione przez światła gwiazdy, potem zapytała nie patrząc mu w twarz:

– Czy nie moglibyśmy już wyjść? Może ma pan tu gdzieś mieszkanie? Ja mam.

I radio.

Kupię drinka, złapiemy jakąś muzyczkę i pogadamy o życiu.

Sięgnął powoli po papierosa.

– To byłoby wspaniale – powiedział, a Barbara ponownie spojrzała na niego.

– Muszę zadzwonić i odwołać inne spotkanie – powiedziała z uśmiechem. – To nie potrwa długo.

Wstał, gdy odchodziła od stolika, potem usiadł zamyślony, podpierając się ręką

z papierosem.

Trwał tak przez trzy długie, leniwe zaciągnięcia. Po czym wstał i wyszedł bez pośpiechu z restauracji.

Minął bar, toaletę dla panów, szatniarkę. Obok winda wchłaniała grupę zadowolonych gości.

Na pozór przypadkowo wsunął się do niej, deptając po piętach ostatniego wchodzącego, i z zatykającą uszy prędkością zjechał na ulicę.

Po dziesięciu minutach znalazł się ponownie na schodach domu Gabriela Linneta.

Tym razem nacisnął dzwonek.

Zadzwonił dwa, trzy razy, lecz bez skutku.

Było tak cicho, że słyszał własny puls. Pustkę domu można było bardzo łatwo wytłumaczyć, ale Linnet poprzedniego wieczoru jadł kolację z Ourleyami. Gdyby zamierzał zamknąć dom i gdzieś wyjechać, pani Ourley na pewno by o tym wspomniała. I jeśli Linnet nie jest dziwakiem, który lubi sam zamiatać podłogi i zmywać naczynia, to o tej porze w tak dużym domu powinna być jakaś służba.

A Barbara Sinclair była oczywiście zbyt wspaniała, by być prawdziwą...

Święty zastanawiał się, czy będzie miał kłopoty. Musi to jednak sprawdzić.

Wyjął szpilkę z klapy płaszcza, zablokował nią przycisk, tak iż dzwonek dźwięczał ciągle, i zszedł na chodnik. Wyłamywanie drzwi od ulicy byłoby trudne. Nie jest to też najlepszy sposób.

Zdążył już jednak zauważyć wąski zaułek, biegnący między zamkiem Linneta a sąsiednim domem. Jeśli nie ma w nim bocznego wejścia, to po cóż innego by tu był?

Boczne wejście, jak większość podobnych drzwi „było mniej kłopotliwe niż frontowe.

Świecąc ukrytą w dłoniach latarką, Święty obejrzał zamek.

W tej chwili drzwi zaczęły się powoli otwierać. Ruch był tak lekki i nieznaczny, że nie zauważył go od razu. – W pierwszej chwili mógł nawet wydać się złudzeniem wywołanym latarką. Spostrzegł go, najpierw nieświadomie, gdy ciągłe brzęczenie dzwonka dobiegające z wnętrza budynku, stało się nagle bliższe i głośniejsze.

Jednocześnie mózg musiał uznać świadectwo oczu i zsumować obie te rzeczy. Drzwi uchyliły się już szerzej niż na cal. Przeszło go mrowie, jakby stadko nieuchwytnych karaluchów ruszyło od jego łopatek ku korzonkom włosów.

Ktoś od środka otwierał drzwi.

Nie miał czasu zgasić latarki i się schować, nawet gdyby było gdzie. Światło musiało być już doskonale widoczne ze środka. Jakby na potwierdzenie drzwi zaczęły się teraz zamykać.

W tejże chwili Simon naparł na nie ramieniem z całą siłą.

Drzwi cofnęły się o jakieś sześć cali i uderzyły dość gwałtownie w przeszkodę, która wydała cienki, piskliwy charkot. Dalej posuwały się już wolniej, a za nimi coś cicho upadło.

Simon wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, jednocześnie omiatając wszystko światłem latarki.

Ujrzał nieduże schodki z rozłożoną przed nimi przeszkodą. Leżał tu szczupły mężczyzna, o zapadłych policzkach nie golonych od dwóch dni. Chwila nie była jednak odpowiednia, żeby o tym mówić, bo człowiek ten nie nadawał się zbytnio do rozmowy.

Przez jego czoło biegło pionowe skaleczenie, pozostawione przez krawędź drzwi.

Wyglądało, że nie jest zainteresowany pogawędką.

Simon zatroszczył się również o jego przyszłe niezaangażowanie. Związał mu nogi krawatem, ręce za plecami spętał jego własnymi sznurowadłami.

Potem szybko wszedł do domu.

Minął wielką kuchnię, kilka spizarek i wspiął się po schodach na piętro. Znalazł się przed frontowymi drzwiami w pustej, lecz zasłanej dywanem sieni. Nad głową świeciła mu onyksowa czara. Zgasił latarkę.

Nie potrzebował dodatkowego światła, by ujrzeć narysowany kredą na drzwiach po prawej stronie niewyraźny zarys postaci zwieńczonej symboliczną aureolą.

– Cóż za osobliwa kreska – powiedział Święty do siebie, ale nie uśmiechał się przy tym.

Drzwi były uchylone. Otworzył je nogą i wszedł do pokoju. Była tu konwencjonalna biblioteka z wbudowanymi w ściany regałami, ciepłymi boazeriami i głębokimi, wygodnymi fotelami. Wszystko to zgrabnie kiedyś zaprojektował dekorator wnętrz.

Szkoda, że i o tym nie można było porozmawiać z osobą, która w normalnych warunkach byłaby najlepszym informatorem. Stało się jednak jasne, że co najmniej jedna makolągwa nigdy już nie zaklaska i nie zaśpiewa.

Oprócz zwykłego prawdopodobieństwa wskazywały na to inicjały G.L. wyszyte na kieszonce podomki z ciemnego brokatu, którą mężczyzna zdążył założyć na smokingową koszulę i spodnie.

Ale teraz leżał na środku pokoju w pozie dziwnego odprężenia. Sznur otaczający jego szyję zaciśnięty był tak mocno, że niemal utonął w ciele.

Simon Templar, myśląc ponuro o sobie jak o mordercy, bardzo ostrożnie zapalił papierosa.

Stał przyglądając się zwłokom przez kilka minut.

Przez cały ten czas dzwonek dźwięczał niestrudzenie i monotennie.

Aż nagle umilkł. Potem rozległy się trzy czy cztery nieregularne, stanowcze zgrzyty,

których źródłem mogło być tylko czyjeś działanie od zewnątrz.

Święty ożył, jakby nigdy nie zamierał, jakby wszystkie te chwile głębokich, posępnych myśli były jedynie przerwą między zatrzymaniem projektora i ponownym jego uruchomieniem. W jednej chwili zgasił światło i podszedł do okna. Odsunął odrobinę zasłonę, wyjrzał na zewnątrz i stwierdził, że nie musi powracać do bocznych drzwi. Był gorącym zwolennikiem oszczędzania sił i zawsze w mgnieniu oka potrafił ocenić, kiedy pójda one na marne.

Zapalił ponownie światła w bibliotece, wyszedł do sieni i otworzył drzwi frontowe z rozbrajającą dobroduszością.

– Hej, wejdz, Johnie Henry – powiedział. – Zobacz i działaj. Ktoś próbował zrobić mnie w morderstwo.

IV

W wejściu inspektora Fernacka nie było podobnej jowialności. Szedł ociężale w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy po cywilnemu, którzy sunęli za nim jak para tresowanych psów. Jego mocna twarz, o kwadratowej szczęce, była nieustępliwa. Twardy wzrok uderzył Świętego jak pięść. Inspektor rozejrzał się szybko i dostrzegł dziecięcy rysunek na drzwiach biblioteki. Mina mu skamieniała.

– Zatrzymać go tutaj – rzucił i wszedł do pokoju.

Wynurzył się z niego po kilku minutach i wyglądał o kilka lat starzej. Zwrócił się do jednego ze swych ludzi.

– Przeszukaliście go?

– Tak jest. Nie ma broni.

– Wyjdź i zadzwoń do wydziału zabójstw. Lepiej w tym domu nie używać telefonów.

Al, idź na górę i sprawdź inne pokoje, ale niczego nie dotykaj.

Obaj wyszli, a Simon poprawił ubranie przywracając zwykły elegancki wygląd, który utracił po brutalnym przeszukaniu. Nigdy nie wyglądał na spokojniejszego i bardziej dobrodusznego, jakby nie przyszło mu nawet do głowy, że jakieś podejrzenia mogą rzucić cień na jego nieskalaną uczciwość.

– Gładka robótka, prawda? – rzucił uprzejmie.

Fernack spojrział na niego z dziwnym smutkiem.

– Gdybym sam tego nie widział, nie uwierzyłbym. Simon, na miłość Boską, po co to zrobiłeś?

Święty uniósł ze zdziwienia brwi, jakby porażony niespodziewaną szczerością.

– Henry – czyżby w twej miłej, pocziwej głowie zaległa się szaleńcza myśl, że

naprawdę zatrąbiłem w róg Gabriela?

– Między nami – powiedział łagodniej Fernack – miałem nieuzasadnioną nadzieję, że cynk jest fałszywy. Powinienem być jednak wiedzieć, że kiedyś do tego dojdzie.

– Wiesz, że próbowano już mnie wrabiać.

– Nigdy nie widziałem tak nieodparty ch dowodów przeciwko tobie.

Simon strzepnął popiół z papierosa.

– Oczywiście był donos – rzucił ospale. – Jak go dostałeś?

– Telefonicznie.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Mężczyzna.

– Nazwisko i adres?

Fernack odetchnął głębiej.

– Nie znam.

– Sam z nim rozmawiałeś?

– Tak. Prosił o to.

– Dlaczego?

– To się zdarza. Ponadto pisano nieraz, że mam z tobą coś wspólnego.

– Sława to wspaniała rzecz – powiedział Święty. – A co ten twój anonimowy wielbiciel miał do powiedzenia?

– Powiedział: „Mijałem dom pana Linnetta na Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej

Ulicy i zobaczyłem, że ktoś się włamuje. Mężczyzna bardzo przypominał tego Świętego ze zdjęć. W pierwszej chwili go nie poznałem, ale gdy zawróciłem, usłyszałem w domu jakby odgłosy walki.”

Simon przytaknął kilka razy z wielką powagą.

– Widzę, że nie powinienem lekceważyć twoich wielbicieli – ciągnął wolno. – To bardzo utalentowani ludzie. Idąc jakąś ulicą miasta wiedzą, czyj mijają dom. Swoimi kocimi oczami potrafią rozpoznać w mrocznym kącie i przy zaciemnieniu kogoś takiego jak ja. Od razu stwierdzają, że się włamywałem, a nie, że szukałem dzwonka czy właściwego klucza. Wiedzą też oczywiście, że jesteś jedynym oficerem w Nowym Jorku, do którego należy zadzwonić w takiej sprawie. Straciliby twarz, gdyby po prostu zaczepili pierwszego napotkanego gliniarza.

Detektyw jednym ruchem palca poluzował kołnierzyk.

– Wszystko to bardzo sprytne – mówił uparcie – ale postanowiłem sprawdzić.

I okazało się, że Linnet został zamordowany, a ty jesteś tutaj.

– Oczywiście, że tu jestem – powiedział łaskawie Święty. – Chciałem się z nim spotkać.

– Po co?

– Bo produkuje wyroby elektryczne i potrzebuje irydu. Słyszałem też, że kupuje go na czarnym rynku. Myślałem, że namówię go, żeby zdradził to czy owo.

– A gdy nie chciał mówić, udusiłeś go.

– Tak – rzucił ze znużeniem Święty. – Zacisnąłem sznur wokół jego gardła, by poluzować mu struny głosowe.

– I zostawiłeś swój znak na drzwiach.

Simon rzucił krytyczne spojrzenie na niezdarny kredowy rysunek, o którym wspomniał Fernack.

– Henry – zaoponował łagodnie – nie jestem wprawdzie artystą, ale widziałeś już moje dzieła. Czy możesz uczciwie stwierdzić, że to typowa dla mnie robota? Mnie wydaje się roztrzęsiona i ochwacona.

Detektyw spojrział na rysunek i niemal się zawahał. Widać było, jak wątpliwość

wykluwa się i rośnie w nim, niby ciężki posiłek we wrażliwym żołądku.

– Ponadto – wtrącił nieśmiało Simon – czyż nie byłoby z mojej strony trochę nierozsądne, gdybym pozostawił mój znak firmowy po to, żebyś nie musiał tracić ani chwili i od razu mógł zarzucić na mnie sieci – Już to kiedyś od ciebie słyszałem – odciął się Fernack. – Ale moja praca nie polega na odrzucaniu dowodów tylko dlatego, że wydają się nierozsądne. Podaj mi swoją wersję.

– Domyśl się sam – ciągnął nieubłaganie Simon. – Ktoś chciał za wszelką cenę powstrzymać mnie przed rozmową z Linnetem. Tak bardzo, że wolał się upewnić, że ten już nie zaśpiewa. Myśleli, iż za jednym sprytnym uderzeniem usuną przy tym i mnie z drogi. Muszę więc trochę ich niepokoić. Wydaje się też, że nasi handlarze irydem mają w zanadrzu jakąś sztuczkę, którą pokażą, gdy będę jużgnił w ciupie. Chcesz tańczyć, jak oni grają, czy spróbujemy coś zdziałać?

Fernack przyglądał się Świętemu z nieodgadnionym uporem. Mógł uczynić jakiś krok, albo nie zrobić nic. Był to jeden z tych momentów wychylenia wahadła, po którym można równie dobrze znaleźć się po każdej stronie.

Musiało tak się zdarzyć, że właśnie wtedy tajniak Al pojawił się na schodach z kimś jeszcze nieznanym, komu prawdopodobnie chciał życzliwie pomóc, lecz ten nowy osobnik wyglądał tak, jakby wleczono go na zaplecze wcale nie po przyjacielsku. Ubrany był w czarną kamizelkę i spodnie w prążki, noszone zwykle przez lokajów, a jego mięsista twarz była tak zmartwiona, jak a każdego lokaja, który został upokorzony w pracy.

– Znalazłem go – oznajmił radośnie Al, sprowadzając swego podopiecznego po schodach tak serdecznie, jakby pomagał staremu pijakowi. – Został uderzony, gdy

otwierał drzwi. Potem go związano i zamknięto w szafie.

Fernack czekał, aż doprowadzą lokaja.

– Czy poznałby pan człowieka, który pana uderzył, gdyby go pan zobaczył?

– Nie wiem, proszę pana. Miał podniesiony kołnierz płaszcza, a przed wejściem nie ma dużo światła, ale wydał mi się wysoki i szczupły. Miał na ramieniu opaskę strażnika przeciwlotniczego, a ja patrzyłem głównie na nią, bo powiedział, że wydostaje się światło. Potem wskazał na coś za mną, a gdy się obejrzałem, musiał mnie uderzyć, bo nic więcej nie pamiętam.

– Czy to może być on? – zapytał obojętnie Fernack wskazując palcem na Świętego.

Podpuchnięte oczy lokaja wahały się między terażniejszością a wspomnieniami.

– To możliwe, proszę pana. Nie mogę stwierdzić tego na pewno, ale tamten był podobnie zbudowany.

Widać było po Fernacku, jak ulatuje z niego słabość niby para ze stygnącego betonu.

Obrócił się na pięcie, by znów spojrzeć na Świętego i zacisnął szczęki.

– Zacząłeś opowiadać swoją wersję. Mów dalej.

Simon znalazł skrawek podłogi wolny od pięknego dywanu świętej pamięci Linneta i uważnie rozdeptał na nim niedopałek papierosa. W równie leniwym tempie zapalił następnego. Poczł jednocześnie, że się trochę zawiódł.

Próba osiągnięcia efektu, bez pokazywania atutów, była istotnie trochę kabotyńska, lecz kusila neodparcie jako wyzwanie wobec zawodowej próżności. Zaprzestał jej tylko dlatego, że przypomniał sobie o upływającym czasie, a zabawa, choćby największa, musi kończyć się, gdy ponagla zegar. Mógłby na pewno grać jeszcze znacznie dłużej, lecz miał pilniejsze sprawy do załatwienia.

– Nie chcę cię rozczarowywać – powiedział – ale to naprawdę zupełnie proste.

Ktoś wiedział, że się dziś tu wybieram. Ktoś nie chciał, by towarzysz Linnet mi zaśpiewał, pragnął też i mnie powstrzymać przed ariami solowymi. Wszystko razem dało obrazek, jaki widzisz przed sobą. Właściwie nie zakładano, iż zostanę tu złapany. Takie rzeczy są zbyt trudne do zgrania w czasie. Zostałem jednak pochwycony na schodach przez bardzo ozdobną pętlę i zabrałem ją na kolację. Plan przewidywał, że zwabi ona mnie później do swojego mieszkania na dobrą muzykę i tak ciężkie ćwiczenia, abym nie miał żadnego alibi w decydującym momencie.

– To interesujące – Fernack był nieugięty. – Mów dalej.

– To pechowe dla grzeszników, że byłem sprytniejszy niż zakładali, wykoleiłem zawalidrogę i szybko tu wróciłem. Przybyłem tu, jak to mówią oryginalni pisarze, w samą porę. Właśnie wychodził spryciarz, który zadusił towarzysza Linnet. Zderzył się przy tym z drzwiami, zmęczył i poszedł spać, związałem go więc i zatrzymałem dla ciebie. Może nawet znajdziesz na jego palcach świeże ślady kredy, to cię przekona.

Na twarzy Fernacka pojawiały się stopniowo powolne zmiany.

Każda faza była całkowicie wykończoną, zadowalającą produkcją, tak bogatą i pełną, iż jedynie najbardziej wybredny krytyk kręciłby nosem. Zwieńczeniem tych przemian było zwykłe gapienie się z niedowierzaniem.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej? – zaskrzeczał. – Gdzie on jest?

– Tak miło się bawisz wysyłaniem mnie na fotel elektryczny, że szkoda przerywać – powiedział Święty, – Powinien być tam, gdzie go zostawiłem, w piwnicy. Chcesz się z nim przywitać?

Odwrócił się i poszedł drogą, którą tu przybył. Fernack ruszył za nim bez słowa.

Zeszli po schodach, przez spiżarki i wielką kuchnię trafili do miejsca, w którym

Święty zostawił swego jeńca. A wówczas przełom nagle przestał następować, w gruncie

rzeczy fiknął w tym momencie koziołka, podobnie jak w tym momencie żołądek

Świętego. Nie było bowiem już tam trupiego pana z rozbitą głową. Trudno było się z tym spierać. Nie było go.

Kamiennej podłogi u stóp tylnych schodów nie zaścielało nic poza warstwą nowojorskiego brudu.

Simon Templar stał i wpatrywał się przez kilka sekund z najwyższym opanowaniem.

Fernack odezwał się wreszcie niecierpliwie.

– No, gdzie on jest?

– Bardzo cię to zasmuci, Henry – powiedział Święty unosząc wzrok – ale już go tu nie ma.

Obawiam się, że miał przyjaciela, który do niego wrócił. Z więzów, jakie mu nałożyłem, nie mógł się sam uwolnić. Ale na pewno uciekł.

Wrzody żołądka niezliczonych pisarzy wynikają z okropnych wysiłków, żeby odpowiednio opisać takie sceny. Wasz kronikarz ma jednak wielki szacunek i przywiązanie do swojej błony śluzowej i nie zamierza narażać się na taką katastrofę. Proponuje pozostawić większość szczegółów ryciny wyobraźni czytelnika, o którego błyskotliwości i przenikliwości ma jak najlepsze zdanie.

Posunie się jednak do dania drobnej wskazówki i wspomni, że twarz Fernacka zaczęła przypominać przejrzałą śliwkę, oblaną nagle strumieniem wody pod wysokim ciśnieniem.

– Dobra – słowa detektywa płynęły jak stopiona lawa. – Nie sposób cię winić, że usiłowałeś wystrychnąć mnie na dudka. Ale to się już skończyło.

– Henry, daję ci słowo.

– Możesz je dać sędziemu, zobaczymy, co na to powie – warknął Fernack. –

Skończyłem.

Zabiorę cię do komendy i zamknę, a resztę zachowaj dla adwokata!

– Miałem cię za prawdziwego zawodowca, Henry. Powinieneś być postawić kogoś przy tylnym wejściu. Byłem pewien, że tak zrobisz. Po co się teraz podniecasz?

– Idziesz? – spytał żarliwie detektyw – czy mam tego użyć?

Simon spojrział z żalem na rewolwer, który Fernack trzymał w dłoni.

Niewykluczone, że zdołałby uciec. Za tylnymi drzwiami na pewno nie ma nikogo.

Nie chciał go jednak mocniej ranić, wiedział też, że gdyby nawet mu się udało, to po kilku minutach ruszyłaby za nim pogoń. To mogłoby go unieruchomić na dłużej.

Jednocześnie oczywiste stało się, że odpływa ostatnia szansa zmiany sytuacji dzięki rozmowie. Znane jest zjawisko zamiany widowni w skałę, a Simon Templar był na tyle realistą, by poznać, że skałę właśnie ma przed sobą.

– Dobrze – wzruszył z rezygnacją ramionami. – Skoro już musisz być dudkiem, będę udawał, że tego nie dostrzegam. Jeśli jednak przyjmiesz ode mnie pewną radę, to nie śpiesz się zbytnio z wzywaniem reporterów i trąbieniem o swym wyczynie. Nie chcę, byś zrobił z siebie pośmiewisko. Postawię pięćdziesiąt dolarów przeciw pięciu centom, że wypuścisz mnie jeszcze przed północą.

Przegrał ten zakład, bo Hamilton wyjechał tego wieczoru z Waszyngtonu.

Dalekosiężne skutki wynikłego stąd opóźnienia były rozważane jeszcze potem przez długi czas.

Kilka minut po dziesiątej, następnego dnia, dość otyły, nie rzucający się w oczy dżentelmen o równie pospolitym nazwisku Harry Eldon, przedstawił Fernackowi legitymację Departamentu Sprawiedliwości i powiedział:

– Przepraszam, ale musimy skorzystać z pierwszeństwa i przejąć Templara. Jest nam

bardzo potrzebny.

Zdumiony detektyw nie wiedział, co w nim przeważa, zawód, ulga czy zmartwienie.

Zdecydował się na burkliwą obojętność.

– Jeśli zatrzyma go pan tam, gdzie należy, będę miał go z głowy.

– Nie złożył jeszcze skargi na aresztowanie?

– Jeszcze nie.

Fernack nigdy by nie przyznał się, że ostrzeżenie Świętego zrobiło na nim tak wielkie wrażenie, ale właśnie ono zmusiło go do ostrożności przed złożeniem buntowniczego oświadczenia, mimo, iż miał na to wielką ochotę.

– To dobrze. Najlepiej niech pan o tym zapomni – powiedział tajemniczo Eldon. –

Takie mam rozkazy.

I trzymając mocno za ramię, poprowadził Simona Templara do Święty zapalił ostatniego papierosa, po czym napełnił papierośnicę z nowej paczki, i rzucił:

– Dzięki.

– Mam dla pana wiadomość – powiedział lakonicznie Eldon. Brzmi ona: lepiej, niech będzie dobrze, bo jeszcze czyjś kark znajdzie się na pieńku.

– Będzie dobrze – powiedział Święty.

– Gdzie pana wysadzić?

– Przy pierwszej drogerii. Chcę zajrzeć do książki telefonicznej. Istniała niewielka szansa, że mieszkanie Barbary Sinclair jest zapisane na jej nazwisko. Tym razem Simon miał szczęście.

Odnalazł je. Leżało przy Piątej Alei, po drugiej stronie parku. Simon znalazł się przed jednym ze zwykłych domów z samoobsługową windą. Nie grozili mu więc wścibscy odźwierni, te niezbędne dodatki do vie boheme.

Odnalazł właściwe piętro przy nazwisku Barbary w przedsiönku, wjechał i nacisnął dzwonek.

Po pewnym czasie nacisnął go ponownie. Nikt nie odpowiadał; przystąpił więc do badania zamku z zawodową biegłością. Był to zwykły yale, jego osadzenie w drzwiach nie mogło sprawić kłopotów komuś, o kim wyrażali się z szacunkiem najlepsi włamywacze dwóch kontynentów. Ze specjalnej przegródki w portfelu Simon wyjął cienką blaszkę z giętkiego metalu i bez pośpiechu zabrał się do roboty. Po niecałej minucie wszedł do salonu, który mógł służyć za wzór odprężającej i zacisznej przytulności każdej kobiecie, która pragnie, by jej męscy przyjaciele czuli się tu lepiej niż w domu. Wsunął się do pokoju na trzy kroki, gdy słodki jak syrop głos oznajmił:

– Ręce do góry i na kark, panie Templar.

V

Simon zrobił, jak mu kazano, odwracając się twarzą do komitetu powitalnego.

Uświadomił sobie, że zachował się bardzo beztrosko, nikt nie odpowiadał na dzwonek, przyjął więc, że wewnątrz nie ma nikogo. Okazało się, że było to wyjątkowo niefortunne przypuszczenie.

Znalazł się przed dwoma oddzielnymi lufami z niepewnymi palcami na cynglu.

Jeden z napastników stał za drzwiami. Był to szczupły osobnik o silnym zaroście, który poprzedniego wieczoru tak pechowo zderzył się z drewnianą płytą. Jako pamiątkę po tym zdarzeniu nosił szeroki plaster na czole, a jeśli w głębi jego duszy mieszkał duch chrześcijańskiego wybaczenia i miłosierdzia, to nie zdążył się jeszcze przedrzeć do podkrążonych oczu.

Drugi mężczyzna, niewątpliwie właściciel syropowego głosu, stał w progu sypialni.

Za nim widoczny był drzeworyt pomalowanej na czarno podłogi, chodniki ze skóry śnieżnej pantery, kominek z czarnego marmuru, ściany wyłożone białą skórą i meble w barwie mleka i kości słoniowej. Z takiego pokoju musiał wyłonić się taki właśnie człowiek. Jeśli nie liczyć platerowanej broni w ręku, był z wyglądu typem buduarowym.

W przeciwieństwie do nieszczęśnika za drzwiami, na którego chudej sylwetce ubranie wisiało jak na wąskim wieszaku, ten nosił strój bardzo dobrze skrojony. Jego lśniące czarne włosy miały trzy regularne fale, a twarz, w typie latynoskim, jakby pochodziła z męskiej połowy zespołu tanecznego.

Uśmiechał się stale, ukazując bardzo białe zęby.

– Znalazł się pan w salonie, panie Templar – powiedział.

– Ma pan nade mną przewagę – stwierdził dobrodusznie Simon. – Przedstawi się pan, czy pozostanie tajemniczy?

Głowa z falami pochyliła się.

– Ricco Varetto – do usług. Po pana lewej ręce stoi Cokey Walsh, który teraz pana przeszuka.

Simon kiwnął głową.

– Wczoraj niemal się nie spotkaliśmy, lecz coś nas rozdzieliło. Jak widzę, to pan go uratował?

– Miałem tę przyjemność. Pański widok jest dla mnie niespodzianką.

Spodziewaliśmy się, że policja potrzyma pana znacznie dłużej. Jak się panu udało tak szybko wyjść?

– Powiedziałem im, że jestem umówiony z fryzjerem na nową trwałą i oczywiście pozwolili na to. Rozumie pan.

Kościsty wojownik, z wrogością na wąskich wargach, zakończył przeszukiwanie.

– To ten facet? – spytał.

– To ten facet, Cokey – potwierdził Varetto.

– To przez niego mam dziurę w głowie.

– Tak, Cokey.

– Zostaw go mnie, Ricco. Tylko mnie.

– Jeszcze nie, Cokey.

– Ten sukinsyn rozwalił mi głowę – sprzeciwił się Cokey. – Daj mi kawałek sznurka, a skrócę jego mękę.

– Jeszcze nie, Cokey.

Święty patrzył z ciekawością i współczuciem.

– Musimy zdecydować, co ze mną począć – mruknął jakby chciał pomóc. – Cokey próbuje być praktyczny. Jakie ma możliwości? Możemy stać tu wiecznie, aż któregoś

dnia znudzi nam się rozmowa. Oczywiście możecie zawsze mnie zastrzelić, ale może usłyszeć to któryś z sąsiadów i zainteresować się hałasem. Możecie zabrać mnie na staroświecką przejażdżkę, choć obecnie to luksus, gdy benzyna jest racjonowana, ciężko zdobyć opony i wszystko.

– Albo – ciągnął Vanetti w tym samym tonie – możemy znów zadzwonić na policję i oskarżyć pana o włamanie.

– To niezły pomysł – przyznał Simon – mam jednak wrażenie, że to mieszkanie należy do panny Barbary Sinclair. Nie sądzicie, że trochę trudno byłoby wam wytłumaczyć, dlaczego w nim przebywacie i jak się tu znaleźliście?

– Warto było zarzucić tą przynętę, lecz brylantynowy uśmiech Varetiego nie zmienił się ani na jotę.

– Zapomina pan chyba o swoim położeniu, panie Templar. Jestem tego pewien. Ja zadaję pytania. Pan na nie odpowie... mam nadzieję. Jeśli nie, poproszę Cokey'a, by panu pomógł. To nie byłoby miłe. Obawiam się, że Cokey pana nie lubi.

– Lubię go – powiedział z ogniem Cokey. – Pokażę ci, Ricco. Pozwól mi tylko zarzucić mu sznurek na szyję, a pokażę. Walnął mnie w głowę, tak?

– Widzi pan? – stwierdził Varette. – Lubi pana. Jest mnóstwo rzeczy, o których powinien nam pan powiedzieć. Tak. Może wpadł na dobry pomysł.

– Musi je czasami mieć – przyznał Simon. – Ktoś z takim wyglądem musi mieć rekompensatę.

– Zamknij jadaczkę – powiedział Cokey z zimną furią. Święty z lekkim szyderstwem uniósł jedną brew.

– No, no, no! Cóż za brzydkie wyrażenie słyszę od ciebie, stary. Nie sądzę, byś naprawdę czuł żal z powodu wczorajszej małej zabawy w chowanego. Myślałem, że jak

zwykle przeważy interes.

Varetti błysnął zębami ponownie szeroko się uśmiechając.

– Cokey jest uczuciowy – powiedział. – Wczoraj wieczorem uraził pan jego dumę.

Dąży więc do małego rewanzu... Idź po swój kawałek sznurka, Cokey. Spróbujemy przekonać pana Templara, by nam zaufał.

Wszystko było do tej pory dość zajmujące, ale zawsze dochodzi do pewnego etapu, w którym zabawa posuwa się za daleko, a Simon Templar był bardzo czuły na takie delikatne zmiany barometryczne. Tę teraz czuł całym ciałem. Powiedział chłodno:

– Skoro tak się zaprzyjaźniliśmy, czy nie macie nic przeciwko temu, bym opuścił rękę z tej niewygodnej pozycji i wyjął papierosa?

– Dobrze – powiedział Varetti. – Ale niech pan nie próbuje być sprytny, bo niechętnie pozbawiam Cokey'a rozrywek.

Święty opuścił rękę i rozluźnił ramiona. Wyjmując papierośnicę, przypatrywał się Varettiemu uważnie oczami tak niebieskimi, jak odłamki szafirów.

Nie był, jak sobie pomyślał, niewolnikiem pierwszego wrażenia. Starał się być człowiekiem o szerokich horyzontach i rozwadze. Usiłował w najwstrętniejszych nawet istotach doszukać się iskielki dobra dzięki której miałby wtedy odrobinę serca. Ale nawet teraz, choć wysiłał się jak najbardziej, narastało w nim przekonanie, że nigdy nie zbrata się z panem Varettim. Nie podobała mu się żadna jego częśćka, od ondulowanych włosów po spiczaste buty. A najmniej podobały mu się poglądy Varettiiego na temat uprzejmości w rozmowie, niewątpliwie częściowo dlatego, że stanowiły zbyt dokładną parodię jego poglądu. Trzeba było coś zrobić z towarzyszem Varettim.

Starannie wybrał papierosa z jednego końca papierośnicy. Leżał tu jedyny, jakby przed uzupełnieniem pudełka. Pozostawał na takie okazje, bo Święty zawsze był gotów

na wszelką ewentualność. Zapalił go i przeszedł przez pokój, by położyć zapalną w popielniczce. Wtedy z kuchni wyszedł Cokey.

Ustawiał się i skradał z udawaną zręcznością kota, czatującego na parę wróbli.

– Nim stanie się to zbyt niemiłe – powiedział Święty – czy nie moglibyśmy pogadać?

– Niech pan mówi – rzucił Varetti błyskając zębami. – Ja posłucham.

Simon zawahał się przez chwilę; potem bardzo naturalnym gestem odłożył papierosa na popielniczkę i ruszył do Varettiego, a Cokey szedł w ślad za nim.

– Nie za blisko, panie Templar – powiedział Varetti. – Może pan mówić stamtąd.

Simon stanął krok dalej. Pistolet Varettiego, wycelowany w brzuch, znajdował się o jakieś cztery stopy Cokey był po jego prawej stronie, może trochę z tyłu, ale odłożył broń, by móc w obu rękach trzymać znaleziony sznurek.

– Widzi pan – zaczął Święty. – Cały ten interes...

W tej chwili pozostawiony w popielniczce papieros zrobił bum, wybuchając jak fajerwerk, bo po to został wyprodukowany.

Varetti był przypuszczalnie zbyt sprytny, by dać się nabrać na taką pospolitą sztuczkę, ale byłby chyba z drewna, gdyby zupełnie nie zareagował na hałas. Odwrócił głowę.

Simon tylko na to czekał. To, iż ten odruchowy gest ustawił szczękę Varettiego w idealnym położeniu do lewego haka, było tylko dodatkową premią.

Święty zrobił jeden długi krok i połączył swój impet z siłą pięści, dzięki czemu pan Varetti przez ułamek sekundy musiał mieć wrażenie, że został bezpośrednio trafiony bombą burzącą. Po chwili nic już nie myślał, osunął się po framudze drzwi jak miękki tynk po ścianie, a gdy upadał, Simon wyjął mu z bezwładnych palców błyszczący pistolet automatyczny.

Cokey Walsh rzucił się do tyłu w szaleńczej próbie ponownego pochwycenia broni, zbyt mocno się jednak zaplątał w sznurek, którym okręcił dłonie w morderczym zamiarze. Nie korzystając z pistoletu zabranego Varettiemu, Simon trzasnął go mocno w już wrażliwą brew i pan Walsh ponownie przeniósł się do krainy snów...

Święty zapalił następnego, mniej niezwykłego papierosa i pomyślał przez chwilę.

W jego głowie ciągle krążyły pytania, których nie miał jeszcze okazji zadać, i którym groziła dalsza zwłoka, wywołana głębokim letargiem potencjalnych rozmówców.

Z drugiej strony, po tak obiecującym wstępie, ciekawe i niezwykle mieszkanie panny Sinclair warte było dokładniejszego zbadania. Ponieważ jednak nie sposób było przewidzieć, kiedy jakaś inna niespodzianka wyskoczy z tego niecodziennego apartamentu i jaką postać przybierze, wydawało się, że uzasadnionym będzie założenie, iż obecność dwóch nieprzytomnych osób na podłodze saloniku nie ułatwia zadania.

Postanowił więc uporać się najpierw z tą przeszkodą. Chwycił obu leżących za kołnierze, po jednym w każdą rękę, i zaciągnął ich do sypialni. Omal się przy tym nie przewrócił o walizkę z surowej skóry, którą ktoś specjalnie zostawił na środku podłogi.

Gdy rozcierał siniak, usłyszał zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych. Wtedy powrócił z nadzieją do saloniku.

– Cześć, Barbaro – powiedział łagodnie. – Bałem się, że cię nie zastanę.

VI

W stroju codziennym wyglądała równie egzotycznie i podniecająco jak poprzedniego wieczoru. Jej kostium był uszyty na miarę z wełny szkockiej owcy, którą uprzedzono na ręcznym kołowrotku podał Tweedu. I cudownie przykrojony przez krawca, zachwyconego kusicielskimi krągłościami jej figury. Niezbadane pudło na kapelusze, oznaka i proporzec nowojorskiej modelki, trzymała w dłoni okrytej rękawiczką, ale nawet bez niego wiadomo było, że to modelka posiadająca czystą doskonałość fizyczną, która aż prosiła o fotografowanie.

Simon patrzył jak nieczuły znawca, ale nawet w jasnym świetle dnia nie mógł znaleźć najmniejszej skazy na jej jasnooliwkowej i gładkiej skórze.

Spostrzegł, że była zbyt zaskoczona i rozzłoszczona, by się go bać.

– Niech mnie licho – powiedziała – jak się pan tu dostał?

– Włamałem się – wyjaśnił szczerze.

– Ma pan charakter – powiedziała. – Po tym, co mi pan zrobił wczoraj wieczorem.

Święty postąpił okropnie, ale jego uniesiona prawa brew wskazywała na umiarkowaną zuchwałość.

– Dużo talerzy dali pani do zmywania? – zapytał z ciekawością.

Błyski w jej oczach nie różniły się od piorunów, które odbijają się w smolistych stawach. Była naprawdę cudowna. Nie mogła jednak nic poradzić, że gniew pozbawił jej piękno tylko okładowej słodyczy, czyniąc ją jeszcze bardziej ujmującą.

– Taki z pana spryciarz – powiedziała lodowatym głosem, każde słowo było jak sopel padający na rozpalony piecyk. Ośmieszył mnie pan wobec połowy kelnerów w Nowym Jorku, naciągnął na wydatek około trzydziestu dolarów...

– Musi jednak pani przyznać, że kolacja była dobra.

– A teraz miał pan czelność wdrzeć się do mego mieszkania i jeszcze próbuje pan być dowcipnym. W tej chwili jej głos zamarł, jakby po chwilowym transie wracała do pełnej świadomości czynów; potem zasyczała jak oliwa wylana na gorące węgle.

– No, szybko się to skończy.

– Nie tak prędko, kochanie.

Jego ramię wysunęło się niemal leniwie, trudno było spostrzec, kiedy się do niej zbliżył, ale stalowe palce chwyciły za rękę, nim zrobiła krok w stronę telefonu.

Zatrzymał ją jakby bez najmniejszego wysiłku, spokojnie odebrał pudło na kapelusze i posadził w najbliższym fotelu.

– Nim do połowy kelnerów dodasz połowę nowojorskich glin – powiedział – musimy chwilę porozmawiać.

– Puszczaj! – wybuchła.

– Mimo wszystko – ciągnął niewzruszenie – to śliczne mieszkanie. Zaprosiłaś mnie tutaj, o ile pamiętasz. W tym interesie z modą muszą być niezłe dochody, skoro stać cię na takie pied?-terre. A może, jeśli jest to grzeczne pytanie, przyczynia się do tego ktoś inny?

Jej bezskuteczna walka niemal ustała na chwilę, po czym znowu wybuchła.

W dzikiej szamotaninie wyczuć można było panikę, nad którą panowała od dawna.

– Musisz być szalony! Sprawiasz mi ból.

– A to – powiedział Święty, kiwając głową w stronę oklejonej fornirem szafki pod ścianą, nie zmieniając przy tym siły uchwytu, ani ujmującej aksamitności głosu – to prawdopodobnie radio, którego słodkie tony miały mnie oczarować wczoraj w nocy, kiedy byłem milutko wrabiany w najlepsze morderstwo, na jakie natknąłem się po wielu latach.

– Ty szalony wariacie...

Jej głos zamarł nagle, zupełnie podobnie jak walka. Była teraz podobna do marionetki, której niespodziewanie obcięto nitki.

– Co to znaczy – szepnęła – morderstwo?

Simon puścił jej rękę i ponownie włożył do ust papierosa, patrząc na nią oczyma tak zimnymi, jakby były z lodu. Myślał precyzyjnie i beznamiętnie jak chirurg na sali operacyjnej. Gdzieś w głębi pamięci przesuwały się jakby kółka taśmy produkcyjnej. Po chwili przypomniał sobie światła świec, łagodną muzykę, obfitość jedzenia i wina w dobudówce na dachu, zaś jeszcze głębiej usłyszał ponowne dudnienie czołgów, warkot samolotów, ogłuszające wybuchy pocisków i bomb, zobaczył nieomal ludzi pocących się i przeklinających w piekielnym dymie; wojna wdarła się do tego pokoju, czuł jej „obecność tak wyraźnie, jak ciszę okopu na pierwszej linii frontu, tuż arakiem o świcie. Wiedział, że nawet w tym niestosownym i nieprawdopodobnym otoczeniu prowadził wiele bitew.

Powtórzył z uczuciem: – Powiedziałem morderstwo.

– Czyje?

– Dowiesz się z gazet, ale nie musisz ich czytać.

W jej oczach było błaganie.

– Nie rozumiem. Naprawdę. O kim mówisz?

– Makolągwa już nie zaśpiewa – powiedział Simon. – A gdybym nie był gruboskórnym sceptykiem i wczoraj wieczorem wyszedł z tobą, sam śpiewałbym bardzo minorowo w niezbyt ozdobionej klatce.

Patrzyła na niego całkowicie osłupiała.

– Pan Linnet? Został zamordowany?

– Bardzo starannie.

– Nie mogę uwierzyć.

– W dzisiejszych czasach nikt w nic nie wierzy – zauważył Simon ze smutkiem. –

Jednakże nie mam powodów, by dziękować ci za to, że wielu potężnych policjantów nie demonstruje mi teraz swego niedowiarstwa przy pomocy gumowego węża.

Znaczenie jego słów zadawało się nie docierać do jej umysłu.

– Kto to zrobił?

– Sądzę, że jeden z panów w sypialni będzie w stanie ci to wytłumaczyć.

– Co?

– Jeden z sypialni. Wpadłem na niego wczoraj wieczorem w miejscu zbrodni, ale uciekł.

Teraz jednak tam jest. To dość wesoła kompania.

– Dalej bredzisz?

– Idź i zobacz.

Wziął ją za ramię i poprowadził, otwierając drzwi nogą. Stała zaskoczona na progu sypialni z otwartymi ustami i dłonią na gardle.

– Kto to? – spytała błagalnie.

– Twoi przyjaciele, jak myślę. W każdym razie byli tu, gdy wpadłem i wydawali się bardzo zadomowieni.

– Żartujesz!

– Nie żartuję, kochanie. Ani oni. Obiecywali mi bardzo nieprzyjemne rzeczy. Całe szczęście, że zdołałem ich od tego odwieść. Muszę jednak stwierdzić, że nie najlepiej dobierasz sobie kompanów.

Odrzuciła jego cyniczne przypuszczenie z rozpaczliwą furią w czarnych oczach.

– Nigdy ich nie widziałam. Przysięgam. Musisz mi uwierzyć!

– No to jak się tu dostali?

– Nie wiem.

– Chyba się po prostu włamali – podsunął Simon, pomijając fakt, że dokładnie tak samo on się tu znalazł.

– To możliwe.

– A może mieli klucz?

– Już ci powiedziałam, że ich nie znam.

– Kto jeszcze ma twój klucz?

Jakby uderzył ją pod żebra. Z jej twarzy odpłynęła krew, a skóra ze złotej stała się chorobliwie żółta. Jednocześnie traciła siły. Poczul na sobie cały ciężar. Puścił ją, a ona opadła na łóżko, jakby kolana miała z waty.

– No? – przynaglił ją bezlitośnie.

– Nie mogę ci powiedzieć – Nie chcesz.

Pokręciła głową, aż jej długie włosy zawirowały jak spódniczka tancerki.

– Nie... – oczy aż prosiły, mimo to próbowała bezskutecznie wziąć się w garść.

– Do czego dążysz, jakie masz prawo.

– Słyszałaś o mnie. Staram się rozbić czarny rynek irydu. Jeszcze się do tego nie zabrałem, a już doszło do włamania i morderstwa. Może słyszałaś, że toczy się pewna wojenka.

Iryd okazał się śmiesznie ważnym metalem. Gabriel Linnet miał go kupić na czarnym rynku a ja zamierzałem z nim wczoraj porozmawiać. Postawiono cię tam po to, byś mnie zajęła wtedy, gdy mu odbierano głos, i żebym nie miał i alibi mnie można o to oskarżyć.

– Nie – odparła.

– Jeśli nie tak, to byłaś przynajmniej motylkiem próbującym latać wyżej, niż pozwolił Bóg.

Może uważałaś, że będzie to niezła i niewinna zabawa, kiedy ładna dziewczyna udaje Matę Hari i pakuje paluszki w międzynarodowe intrygi tylko dla dobrej rozrywki.

– Nie – odpowiedziała – to nie tak.

– A jak?

Ścisnęła kolanami swe dłonie.

– Postawiono mnie tam. To prawda – jej głos był napięty stłumiony.

– Ale nie w tym celu. Powiedziano mi, że to tylko interes, że pan Linnet wynajął cię, byś zapobiegł transakcji, którą interesowała się osoba, zlecająca mnie to zadanie.

Powiedział tylko, że mam cię na pewien czas odciągnąć od Linnet, a wszystko pójdzie dobrze. Nie sądziłam, że chodzi o coś innego. Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

– Kto to jest? – spytał znowu.

– Jak mogę ci powiedzieć? Zaufano mi.

– Sądzę, że za zdradę ojczyzny i pomoc w ukryciu mordercy kara jest znacznie mniej szlachetna.

Ścisnęła skronie.

– Nie, proszę, proszę! Muszę pomyśleć...

– To może być dobry początek...

Był bezwzględny i nieugięty, tak jak tylko potrafił. Litością nic by tu nie wskórał.

Z rozmysłem zachowywał się brutalnie, a głosu używał jak bicia.

Gdy podniosła ku niemu twarz, tusz spływał ciemnymi smugami z jej oczu, w głosie natomiast wyraźnie było słychać błagalny ton.

– Jestem taka zmieszana. Ten ktoś był dla mnie bardzo dobry... Ale nie kłamałam.

Przysięgam. Musisz mi uwierzyć. Musisz.

Wiedział, że jest teraz tak samo bezduszny jak wykrywacz kłamstw, a mimo to z niepewności zacisnęły się mu mięśnie szczęk. Zaciągając się mocno papierosem zbierał myśli.

Miał własny zmysł, aby wykryć prawdę, tak pewny jak ucho muzyka o doskonałym słuchu.

Wiedział też, że nawet tę intuicję można oszukać, bo sam nieraz omamił niektórych bardzo niechętnych do współpracy krytyków. Jeśli jednak oszukuje go Barbara Sinclair, to jest ona najlepszą aktorką, jaka kiedykolwiek chodziła po scenie i poza nią. Łatwiej i rozsądniej przyjąć, że choć częściowo mówi prawdę, a nie, że ma przed sobą najwybitniejszą aktorkę wszystkich czasów.

Jego główne cele nie uległy zmianie. Musi doprowadzić do skazania mordercy, znaleźć skradziony iryd, który trafił na czarny rynek, wykryć i usunąć lub w inny sposób pozbyć się wysokiej klasy mózgu, który kontroluje całą zdradziecką aferę. Musi to uczynić, nie zważając na ofiary, choćby i sam stał się jedną z nich.

Ton jego głosu zmienił się tylko o odrobinę.

– Dobrze. Co z tymi dwoma łotrami?

– Nie wiem, kim są. Szczerze. Nie mam nawet pojęcia, jak się tu dostali.

– Przekonajmy się.

Szybko przeszukał obu śpiochów, ale nie trafił na narzędzia włamywaczy. Znalazł jednak u Varettiiego pęk kluczy na złotym łańcuszku, a potem trafił jeszcze na osobny kluczyk w kieszonce jego kamizelki. Wsadził go do drzwi wejściowych i przekręcił.

Pasował.

Wrócił, pokazał go dziewczynie i schował do kieszeni.

– Mieli klucz – powiedział. – Muszą więc, według twych słów, być kumplami twojego chłopaka. Coś ci to mówi?

Nie odpowiedziała.

– Chcę im zadać kilka pytań – powiedział. – Masz coś przeciwko temu?

– Nic – odparła niemal stanowczo.

Przyjrzał się znowu Varettiemu i Walshowi. Nie zauważył znaków życia i pożałował trochę, że obszedł się z nimi tak energicznie. Pytanie jednak zada żeby poznać jej reakcję. Ci dwaj wyglądali na gangsterów ze starej szkoły; wytrzymają wiele, zanim otworzą swe wnętrza i zaczną gadać. A to być może potrwa zbyt długo.

Simon znalazł szafę pełną kobiecych fatałaszków i szybko ją przejrzał.

Zainteresowała go przez chwilę wisząca męska piżama. Jeśli nawet Barbara Sinclair ma słabość do męskich ciuchów, to ta jest na pewno dla niej za duża. Nic jednak nie powiedział. Po kolei zaciągnął obu gangsterów do innego pokoju i zamknął drzwi.

– Poczekają tam trochę – powiedział i spojrzał na torbę z surowej skóry, dzięki której dorobił się siniaka.

Wskazał na nią.

– Zamierzasz gdzieś wyjechać, czy się przeprowadzasz?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

– To nie moja.

A do kogo należy, do twoich nowych stołowników?

– Nie. Należy do... do tej samej osoby. Zostawił ją niedawno. Powiedział, że ma mnóstwo starych książek, które zabrał z kraju, ale zapomniał o nich.

Spojrzała na niego z niewielką iskierką nadziei.

– Może wysłał tych ludzi, by je zabrali.

– Może – przystał uprzejmie Simon. – Nie masz nic przeciwko temu, że zerknę na te stare książki?

Pokręciła głową.

– Nie mogę chyba cię powstrzymać. Ale torba jest zamknięta.

Spojrzał na nią wesoło.

– Powinienem był wiedzieć, że taki jak ty mól książkowy już próbował tam zajrzeć.

Poczerwieniała, ale nie odpowiedziała.

Simon spróbował unieść walizę i od razu powstrzymał go niedostatek sił. Nie było zbyt przyjemne, gdy odkrył, że starość dopadła go tak szybko, prawie w ciągu paru minut. Obu zwiotczających bandytów włókł przecież bez trudu.

Szarpnął znowu i wciągnął torbę na łóżko. Była wyjątkowo ciężka, chociaż ładunek jak i wielkość walizki na to nie wskazywały. Zamykał ją zamek szyfrowy na trzy litery, który po kilku sekundach zdradził swe tajemnice czułym palcom Świętego. Gdy ten uniósł pokrywę, ujrzał dwa szklane słoje wielkości butelek na mleko, dobrze zawinięte w zmięte gazety.

Każdy z nich wypełniał po brzegi zielonkawy proszek.

Dziewczyna przyglądała się również.

– Nie wiem, czy wiesz, kochanie – powiedział łagodnie Święty – ale opiekowałaś się irydem, który wart jest jakieś dwieście tysięcy dolarów.

VII

Gdyby zareagowała inaczej, zacząłby ją ponownie podejrzewać. Teraz jednak oszołomiona w czysto mechaniczny sposób powiedziała:

– Tego szukałeś.

Było to proste stwierdzenie, niemal naiwne ze względu na bezbarwność.

– Przypuszczam – stwierdził – że to ładunek zrabowany w Nashville. A raczej jego dwie trzecie. To by się zgadzało. Reszta towaru krąży teraz na czarnym rynku.

Sięgając po papierosa ponownie zerknął na walizkę i zatrzymał wzrok na kombinacji liter, która otwierała zamek.

– Czy inicjały O.S.M. coś ci mówią? – spytał.

Twarz miała teraz zupełnie pustą. Przyglądał się jej. Bardzo wiele zależało od tego, czy ma rację i czy zdoła przejrzeć tę twarz, która nie powinna zabarwić się tym, czego w niej szukał.

– Napomnij o tym – powiedział. – To tylko domysł.

Zapalił papierosa, a ona usiadła ciężko na łóżku, patrząc na niego w osłupieniu.

Złożone na kolanach ręce lekko drżały.

– Twój chłopak zostawił ten towar u ciebie, w bezpiecznym miejscu, bo nikomu nie przyszłoby do głowy, by go tu szukać. Przypuszczalnie nawet jego najlepsi przyjaciele nie wiedzą, co go łączy z tym miejscem. A gdyby nawet, to nie podejrzewają go o taką głupotę, żeby pozostawiać ładunek wart dwieście tysięcy w garsonierze. Nazywamy to oczywistą techniką maskowania. Tak, to było dobre miejsce na zamelinowanie łupu. Ale najwidoczniej twój tajemniczy dobroczyńca się zdenerwował. Może boi się trochę ciebie i tego, co wiesz. Posłał więc Humpty’ego i Dumpty’ego, by to zabrali. – Święty pozbył się nieznacznie zimnego okrucieństwa wtedy, kiedy przybrał inny ton. – Co teraz?

– spytał spokojnie.

Kiwnęła głową jak mechaniczna lalka.

– Daj mi tylko szansę – poprosiła. – Gdybym tylko mogła sama to załatwić... Nie możesz dać mi trochę czasu?

Upewnił się już i podjął decyzję. Nie lubił się wycofywać.

– Nie tutaj – postanowił. – Nie wiemy, kim będzie następny gość, a na pewno nie chcemy, by Humpty i Dumpty obudzili się i podsłuchiwali. Gdyby któryś z tych niegodziwców domyślał się tylko, że ze mną tak rozmawiałaś, mógłby zainteresować się bliżej twym zdrowiem. A wolałbym, by nasza następna rozmowa nie odbywała w kostnicy. Spojrzała na niego przestraszonymi oczami.

– Myślisz, że ktoś mógłby mnie skrzywdzić?

– Bywało już – powiedział Święty z wielką cierpliwością – na tym grzesznym świecie, że ludzie, którzy wiedzieli zbyt dużo, doznawali krzywd, czasem nawet dość trwałych.

– Ale on... ten człowiek mnie nie skrzywdzi. Widzisz, jest we mnie zakochany.

– Nie mogę go za to winić – powiedział ugodowo Święty. – Jestem pewny, że podrzynając ci gardło, będzie gorzko płakał.

Szybko zamknął walizkę, uniósł ją ponownie, a drugą ręką wziął Barbarę pod ramię.

– Idziemy – powiedział. Wstała powoli z łóżka.

– Dokąd?

– Do jakiegoś pensjonatu, gdzie nikt cię nie zobaczy i nie znajdzie przez długie tygodnie.

Wyprowadził ją szybko z mieszkania i nacisnął przycisk windy, która tkwiła na tym piętrze.

Wszedł zaraz za nią i szybko zamknął drzwi.

– A tam, kochana – ciągnął, gdy stara winda zaczęła zgrzytliwie zjeżdżać – będziesz siedziała w wieży z kości słoniowej za drzwiami zamkniętymi na łańcuch, nie odbierając telefonów i otwierając drzwi tylko kelnerom z jedzeniem, które wcześniej zamówiłaś.

Albo wtedy, gdy usłyszysz mój głęboki i dźwięczny głos oznajmiający, że mam dla ciebie paczkę płatną przy odbiorze od Saksa z Piątej Alei. Wszystkich, którzy przybędą z telegramami, specjalnymi przesyłkami, kwiatami, hydraulika z torbą czy kuglarzy z misiami tańczącymi będziesz odsyłała. W ten sposób, mam nadzieję, że zaoszczędzę sobie wydatków na czyszczenie dywanu z twoich czerwonych ciałek.

Potem ją pocałował, bo gdy na niego patrzyła, była taka śliczna. Nie znalazł w niej nic takiego, co wykrywał u ludzi, którzy wciągali go do świata, jakiego nigdy by sam nie wybrał.

Było to jak pocałowanie orchidei, a wstrząsy zatrzymującej się windy, ustały w samą porę, bo został zamroczony odkryciem, czym może być pocałunek z nagle ożywioną orchideą.

Rozglądając się po ulicy, zaprowadził ją do taksówki, która na szczęście znajdowała się w pobliżu. Nie rozpoznał nikogo z przechodniów, ale pamiętał o ostrożności, która była zawodowym nawykiem Simona Templara nawet, gdy miał tymczasowe poczucie bezpieczeństwa.

– Stacja Penn – powiedział kierowcy. Dziewczyna spojrzała na niego pytająco, lecz uprzedził ją mówiąc szybko: – Złapiemy pociąg o dwunastej trzydzieści i zdążymy do Waszyngtonu na czas.

Zerkając od czasu do czasu przez tylną szybę, gawędził pogodnie o fikcyjnych sprawach, nie dając jej okazji do popełnienia błędu.

Cały czas jechali jednak w takim ruchu, że nie sposób było wykryć żadnego

śledzącego ich samochodu. Upewniał się tylko, czy niczego nie zaniedbał.

Gdy taksówka zajechała pod dworzec i utknęła przed rozładowywaną ciężarówką, wręczył kierowcy już przygotowaną opłatę wraz z napiwkiem. Nie czekając, aż samochód podjedzie bliżej, chwycił ciężką torbę, zaprzeczył ruchem głowy patrzącemu z nadzieją tragarzowi, chwycił za łokieć Barbarę Sinclair, pociągnął ją zręcznie i szybko ruszył przez zatłoczoną halę dworca do ruchomych schodów. Lawirował tak zwinnie, iż wywołałby łzy w oczach trenera rugby. Po kilku sekundach znaleźli się na Siódmej Alei przed hotelem PennsyWania.

– Nie tutaj – powiedział Święty. – To zbyt oczywiste. Mam coś innego na myśli.

Przejedźmy się jeszcze trochę.

– Ale dlaczego?

– Kochanie, przed twoim domem jest miejsce tylko na jedną taksówkę. Gdyby ktoś nas śledził, bez większego trudu odnajdzie kierowcę.

– Sądysz, że nas zapamiętał? Musi mieć tylu pasażerów.

Święty westchnął.

– Czy zastanowiłaś się kiedyś, dlaczego taksówkarze zawsze zwalniają przed pierwszymi czerwonymi światłami i zaczynają coś bazgrać? Myślisz, że każdy z nich pisze naprędce kawałek wielkiej amerykańskiej powieści? Otóż nie. Prawo nakazuje im prowadzić zapiski.

Skąd i dokąd jadą. Nasz kierowca nie musi więc mieć dobrej pamięci. Korzystając z notatek może nawet przypomnieć sobie, że mówiliśmy o wyjeździe do Waszyngtonu.

Jeśli twój piękny chłopak żywi jakikolwiek szacunek dla mojej genialności, co możliwe, to raczej nie uwierzy w wyjazd do Waszyngtonu. Nie będzie jednak pewny. Jeśli jest

bardzo sprytny, zacznie natychmiast myśleć o tym, o czym ci mówiłem – o oczywistej technice maskowania. A wtedy poczuje niepokój. Do jego myśli wkradnie się niepewność. Niepewność rodzi strach, a strach często skłania mądrych ludzi do postępowania zupełnie nielogicznego. W sumie trochę go to zaniepokoi.

Taksówka!

Zameldował ją w małym pensjonacie w bocznej uliczce od Alei Lexingtona jako żonę wymyślonego pana Tombsa, którego cmentarne nazwisko bawiło go prywatnie przez wiele lat.

Zostawił ją tam dopiero wtedy, gdy upewnił się, że zapamiętała hasło.

– Możesz sobie teraz rozmyślać w miłym otoczeniu – powiedział. – Zajrzyj w głąb swojej duszy i podejmij decyzję. Żałuję, że nie mogę tu zostać, by ci pomóc, ale mam coś do zrobienia, gdy będziesz tu borykała się z własnym zakłopotaniem.

Rozglądnęła się po pokoju i trochę zagubiona spojrzała na niego.

– Naprawdę musisz iść?

Nie musiała pytać, a on wolałby nie odpowiadać.

– Żałuję – powtórzył z uśmiechem – ale ta wojenka toczy się nadal, a nieprzyjaciel może nie czekać.

W korytarzu natknął się na gońca, który pomógł mu nieść walizę surowej skóry.

Patrzył na Świętego z mieszaniny zapału i podejrzliwości, nie mogąc się zdecydować, co wybrać. Torba ważyła najmniej sto funtów, a Święty niósł ją w jednej ręce tak, jakby była pusta.

– Wyściółka w tym paskudztwie zupełnie się odkleiła – rzucił lekko. – Czy jest tu w pobliżu jakieś miejsce, gdzie mógłbym ją naprawić?

Po cielecych oczach chłopca dostrzegł, że młodzieniec rozwiązał dylemat.

– Trochę dalej na Alei Lexington jest sklep z walizkami – powiedział.

Święty dał mu następny napiwek i wyszedł niespiesznie, lekko machając torbą.

Nie będąc supermanem, ugiął się pod ciężarem torby natychmiast po wejściu do sklepu. Czuł lekkie zwichnięcie lewej ręki, ale stać go było, żeby bawić się z wymyślanego zakupu, trochę dziwaczego, by określić ta najłagodniej, a który mocno zdumiał właściciela królestwa towarów sportowych.

Następny postój zrobił na posterunku policji przy Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy, gdzie zostawił ważną wiadomość dla inspektora Fernacka. Potem pojechał nową taksówką do Algonquin i doszedł do recepcji właśnie wtedy, gdy przystojny Allen Uttershaw odwrócił się od biurka i zauważył jego nadejście.

– „Osioł poniesie swe brzemie” – zauważył wesoło Uttershaw, unosząc brwi i patrząc na bagaż Świętego. – Właśnie o pana pytałem.

Simon dał torbę gońcowi i kazał ją zanieść do swego pokoju, a potem uściśnął dłoń Uttershawa.

– „Z każdym odźwiernym w armii, musi być osioł” – powiedział. – Czy nosi pan przy sobie kieszonkowe wydanie Znanych cytatów!

– To moja słabostka – przyznał Uttershaw – ale przynajmniej trochę wyróżniająca w zwyczajnych powiedzonkach. – Westchnął z dezaprobatą.

– Miałem zamiar zaprosić pana na obiad.

Simon uświadomił sobie, że jest głodny, bo więzienne śniadanie, którym go uraczono o tak nieludzkiej porze, nie wzbudzało przyjemnych doznań, do których był przyzwyczajony.

– Czemu nie? – powiedział.

Weszli do wyłożonej jasnymi płytami jadalni i zamówili sherry, mięczaki i solę.

Simon pociągnął łyk jasnołotej sherry i zauważył:

– Trochę tu spokojniej, niż w gniazdku, w którym ostatnio się spotkaliśmy.

– „Szczęście domowe, to jedyny skrawek Raju, jaki przetrwał po Wygnaniu” –

powiedział ironicznie Uttershaw. – Rzadko pozwalam, by moi partnerzy w interesach wciągali mnie do swego prywatnego życia, ale czasem nie sposób tego uniknąć. Przykro mi z pana powodu. Jeśli mi pan wybaczy uwagę, to wybrany przez pana sposób był może sprytny w teorii, ale znając lepiej Milтона Ourleya, nigdy by pan tak nie postąpił.

Święty pominął milczeniem fakt, że od samego początku ukartował całe spotkanie, a doceniając taktowne, przyjacielskie przemilczenia Uttershawa, uniknął wielu niepotrzebnych wykrętów.

– Sądzi pan, że mógłby coś powiedzieć, gdyby chciał?

– Gdyby chciał. Tak. Nie mam wątpliwości. Dostaje skądś potrzebny mu iryd, na pewno nie ode mnie. Nie chcę, by mnie pan uznał za wielkiego króla w handlu, ale to prawda, że nie ma żadnego legalnego sposobu zdobycia tego metalu, o którym bym nie wiedział.

Simon przez chwilę myślał nad tym oświadczeniem, patrząc jak pomiędzy stolikami zbliża się do nich kelner, wywijając półmiskami z mięczakami niby fenomenalny cyrkowiec.

Spojrzał na danie z aprobatą w tej samej chwili, gdy wylądowało przed nim siedem pięknych okazów, lśniących świeżością. Święty był bardzo zadowolony z potrawy.

Dobrze, że ją zamówił.

Uważnie zajął się chrzanem, sosem tabasco i cytryną.

– Przy okazji – spytał od niechcienia – czy pana towarzystwo ubezpieczeniowe wyznaczyło jakąś nagrodę za odnalezienie irydu?

– Dziesięć procent wartości od odzyskanej ilości – teraz z kolei Uttershaw spojrział z pewnym zaciekawieniem. – Czy pana zainteresowanie ma jakąś przyczynę?

– Częściowo – Święty uśmiechnął się lekko. – Ale tylko częściowo.

Wyciągnął ze skorupy tłustego, młodego mięczaka, zanurzył go w sosie i wchłonął delikatne, soczyste mięso z wielkim smakiem. Uttershaw zrobił to samo, ale patrzył przy tym uparcie na Świętego, u którego nie wywołało to żadnego zmieszania.

– Zwróciłem uwagę na pana ostatnie zdanie przed wyjściem – powiedział. – Ile wyśpiewał Linnet?

– Trochę za mało – odparł ostrożnie Simon. – Słyszał pan o nim?

– Czytałem poranne gazety.

– Co pan o tym myśli?

Sięgając po następnego mięczaka, Uttershaw zgarbił się lekko.

– Jako zupełny amator w tych sprawach zastanawiam się, czy ukarano go za to, że śpiewał za bardzo, czy też zaduszono, nim trafił w ton. A według pana?

Simon zwlekał z odpowiedzią wychylając sherry, a po odstawieniu kieliszka udawał, że już jej udzielił i może przejść do następnego tematu.

– Dostał wielkie nagłówki – zauważył leniwie.

– Był grubą rybą w swej branży – powiedział Uttershaw.

– Oczywiście znał go pan.

– Dość dobrze. W dawnych dobrych czasach, gdy mieliśmy iryd, zaopatrywał się u mnie.

– A potem?

– Potem biedaczek trafił chyba na czarny rynek z widocznymi skutkami. Pan prawdopodobnie wie o tym lepiej niż ja. Jak głęboko był zamieszany?

Simon poczekał, aż znalazła się przed nim solą i rozkoszował się pierwszym kęsem.

Potem odpowiedział bez ogródek, ale z przyjacielskim założeniem wzajemnej inteligencji.

– A może pan mi powie, dlaczego mam panu cokolwiek ujawnić, nim zada mi pan konkretne pytania?

– To uczciwe – przyznał od razu Uttershaw. – Jak wyjaśniłem wczoraj, zaangażowałem się finansowo. „Utrata bogactwa to utrata brudu”, jeśli wierzyć Johnowi Heywoodowi, a może Christopherowi Morley’owi? Ale to mój brud, który jest nie tylko przywilejem, ale i obowiązkiem.” Druga przyczyna jest banalna i ma charakter patriotyczny. Ponadto lubię pana osobiście i chciałbym, by się panu udało. Pomogę, jeśli zdołam, ale nie chcę się wygłupić, wyskakując z rewelacjami, które dla pana będą stare i nieświeże.

– Przykładowo – powiedział Święty równie mile – jakąż rewelację ma pan na myśli?

– Ciekaw jestem, co pan sądzi o Ourley’u?

Simon brał następne kęsy. Był głodny, ale zwracał uwagę na każdą oznakę smutku i niepokoju na szczupłej, wyrzeźbionej twarzy swego towarzysza.

– Okazało się, że jest małym człowiekiem z wielką żoną – powiedział błaho.

– „Jakby jego ulubionym miejscem były słabe kobiece piersi” zacytował Uttershaw ponuro.

– Milton naprawdę woli słabe, ale całym swym – jak to określić – roztrzepaniu, Titania jest twarda, chociaż sama lubi partnerów w tańcu, to jego śledzi czujnie jak jastrząb. Nie pozwala mu nawet trzymać w biurze maszynistki niżej czterdziestki.

Święty poczuł nagle dziwne ciarki na plecach.

– Milton godzi się z tym – spytał – czy mimo wszystko próbuje się zabawiać?

Uttershaw pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nic o tym nie wiem – powiedział. – Już panu mówiłem, że nigdy nie byliśmy sobie bliscy.

– Czy nigdy się nie zdradził?

Uttershaw ściągnął usta, zbliżył dłoń do wąskich szczęk i przybrał Zamyśloną minę.

– Może raz... – zaczął wolno i urwał.

– Tak?

– Do diabła, to nic nie znaczy. Było raz przyjęcie tylko dla mężczyzn w klubie dla uciskanych przedsiębiorców, do którego on należy i wtedy uparł się, że mnie na nie również zaciągnie. Z jakiegoś powodu nie mogłem się wykręcić, a może nie zdołałem dostatecznie szybko wymyślić jakieś wymówki. Ourley... ale tyle wtedy wypiliśmy, że to nic nie znaczy.

Świętemu wydało się, że powietrze wokół stolika pełne jest elektryczności jak przed nadciągającą burzą. Wiedział jednak, że u źródeł tego wrażenia jest jedynie mistyczne przeczucie.

– Niech mi pan pozwoli samemu to rozstrzygać – nalegał wesoło.

– Cóż, Ourley był dość pijany, jak większość tam obecnych, zaciągnął mnie w kąt i gadał, co mu ślina na język przyniosła. Myślę, że rozkleiło go wyrwanie się spod żelaznej pięści Tiny.

Choć przez jeden wieczór, miał złudzenie wielkości. In vino veritas. W każdym razie był w nastroju Casanovy. Powiedział, że ma klucz, o którym Tina nie ma pojęcia, że jest od niej o wiele sprytniejszy i tym podobne rzeczy. Nie zwracałem na to zbytnio uwagi i wykręciłem się jak mogłem najszybciej. Zadzwoił do mnie następnego ranka i zaczął się tłumaczyć, że wypił za dużo, co było prawdą, że mówił bzdury i że bym o tym

zapomniał. Nigdy o tym nie myślałem i oczywiście... – Uttershaw przerwał i uśmiechnął się trochę nieśmiało. – Ale to teraz właśnie robię, prawda?

VIII

Święty zjadł niezbyt dużo, co więcej, ledwie odczuwał, że jest po posiłku.

Tymczasem ciarki, które dotąd chodziły mu po plecach, teraz rozlały się po całym ciele, a ponadto czuł wyraźnie, że coś go uwiera i drażni, jakby poruszał sznurkami tkwiący w kącie czaszki mózg.

Wtedy to po raz pierwszy zwariowane kawałki łamigłówek ułożyły się razem i ujrzał rozpoznawalny obraz, co spowodowało dziwne zmiany w oddechu.

Wszystko to jednak działo się w środku, twarz zaś miał tak zastygłą, jakby była ona odlana z brązu.

– Nie będę pana trudził dalszym wypytywaniem o tę sprawę – powiedział beztrąsko, co jego rozmówca potwierdził skinieniem głowy, choć nadal patrzył z pewną ciekawością.

– Oczywiście. Nie przestaje mnie jednak dziwić, dlaczego pan pytał.

– Coś mi wpadło do głowy – powiedział Święty. – Z drugiej strony dziwi mnie, dlaczego wspomniał pan o Ourley’u.

– Niełatwo to wyjaśnić – odparł Uttershaw z wahaniem. – Wiem jednak z naszych kontaktów handlowych, może pan sam odniósł podobne wrażenie, że Milton jest „odrobinę zbyt zachłanny, by dbać tylko o radość”. Wydaje mi się również, że trzeba mieć bardzo poważne powody, by przytulić Titanię do łona i ją tam zatrzymać... Wiem, że niektóre operacje finansowe Milтона były, można je tak określić, na tyle skomplikowane, by większość swego majątku zarejestrować na nazwisko żony.

– Jest pan tego pewny?

– Całkowicie. W gruncie rzeczy niektórzy sądzą, że Tiny miała wielki udział w planowaniu i realizacji niektórych przedsięwzięć. Są sceptycy, którzy utrzymują, że

lekkomyślność Tiny to w dużej mierze poza. Jeśli tak jest, to robiąc z siebie karykaturę kobiety, musi grać o bardzo wysoką stawkę.

– Jeśli Tiny jest cichym współnikiem Milтона i trzyma łapki na forsie – stwierdził Simon ostrożnie – to jego życie domowe jest tym bardziej interesujące.

– „Niedola była solą sporu” – roześmiał się na chwilę Uttershaw.

– Wie pan, czuję się nieswojo mówiąc o tym. Simon lekko odsunął talerz w nieświadomym geście zakończenia posiłku i sięgnął po papierosy. Podsunął paczkę gościowi i powiedział:

– Może uda mi się panu pomóc. Jak daleko, według pana, posunąłby się Milton, aby rozpocząć samodzielnie interes?

Uttershaw zawahał się, nim przyjął od Świętego ogień. Potem wyprostował się i gwałtownie zaciągnął się papierosem.

– Nie myślałem o tym – powiedział i nagle spojrział wstrząśnięty.

– Naprawdę myśli pan o tym, czego się chyba domyślam?

– Tylko pytałem.

– Ale to niewiarygodne. Nikt sam nie jest w stanie stworzyć czarnego rynku. Musi mieć co najmniej paru pomocników. Mam na myśli pomocników w przestępstwach. Człowiek w rodzaju Ourley’a nie mógłby mieć takich kontaktów.

– Ludzie w rodzaju Ourley’a już je miewali. Nie tak dawno temu właściciele tajnych barów i przemytnicy alkoholu byli przyjmowani w każdym towarzystwie. Musi pan znać wielu dziwnych ludzi, gdy ma pan kłopoty z robotnikami czy konkurencją. Pośrednicy, którzy urządzą imprezy tylko dla mężczyzn w klubach dla uciskanych przedsiębiorców, mogą zawsze pomóc w nawiązaniu kontaktów z dziwnymi ludźmi. Każdy może zawrzeć wszelką znajomość, jaką chce, gdy tylko pragnie tego dostatecznie mocno.

Uttershaw bezradnie rozłożył ręce.

– Wydaje się to takie fantastyczne, myśleć o Miltonie Ourley’u jako o geniuszu zbrodni.

Przecież on jest...

– Kim jest? – naciskał spokojnie Simon.

– Jest tępym, wybuchowym, pozbawionym wyobraźni i pomysłowości gadułą! – sprzeciwił się Uttershaw. – Myśli tylko o tym, ile ma pieniędzy, albo ile mógłby ich mieć, gdyby nie Roosevelt; także o tym, co Tiny robi ze swym ostatnim żigolakiem czy też jak zostać dłużej w biurze i wyskoczyć z chłopcami do miasta.

– Geniusz – powiedział pouczająco Święty – nie ma na czole informacji o genialności.

Jeśli czyta pan kryminały, powinien pan tego nauczyć się na samym początku zabawy w detektywa. A na co dzień może być równie głupi i nudny jak każdy inny z dala od dziedziny, w której błyszczy. Czemu nie? Największy bakteriolog świata wyglądałby jak niedorozwinięty na zjeździe inżynierów budownictwa, a może nawet byłby niepożądany na wieczorku innych bakteriologów. Mógłby tam dostać ataku czkawki, lub zostać zmuszony do opisanie każdego uderzenia w czasie ostatniej partii golfa bez...

Przerwał nagle i szybko położył dłoń na ramieniu rozmówcy. Ostrzegawczy ruch oczu był dostatecznym wyjaśnieniem.

Uttershaw spojrzał tam, gdzie skierowany był wzrok Świętego. Jego jęk był tak cichy, że ledwie słyszalny.

Powiedział nie poruszając ustami:

– O wilku mowa.

Simon przytaknął z uśmiechem na twarzy. Dojrzał jej wejście w czasie rozmowy i ze

smutnym przeświadczeniem, że nadciąga przeznaczenie, obserwował jak metodycznie przeszukuje pokój, podobna do weterynarza, który czesze kudłatego psa żelaznym grzebieniem.

Titania Ourley sunęła teraz między stolikami jak piracki galeon pod pełnymi żaglami, który dostrzegł łup. Jej pulchną, nadmiernie umalowaną twarz uzupełniał jeszcze szeroki uśmiech kobiety nieugięcie przekonanej, że mimo wszelkich rozczarowań, jej urok i piękno przeniesie ją pogodnie przez rafy i inne życiowe przeszkody.

– „Miltonie, winienesz być z nami o tej porze” – z pewną rezygnacją sparafrazował Simon pod nosem.

– „Templariusz cię potrzebuje” – ciągnął dalej Uttershaw ze współczuciem.

– „Ona jest naroślą” – zakończył Święty i wstał, by schylić się nad jedną z dwóch dłoni, które ku niemu wyciągnęła z wielką hojnością.

Na czubku głowy nosiła konstrukcję z futra i piór, która okazała się kłasią lekko spleśniałych suszonych śliwek. Gdy usiadła, to dziełko omal nie wpadło do kawy Świętego, ale złapała je w porę i umieściła na pierwotnym miejscu z beztruską wskazującą na duże doświadczenie.

– Czułam, że muszę cię zobaczyć i przeprosić, drogi Simonie – powiedziała. –

Wczorajsze zachowanie Milona było tak niesłychanie haniebne, prawda, Allenie?

Uttershaw usiłował osiągnąć zarówno pewny komfort, jak i obojętną mglistość w swojej wypowiedzi, lecz był to zbędny wysiłek, bo pani Ourley umilkła tylko po to, by zaczerpnąć powietrza.

– Mam całe stosy płyt i myślałam, że moglibyśmy potem zatańczyć rumbę przy gramofonie, lecz okazało się, że nie możesz zostać nawet na kolacji. Powiedziałam o tym

Frankfurterowi. To nasz lokaj, klejnot w tej grupie, nie spotkałam takiego, a widziałam ich wielu.

Ale Milton się tak zachował. Była to dla mnie naprawdę wielka niespodzianka. I to po tym, jak straciłeś czas i zadałeś sobie trud, by przyjechać do Oyster Bay. Zużyłeś benzynę i opony, by spróbować wydobyć go z tych okropnych kłopotów z irydem.

Pokłóciliśmy się bardzo.

Powiedziałam mu, że jest zbyt chamski i że jest zdrajcą; a on powiedział... No, słyszałeś, jak mówi, gdy jest zły, nie mogę tego powtórzyć. Miałam jednak taką nadzieję, że cię tu zastanę i wytłumaczę, że nie była to moja wina.

– Nigdy tak nie myślałem – zapewnił ją Simon, a od dalszych pocieszeń wybawił go na szczęście goniec, który poprosił Uttershawa do telefonu.

– Przepraszam – powiedział Uttershaw z odrobiną złości i odszedł z wdziękiem.

Pani Ourley patrzyła za nim z pewną zmysłowością kobiety w średnim wieku.

Znowu przechyliła kapelusz, a gdy wzrokiem wracała do stolika, wtedy jeszcze raz wyprostowała go z nonszalancką zręcznością, by powiedzieć:

– Czyż to nie bardzo czarujący mężczyzna?

– Miły człowiek – przyznał Święty.

– I boski tancerz. Zawsze jest taki taktowny. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby go wtedy nie było. Milton staje się niemożliwy, gdy nadchodzi go humory. Na szczęście nigdy nie trwają dłużej niż kilka tygodni. Simonie, mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że mówię do ciebie po imieniu, ale wydaje mi się, jakbym cię znała od wielu lat.

Naprawdę musisz – przyjść do nas na obiad kiedyś wieczorem. Mam cudowną kucharkę.

Robi ciasta dosłownie rozpływające się w ustach.

– „Prosty Simon spotkał cukiernika idąc na targ” – mruknął Święty i natychmiast

pomyślał, że popadł w manię cytowania.

– Co?... Och, głuptasie! Oczywiście nie o tym myślałam. Ale moja kucharka to naprawdę skarb.

– Wyglądasz jak żywy hołd złożony jej geniuszowi – powiedział Simon z kamienną twarzą, a pani Ourley aż pojaśniała.

– Mówisz tak słodko. Ale zaczęłam o Miltonie. Wiem, że nie powinnam mówić o mężu, ale jest on tak żałośnie zazdrosny. On...

Simon słuchał z najwyższą uwagą jej opowieści o pewnych nierozsądnych uczynkach Milтона Ourleya, a przy tym spoglądał bacznie na twarz kobiety, która siedziała po drugiej stronie stołu.

Musiał przyznać, że zasiane przez Uttershawa pomysły wydały obfite plony.

Dostrzegł bezwzględną chciwość pod głupawym trajkotem, jakim Titania Ourley mamiła słuchaczy, którzy inaczej od razu dostrzeżliby zadziwiający obraz obłudy. Teraz, nie wiedząc o niej nic więcej, był już przekonany, że jest niebezpiecznym przeciwnikiem. Czuł też, że przez zwodniczą wylewność i wyzywające perfumy stanowi bogaty materiał dla wytrawnego badacza kamuflażu.

Opowieść o zaniedbaniach Milтона Ourleya ciągnęła się dalej, ale Święty rozmyślał o niej.

Regularnie przytakiwał i zachęcająco chrząkał we właściwych miejscach. Udało mu się też przybrać minę zawodu, gdy recital został przerwany przez powracającego Allena Uttershawa.

– Usiądź – zachęciła go pani Ourley. – Właśnie opowiadałam Simonowi... To znaczy panu Templarowi... To znaczy Simonowi...

– Przepraszam – powiedział łagodnie Uttershaw. – Jestem taki zajęty. Dzwoniono

z mego biura i obawiam się, że inny człowiek zajęty tak samo zaczyna się niecierpliwić.

– Jesteś podły!

Pani Ourley zrobiła nadąsaną minę. Na pewno czytała o niej w pismach, ale w jej wykonaniu wyglądało to tak, jakby natknęła się na zdechłego szczura.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Uttershaw. – To nie dlatego, że chcę „gardzić radościami i spędzać dni w trudzie”. – Zwrócił się do Simona i wyciągnął rękę z uśmiechem oraz odrobiną figlarnego rozbawienia, które nie miało nic wspólnego ze zwykłą wytwornością.

– Rad jestem, że zostawiam pana w tak dobrym towarzystwie.

– Spojrzał znów na panią Ourley.

– A gdzie jest Milton?

– W klubie Harvard; je obiad z jakimiś ponurakami z Waszyngtonu, tak przynajmniej powiedział – dodała ponuro. – Ostatnio mam pewne podejrzenia, co robi Milton, gdy mówi, że robi coś innego, jeśli mnie pojmujesz. Czemu pytasz?

– Może zechcę się z nim skontaktować po południu – rzucił lekko Uttershaw.

Kończąc zdanie spojrzał konspiracyjnie na Świętego.

– Miło mi się rozmawiało. Może spotkamy się wkrótce.

– Bardzo szybko – obiecał Simon.

Gdy tylko Uttershaw wyszedł, Simon usiadł i zobaczył, że pani Ourley patrzy badawczym wzrokiem na jego plecy czego przedtem w jej podnieconych oczach nie zauważył.

– Jak sądzisz, po co on może chcieć się spotkać z Miltonem? – spytała.

Mówiła bardziej do siebie, niż do niego, ale już bezmyślnie przestała się gapić.

– I zjadł z tobą obiad... Czy miało to coś wspólnego z irydem? – spytała ostro.

Każdy zauważyłby zmianę tonu w jej głosie; błysk stali pod bitą śmietaną i szpony pod piórkami.

Simon sięgnął po kawę i pociągnął łyk.

– To chyba oczywiste? – odparł spokojnie. – Wiesz, że dobieram się do czarnego rynku.

Wiesz, że przed kryzysem Allen Uttershaw był największym dostawcą irydu. Myślę więc, że ten temat może być przypadkowo poruszony.

Jej blade, lekko wyłupiaste oczy nabrały metalicznego blasku. Pokryte grubo szminką usta zacisnęły się, a pulchne rysy stężały pod sztywniejącą też skórą.

– Co ci powiedział? – rzuciła natarczywie.

Święty nie odpowiedział. Ściągnął tylko brwi w uprzejme i otwarte pytanie równie wymowne, co słowa. Nie otwierając ust chciał wiedzieć, co u diabła obchodzi Titanię Ourley, o czym rozmawiał z Allenem Uttershawem. Przyjęła cios jak bokser, który natrafił na lewy prosty. Mógł niemal dojrzeć, jak ten cios łąduje na jednym z mięśni podbródka, który jej zwisał poniżej nagle twardniejących ust.

Oprzytomniała bardzo szybko, czym wzbudziła jego niechętny podziw. Była o włos od groźby i władczości przed cynicznym wyzwaniem; teraz po sekundzie cofnęła się i zaczęła grzebać w olbrzymiej torebce, by wyciągnąć cygarniczkę podobną do nabijanej klejnotami piszczałki z organów w katedrze. Stała się teraz równie nudna jak przedtem.

– Obawiam się, że jestem zbyt wścibska – zaświergotała. – Zapominam, że jesteś Świętym, że wszyscy mają cię za takiego. Przecież zrobiłam z ciebie mego spowiednika, prawda?... Przyznaję jednak, że jestem ciekawska. – Pochyliła się tak, że fala zapachów, jak ze szklarni, wprost zatkała nozdrza Świętego. – Choć nie plotkuję o innych... Bóg mi świadkiem, że nawet moi najwięksi wrogowie nie mogą tego o mnie powiedzieć! Ale

przyznam ci się, że nad panem Uttershawem często się zastanawiam.

IX

Simon Templar wlał do filiżanki resztki kawy z dzbanka i pomyślał, że życie oferuje na pewno wiele możliwości, gdy różni ludzie zaczynają się sobie przyglądać. Była to poważna pozycja po stronie zysków w jego budżecie intelektualnym, ale postanowił jej niczym nie ujawniać by, pozostać nadal biernym słuchaczem.

Titania Ourley niewątpliwie spodziewała się po nim jakiejś reakcji i wydawała się trochę rozczarowana, gdy jego rysy pozostały niezmiennie oczekujące. Mimo to pochyliła się bardziej nad stolikiem, zalewając go następną falą egzotycznych woni, które, jak sądził, musiały powstać w jakimś mikserze.

– Nie zdziwiłabym się wcale – powiedziała złowieszczo – gdyby ktoś przyjrzał się bliżej Allenowi Uttershawowi i dostrzegł sporo zabawnych rzeczy. Och, wiem, że z niego cudowny tancerz i że zawsze jest tak doskonale doskonały, jeśli mnie rozumiesz! Ale czyś nie zauważył, że jest w nim coś tajemniczego! Niechętnie to mówię, bo nie ma go tutaj i nie może się bronić, ale wiesz, czasem sobie myślę, że nie jest zupełnie normalny!

– Naprawdę? – rzucił powoli Święty. – Sądzisz, że on...

– Och nie – nic takiego!

Simon był przygotowany, żeby poznać, co to „takiego”, z czym Allen Uttershaw nie miał nic wspólnego. Podejrzewał najgorsze, zważywszy na szczególny umysł pani Ourley.

Przybrał minę zdumionego i zaciekawionego, czekając, co nastąpi dalej.

– Mówiąc tak – wyjaśniła – myślałam, że on... No, mogę tylko powiedzieć, że jest nietowarzyski. – Głos zaczął jej wibrować. – Czy wiesz, że wiele razy zapraszaliśmy go na kolację, lecz wczoraj zjawił się po raz pierwszy po kilku miesiącach!

Odsunęła się triumfalnie w takim nastroju, jakby dostarczyła nieodparty dowód, że przedstawiła niebezpiecznego człowieka, którego należy przy najbliższej okazji zamknąć w celi bez klamek.

Simon ponuro cmoknął i z przerażeniem kiwnął głową, gdy zrozumiał, iż jego poprzedni rozmówca jest niewątpliwie nieuleczalnym schizofrenikiem. Jego wyraźnie widoczne strapienie tak pod – łechtało panią Ourley, że przystąpiła do dalszych wyjaśnień.

– To nie wszystko – powiedziała zupełnie poufnie, a słyhać ją było najwyżej trzy stoliki dalej – myślę też, że z Miltonem ma na pieńku. Oczywiście przyjacielski i czarujący jak zawsze, ale za plecami Milтона robi różne rzeczy.

– To straszne – mruknął Święty z powagą, nie przejmując się, że ona, jako cel jego uwagi, dostrzeże insynuację czy sarkazm.

Miał całkowitą rację i ta satysfakcja była warta próby.

– Tak, istotnie – powiedziała ze zgrozą. – Na przykład, gdy niedawno Milton chciał wstąpić do jednego z klubów Allena, został przegłosowany. A wiem z bardzo pewnego źródła, że to Allen rzucił czarną kulę przeciwko niemu. I po tym zjawił się w naszym domu!

Simon poszukiwał słów dla wyrażenia odrazy wobec tak perfidnego, postępowania, lecz uratował go dzwonek zanim znalazł właściwe wyrażenie. Jak z nieba zjawił się przy stoliku ten sam goniec.

– Telefon, panie Templar.

– Dziękuję – powiedział Święty, bardzo szczerze. Przeszedł do budki w korytarzu i rzucił:

– Hallo.

– Co u diabła – głos inspektora Fernacka ryknął jak pękająca tama – tam robisz?

Święty uśmiechnął się i wyjął papierosa z paczki w kieszeni.

– Cześć, John Henry – powiedział serdecznie. – Właśnie skończyłem obiad i kocham się z dziewczyną od Ziegfelda. A co ty robisz?

– Jak uciekłeś?

– Nie uciekłem. FBI mnie zwolniło. Obiecałem być grzeczny, spojrzeli na moją anielską twarz i uznali, że można mi zaufać.

– Jeśli sądzisz...

– Sądzę, Henry. I nie wysyłaj tuzina samochodów na sygnale, by znów mnie zamknąć, bo w FBI dowiedzą się o tym natychmiast. Pomyślą, że złamałem słowo, zadając się z niewłaściwymi ludźmi na policji i oczywiście przyjdą, by znów o mnie poprosić.

– Nie mogę uwierzyć...

– Ale musisz, towarzyszu. Jeśli nie, staniesz się wielkim głupkiem. A to byłoby niedobre.

Pomyśl o swej godności. Pomyśl o prestiżu Policji. A jeśli to dla ciebie za trudne zadanie, zadzwoń do biura Brata Eldona i sprawdź.

Nastąpiła przerwa, podczas której Simon niemal widział, że aorta detektywa pracuje tak, jak u podrażnionej ryby nadymki.

W końcu Fernack odezwał się boleśnie parodiując swój zwykły głos.

– Templar, co knujesz?

– Słyszałeś o Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy?

– Tak – przyznał z trudem. – Ale...

– Przynajmniej coś masz.

– Ale gdzieś to znalazł?

– Nie mogę ci jeszcze powiedzieć, ale przynajmniej wskazuję ci ślad. Czyż nie jestem dla ciebie dobry? Nie sądzę, byś to docenił. Pomyśl o chwale, którą pomagam ci zdobyć. A teraz dam ci coś jeszcze. Jutro połowa nagłówków w porannych gazetach będzie o tobie.

– Jak to? – Fernack zapytał podejrzliwie.

– Za kilka minut każdy bystry byczek, który wejdzie tutaj, do mego apartamentu przyłapie starych znajomych. Nazywają się Rico Varetti i Cokey Walsh. Będą usiłowali ukraść bardzo ładny bagaż, a może nawet zrobić mi coś nieprzyjemnego. Na pewno masz ich w aktach.

– Znam obu. Ale co mają wspólnego...

– Przekonasz się. Przybądź i dokonaj flagrante delicto.

– Nie mogę – powiedział Fernack z męką. – Za kilka minut muszę znaleźć się w sądzie w innej sprawie.

– To pošlij kogoś innego.

– Czy to pewne?

– Słowo honoru!

Po sekundzie czy dwóch Fernack powiedział – Wyślę Kestry’ego i Bonacciego.

Chyba ich znasz!

Święty znał ich. Spotkał ich wtedy, gdy po raz pierwszy zetknął się z inspektorem Fernackiem i było to spotkanie pouczające. Gdy przypomniał sobie tamto spotkanie, usta mu się zacisnęły, ale wzrok miał nadal bystry.

– Sądzę, że zdołają zapanować nad sytuacją – mruknął.

– W gruncie rzeczy mało jest takich sytuacji, nad którymi te dwa młoty nie potrafią

zapanować.

– Liczę, że zapobiegną kłopotom – przyznał Fernack z niezgrabnym szacunkiem. –

Ale za co mają aresztować Varettiego i Walsha?

– Nie wiem, jakie jest najpoważniejsze ich przestępstwo – powiedział Święty – ale

jeśli nie wymyślą nowego na miejscu, to powiem, że opuścili się mocno od czasu naszego ostatniego spotkania. W każdym razie Varetti i Walsh na pewno sporo wyśpiewają, gdy zostaną zabrani na zaplecze z gumowym węzłem. A może ten priorytetowy interes tak się popsuł, że nie możesz już zakupić wyposażenia do twojego laboratorium?

Słuchawka znów się rozgrzała.

– Pośmiejesz się z tego innym razem – chrząknął Fernack.

– Zapowiadam ci jednak, jeśli to następna twoja...

– Henry – powiedział Święty cierpliwie – zostało mi już mało czasu. A jeśli próbujesz mnie tu zatrzymać, nim nie przybędzie lotna brygada, to nie mów, że cię nie ostrzegałem.

– Nie wysłałem po ciebie żadnej lotnej brygady.

– To dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

– Chciałem tylko sprawdzić, czy już wróciłeś, a gdy cię wezwali...

– Masz dobre serduszko. Teraz odwołaj wóz patrolowy i się pośpiesz. Muszę coś zrobić...

– Ale gdzie?

– Zadzwonię do ciebie za chwilę – powiedział Święty. – Bądź w kontakcie ze swym biurem i pozdrów ode mnie sędziego. Mam nadzieję, że wygrasz sprawę bez krzywoprzysięstwa.

Odwiesił słuchawkę jeszcze w trakcie skrzeczącego błagania i wrócił do jadalni, by dokończyć przerwana rozmowę.

Chciał posłuchać dalej pani Ourley, choć czuł, że czas mija, a on musi przeprowadzić bardzo ważną rozmowę. Nie mógł jednak niczego pominąć, a żadne uprzedzenie nie mogło go pozbawić dostępu do nowych rewelacji.

Usiadł, jakby nic się nie zdarzyło i podjął rozmowę równie gładko, jakby nigdy jej nie przerywał.

– Milton nie powinien się chyba martwić takim głupstwem jak członkostwo klubu – powiedział pocieszająco. – Musi wam się teraz dobrze powodzić.

– Nie możemy narzekać – rzekła z zadowoleniem pani Ourley. – Choć oczywiście podatki są straszne i nie wiem, co zrobimy w przyszłym roku, jeśli Ten Człowiek dalej będzie próbował wszystkich rujnować. Namawiam jednak Milтона, by oszczędzał każdy grosz. Ja zaś zajmę się oszczędnościami. Niedługo, gdy uzbieram odpowiednią sumkę, kupię trochę obligacji wojennych. Myślę, że to znakomita inwestycja... Wiem jednak, że te rzeczy cię nudzą. Nie sądzę, by jakikolwiek młody mężczyzna, mam na myśli przystojnego młodego mężczyznę, musiał się kiedykolwiek martwić o pieniądze.

– Ja też nie – przyznał Simon. – Choć to osobliwe, że nie ma żadnej organizacji, która daje przystojnym młodym mężczyznom darmowe posiłki, ubrania i alkohole.

W oczach pani Ourley pojawił się dawny błysk, lecz jej głos bulgotał nadal tą samą usypiającą głupotą.

– Po prostu nie spotkałeś bogatych ludzi – odparła patrząc figlarnie obok niego.

– A może jesteś przy nich zbyt nieśmiały i siedzisz w przejściu, gdy tyle wolnych miejsc...

Simon przesunął stolik i zrobił jej miejsce. Poruszyła się tworząc chmurę z perfum,

co spowodowało, że inni jedzący, odsuwali się od nich.

– Szkoda, że jesteś tak strasznie zajęty – powiedziała i rozwijała ten temat nie czekając, aż potwierdzi czy zaprzeczy. – Powinieneś znaleźć czas dla pewnych ludzi, którzy mogą ci pomóc.

Naprawdę chcę ci pomóc. Oczywiście uganianie się za przestępcami musi być bardzo podniecające, ale czy może to wypełnić życie?

– Właściwie nie wiem – odparł łagodnie Świąty. – Uważałaś je chyba za dość pełne, gdy przysłałaś do mnie i poprosiłaś, bym pogonił za Miltonem.

Zachichotała piskliwym falsetem.

– Byłam na niego wściekła – przyznała. – Ale nie znałam cię wtedy osobiście tak jak teraz.

Uważam cię już za przyjaciela i tak bardzo pragnę, by ci się powiodło.

Zastanawiam się więc, dlaczego chce ci się tak ciężko pracować i narażać na okropne niebezpieczeństwa, gdy na pewno mnóstwo ludzi płaciłoby ci, och, ogromne sumy za to tylko, że byłbyś sobą.

Simon spojrział na nią, a jego niebieskie oczy były teraz lodowate.

– Masz na myśli, że ktoś mógłby mnie przekupić, i to hojnie, gdybym przestał zajmować się aferą z irydem? – spytał leniwie.

Pani Ourley zaśmiała się znowu, wydając dźwięk, który jej wydawał się zapewne melodią dzwonek z bajki, a brzmiał dokładnie jak zmiotanie pękniętej szklanki do kubła na śmieci.

– Mówisz takie śmieszne rzeczy! Myślałam tylko, jak by to było miło, gdybyś mógł zobaczyć nowe przedstawienie w Copacabanie. Muzyka jest tam wprost niebiańska.

Strasznie mnie podnieca. Milton powiedział, że będzie dziś pracował do późnego

wieczora, a ja miałam nadzieję...

Paplała dalej, a Simon udzielał jej starannie dobranych odpowiedzi. Myślami był daleko i działał jak maszyna. Mrowienie” jakie odczuł kilka minut temu, rozszerzało się coraz bardziej i stawało się dominujące, tkwiło w nim teraz równie mocno, co spożyty właśnie posiłek.

Wiedział, że ma już w rękach wszystko. W każdym razie tyle, ile pragnął. Resztę będzie zawdzięcza własnemu rozumowi i spostrzegawczości. Musi właściwie ocenić charaktery, motywy i możliwości fizyczne. Musiał rozważyć to, co usłyszy od innych, oddzielić rzeczy groźne od głupich; a zwłaszcza głupie, które wyglądają na groźne od złowieszczych, które wydają się być głupimi. Musi odrzucić wszystkie ryby wędzone, skupiając się wyłącznie na świeżych.

Ale nie mógł tu siedzieć i zastanawiać się bez końca. Musiał działać. Musiał działać szybko i dobrze, żeby nie doszło do następnego morderstwa, do następnej ofiary złożonej tępych, złotych bóstwom, które uznał za swych wrogów.

W tej właśnie chwili uniósł brwi i ujrzał Milтона Ourley’a stojącego przy wejściu do jadalni.

X

Święty nie był zdziwiony. To fakt. Pojawienie się pana Ourleya było naturalne i nieuniknione.

Stanowiło jakby ogniwo łańcucha, który musi być mocny i niezawodny. Brak jednego elementu mógłby rozerwać tworzącą się pętlę. A więc ogniwo było konieczne, ale nie tworzyło żadnej nowej, nagłej komplikacji.

– Nie patrz tam, ale twój mąż chce się chyba do nas przyłączyć – powiedział.

Pani Ourley oczywiście spojrzała, ale nie krzyknęła bojaźliwie zmieszana, mimo że można by się było spodziewać tego po jej poprzednim zachowaniu w sieni własnego domu w Oyster Bay.

Zamiast tego wbiła z całej siły karminowe paznokcie w obrus tak, że na płótnie pozostały bruzdy.

Twarz jej zbladła pod skorupą pudru. Wyglądała jak zamrożony duch. Z taką majestatyczną surowością mogła wygrywać bitwy na zebraniach klubów kobiecych.

– Zostaw to mnie – powiedziała złowieszczo i wstała. Ruszyła z zaskakującą, przy jej budowie ciała, szybkością.

Spotkała się z Miltonem Ourley'em w połowie sali. Znow wyglądała jak wielki galeon płynący wśród portowego zamieszania. Milтона można było przyrównać do szerokiego, ruchliwego holownika, tylko że tym razem galeon włókł go za sobą. Simon usłyszał coś w rodzaju niewyraźnego „dabby dab dab”, niby dudnienie dalekiego grzmotu, ale nie wpłynęło to na ogólną sytuację na sali. Pan Ourley, – choćby nie wiadomo jak starał się dostać do stolika Świętego, to i tak jego sukcesy w tej walce były niedostrzegalne. Znoszony jak muszelka przez falę, wytworzoną przez swą królewską małżonką, został wyciągnięty na korytarz, gdzie nadal buczał jak zdenerwowana syrena

przeciwniegielna. W końcu zniknął z oczu.

Simon pochylił głowę. Badał i podpisywał czek, który już leżał na stoliku, a gdy zauważył maître d'hôtel, przywołał go nieznacznym gestem.

– Raul, czy można stąd wyjść nie przechodząc korytarzem?

Jeśli nawet maître d'hôtel miał własne teorie na temat motywów postępowania Świętego, to był zbyt dobrym dyplomatą, by dać im wyraz. Na dodatek, nie bez zawodowych powodów, Święty dawno już otoczył go swą szczodłą opieką.

– Jest tylne wyjście – powiedział. – Chciałby je pan zobaczyć?

– Może nawet się w nim zakocham – uśmiechnął się Święty.

Przeszli na drugi kraniec jadalni, minęli dotrze zaopatrzone spiżarnie, czystą kuchnię, w której ostro pracowało kilka osób i rząd kredensów prowadzących do drzwi. Tam przy małym stoliku siedział portier i jadł pieczeń. Na ich widok wstał. Z tyłu biegł jeszcze wąski, krótki korytarz i następne drzwi otwierały się na Czterdziestą Czwartą ulicę.

Simon obejrzał się i przystanął.

– Czy to służbowa winda?

– Tak, proszę pana. Chce pan z niej skorzystać?

– Można dostać się nią na górę i z powrotem, bez konieczności korzystania z korytarza?

– Tak, proszę pana. Święty pogładził podbródek.

– Chciałbym to zrobić, ale czy George wypuści mnie, gdy zjadę?

– Oczywiście – Raul zwrócił się do portiera. – Proszę wypuścić pana Templara, gdy będzie gotowy. – Ponownie spojrział promiennie na Świętego. – Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

Simon z uśmiechem ruszył w stronę służbowej windy.

– Już wiele zrobiłeś, Raul. W gruncie rzeczy złamałeś przy tym chyba wszystkie przepisy i pan Case prawdopodobnie cię wyleje.

Maître d'hôtel wzruszył z radością ramionami.

– Przepisy obowiązują wszystkich, ale nie Świętego. Do obsługującego windę zaś powiedział – Zabierz pana Templara na górę i zwieź, gdy tylko będzie chciał.

Uśmiechnął się do Świętego z wspaniałością burmistrza, który właśnie wręczył klucze do miasta, i w końcu odezwał się z czarującą obojętnością:

– Czy chce pan zostawić jakąś wiadomość?

Simon pokręcił głową.

– Wykręć się tylko od kłopotów i udawaj, że mnie nie widziałeś.

– Ależ nie widziałem, jak pan wychodził, panie Templar – powiedział Raul. – Nie patrzyłem.

Odwrócił się, a Simon wszedł do kabiny. Ruszyła w górę w umiarkowanym tempie, odpowiednim do stateczności hotelu.

Wysiadając na trzecim piętrze spojrzał automatycznie na zegarek. Był to nieomal odruch.

Położenie wskazówek nie miało znaczenia. Poczucie czasu nosił w sobie. Trenował to bardzo długo i dawał sobie zaledwie bardzo wąski margines psychicznego luzu.

Pomyłka choćby o kilka minut mogłaby spowodować katastrofalne skutki. Tym razem planował coś tak mglistego, iż jedynie jego intuicja gwarantowała, że to ma szansę powodzenia. Z milimetrową precyzją wsunął klucz do zamka i wszedł bez szmeru do apartamentu, trzymając dłoń na pistolecie, który rano pożyczył od pana Varettiego. Już raz został przyłapany i nie zamierzał powtarzać podobnego błędu.

Najwidoczniej zmieścił się w danym sobie czasie. W saloniku nie było nikogo,

podobnie za portierami oddzielającymi sypialnię, w łazience, szafie i pod łóżkiem.

Sprawdzał wszystko oddzielnie i metodycznie, nie zdradzając żadnym dźwiękiem swej obecności, póki nie przeszukał całego wnętrza.

Dopiero wtedy się uspokoił, ale odmówił sobie papierosa, za którym już tęsknił, bo nie chciał pozostawiać zapachu świeżego dymu.

Walizka, którą tu przysłał, stała obok kanapy w saloniku. Nie dotknął jej.

Za oknem sypialni widniały żelazne przeciwpożarowe schody. Simon wybrał ten apartament ze względu na nie, ale był to obosieczny atut. Drzwi wejściowe można było tak czy inaczej pokonać, choć sprawiłoby to pewne trudności. Lecz wtedy Simon miałby czas na ucieczkę schodami.

Korytarzyk od drzwi prowadził do saloniku pod takim kątem, że tworzył narożnik, z którego można było obserwować oba wejścia. Simon ustawił się tam, by czekać cierpliwie i nieruchomo jak posąg w niszy.

Ktoś w sąsiednim pokoju nastawił na pełny regulator radio Ryczało tak dwie, trzy minuty nim zostało przyciszone Nawet potem grało za głośno.

Oczywiście, mogą próbować dostać się frontowymi drzwiami. Varetta czy Walsh pewnie znają się na zamkach, albo będą na tyle sprytni, by dorobić zapasowy klucz. Czy też są na tyle bezczelni, że spróbują je wyłamać i zadziałają na zasadzie: walnij-złap-uciekaj!

To ciekawe. Od początku jest przekonany, że to będą Varetta i Walsh. Tak myślał nawet wtedy, kiedy telefonował do Fernacka. Zostawił ich zamkniętych w szafie Barbary Sinclair z myślą, że zjawią się tu o tej porze, by odnowić znajomość na własnych warunkach.

Wszystko mogło jednak ulec zmianie. Nie miał pewności jak długo był przekonany,

że nie czekają tam, gdzie ich zostawił, ale chyba od początku nie miał Wątpliwości, że tam ich nie będzie. Był to jeden z tych niewytłumaczalnych czterowymiarowych skrótów, dzięki któremu dostrzegał wynik, nim mógł prześledzić wszystkie kroki i etapy, które do niego prowadziły. Simon wiedział, że Varetti i Walsh wydostali się, bo tylko przy tym założeniu mogły się zdarzyć inne rzeczy. Albo odwracając sprawę, ponieważ zdarzyły się inne rzeczy, musieli się wydostać.

A waliza z surowej skóry stała obok kanapy i ktoś na pewno po nią przyjdzie.

Wynajęcie któregoś z apartamentów bezpośrednio nad nim nie wymaga większego zachodu. Z każdego z nich można się dostać na przeciwpożarowe schody, prowadzące na ciemne podwórko wewnętrzne, na które nikt zupełnie nie zwraca uwagi. Tak więc, nie było żadnego problemu...

Naprawdę chciało mu się zapalić. Ile czasu może czekać, tak zgarbiony, a jeśli się jednak pomylił, i lis zmyka teraz przez inne zarośla?

W sąsiedztwie radio trajkotało jakieś, wywołujące wymioty reklamy o groźbie grzybicy stóp czy innych, równie interesujących schorzeniach. Słyszał każde słowo, jakby grało w jego pokoju.

Zastanawiał się, czy zdoła zagłuszyć dźwięki, których oczekiwał.

Nie zagłuszyło. Usłyszał je. Dobiegł go powolny, ostrożny zgrzyt unoszonego delikatnie okna.

A potem stłumiony chrobot podciąganych rolet.

A więc wybrali schody przeciwpożarowe i okno sypialni. Nie czekał nadaremnie.

Przez moment dzwoniła cisza i znów usłyszał jakiś dźwięk, lecz teraz działał gładko i zimno jak doskonale wyregulowany mechanizm, a tętno miał ciche jak zmarszczki na zatoczce, otaczającej ład o zachodzie słońca. Wysunął się bezszelestnie z kąta i ruszył

wzdłuż ściany w stronę drzwi wejściowych, z dala od pokoju, tak by goście, zanim go dostrzegą mogli, wejść do saloniku.

Święty wsłuchiwał się w każdy krok w sypialni. Czasem docierało do niego szuranie przesuwanej stopy i szorstkie: – Prędeej, prędeej!

– Znow zazgrzytała roleta i wyczuł nowy ruch. Dziwne, że to wszystko słyszy, mimo włączonego radia. Pojął jednak, że to zupełnie inna barwa dźwięku, która nie przeszkadza, podobnie jak w kinie, kiedy słyszy się kaszel dobiegający z innego rzędu, pomimo dźwiękowych efektów bombardowania. Rozróżnił nawet cichy odgłos uwalniania napiętego oddechu.

Dodatkowo poczuł w powietrzu nowy zapach, mógł go rozpoznać, choć został niedawno odurzony połączonymi woniami perfum pani Ourley. Wiedział, nim jeszcze kątem oka dojrzał ulizaną głowę, że to szczególnie wstrętny zapach pomady pana Varettiiego.

Varetti wpatrywał się w skórzaną torbę, gdy z sypialni wynurzył się Cokey Walsh.

– Jest – powiedział z głębokim zadowoleniem.

– Gdyby tylko tu był ten sukinsyn Templar – dodał pan Walsh.

– Chciałbym...

Wyliczył kilka rzeczy, jakich nie ma potrzeby tu powtarzać, bo wniosłe umysły czytelników tego reportażu nigdy nie uwierzyłyby, iż jakiś człowiek może mieć tak bezecne zamiary.

Varetti, bardziej praktyczny, przerwał mu w środku zdania pytaniem, które od zarania gasiło w zarodku najwspanialsze fantazje poetów.

– Może byś zamknął pysk? Z trudem uniósł ciężką torbę.

– Zejdziemy schodami i wyjdziemy frontowymi drzwiami – powiedział.

- Może być na korytarzu – stwierdził Cokey.
- Pójdiesz przodem i upewnisz się.
- Chciałbym się jeszcze spotkać z tym sukinsynem.
- Masz mnóstwo czasu.

Varetti odwrócił się w stronę drzwi. Wówczas zobaczył, że stoi przed nim Święty, elegancki, czarowny i uśmiechnięty z pistoletem wymierzonym idealnie na wysokości pasa. W oczach tańczyły mu błękitne iskierki diabelskiej kpiny.

Można mówić o pechu, bo w tej chwili okazało się, że między starannie dobranymi meblami w hotelu Algonquin brakowało jednak dwóch beczek miękkiego, sztukatorskiego gipsu. Gdyby nie to nieomal niewiarygodne przeoczenie, kataleptyczna sztywność obu mężczyzn pozwoliłaby Świętemu na proste działanie. Zanurzyłby ich bez najmniejszego trudu w gipsie, uzyskując w ten sposób dwa odlewy, za które każde muzeum figur woskowych dałoby wiele. Ale takie smutne braki są nieuniknionym symptomem naszej nieplanowej gospodarki i Simon Templar miał na ten właśnie temat własne poglądy.

Odezwał się więc bez nadmiernego smutku:

– Ręce do góry i na kark, panowie... – jeśli nie masz nic przeciwko zacytowaniu twego wyrażenia, Ricco. Choć, mówiąc szczerze, uderzyło mnie przed chwilą, że słownictwo trochę ci się popsuło. A może zachowujesz salonową gadkę dla tych, co płacą gotówką?

Varetti stawiał torbę powoli i rozważnie, tak samo podnosił ręce. W ruchach przypominał tresowanego węża. Jego oczy były jasne, okrągłe i nieruchome.

- Jak u licha się tu dostałeś? – zapytał niemal przesłuchująco pan Walsh.
- Słyszałem, że mnie chcesz... – powiedział Święty – więc przybyłem pędem. –

Trochę szybciej z rączkami, Cokey, jeśli można... Dziękuję... Teraz, jeśli odwrócicie się plecami, sprawdzę, czy nie nabyliście nowej broni od naszego ostatniego spotkania, a jeśli będziecie bardzo grzeczni, to powstrzymam się od gilgotek.

Najwidoczniej nie mieli czasu czy sposobności, by uzupełnić swe uzbrojenia, lub też nie przewidywali żadnej naglącej potrzeby użycia broni, bo jedynym łupem penetracji Simona – był sześciocalowy scyzoryk ze sprężyną, z którego wyskakiwało ostrze po naciśnięciu guzika, znaleziony w kieszeni towarzysza Varettiiego.

Święty nie był zanadto rozczarowany; Przekonał się już, że jedynie w mniej starannie napisanych kryminałach, przestępcy wyposażeni są w niewyczerpane zasoby broni, którą mogą uzupełniać natychmiast po każdym niepowodzeniu. Co więcej, zdawał sobie sprawę, że program uzbrojenia musi sprawiać kłopoty nawet łotrom kupującym spluwy skrzynkami. Nie skarżył się jednak. Nie leżało to w jego naturze.

Obejrzał nóż z wielkim zainteresowaniem i pozwolił znów się odwrócić obu mężczyznom.

– Bardzo pomysłowe, Ricco, duża zasługa mafii, czy jakiejś tam innej twojej starej alma mater – zauważył z uznaniem. – Obawiam się, że jako dziecko byłeś bardzo niegrzeczny.

Varetti ukazał białe, królicze zęby w uśmiechu podobnym do warczenia.

– Jeszcze się przekonasz, jak bardzo niegrzeczny – powiedział. – Twoje szczęście kiedyś skończy się, a wtedy będę przy tobie. Te twoje wybuchające papierosy! Dureń ze mnie, że dałem się nabrać na taki stary chwyt.

– Na pewno, bracie – pocieszył go Simon. – Możesz się jednak ukoić myślą, że sprytniejsi od ciebie dali się też oszukać. A teraz, skoro mamy gawędzić sobie mile jak za dawnych, dobrych czasów może cofniecie się trochę i usiądziecie na tej pięknej kanapie?

Trzymajcie ręce w tej samej co dotychczas pozycji, jeśli wolno prosić... Niezły pomysł... Chcę, by było wam wygodnie, bo nadal uważam was za moich gości. Teraz pogawędzimy sobie o tym i o owym.

Walsh się wahał, a Varetti usiadł posłusznie na sofie nie przestając szczerzyć siekaczy.

– Nie wiesz, że marnujesz czas? – zapytał. – Nic ci nie powiemy. Czemu nie zadzwonisz po gliny?

– A wtedy? – z uśmiechem zapytał Święty atłasowym głosem.

– A wtedy będziesz musiał dowieść, że nas tu nie zaprosiłeś, a także wytłumaczyć się, dlaczego jesteś wściekły, kiedy przekonają się, że przechowujesz u siebie torbę ze skradzionym irydem.

Oczy Świętego błyszczały jak zorza polarna.

– Panie Walsh – powiedział – czy będzie pan tak dobry i otworzy torbę, o której mówił Ricco? Rusz się... Nie zastrzelę cię.

W stanie częściowej hipnozy, rozdarty między lękiem przed pistoletem, a gromami miotanymi oczyma Świętego, pan Walsh ześliznął się z kanapy. Położył walizkę, uwolnił zamek. Podniósł wieko. Zajrzał. – To samo zrobił Ricco Varetti.

Zobaczyli jedną z najlepszych kolekcji kul, jaką można zebrać w pośpiechu. Od kolorowych kul do kręgli, które mogą się toczyć gładko wypolerowanymi torami, poprzez łożyska kulkowe oraz naboje śrutowe i do wiatrówek. Między nimi były piłki do baseballu, krykieta, kule bilardowe i jedna wielka, wypełniona piaskiem piłka lekarska.

Był to naprawdę zadziwiający zbiór kul.

– W porządku – powiedział przyjacielsko Święty. – Oprzyjmy się na tym. Gliny są już w drodze, czy w to uwierzycie czy nie, a są to twarde chłopaki. Wpadną tu za parę

minut, jeśli nie wcześniej. Daję wam jedyną szansę wyśpiewania wszystkiego, co pamiętacie o swoim szefie.

Jeśli nie zechcecie być dla mnie mili, Kestry i Bonacci na pewno z radością pokażą wam miasto.

XI

Każdego, kto jak niniejszy kronikarz, ma pełną świadomość, że konieczne jest oszczędzanie papieru, bo nigdy nie powinno dojść do najmniejszego niedostatku surowca, odraża już sama myśl, że jakiś rządowy artysta stworzy nowy formularz, który trzeba będzie wypełniać w stu pięćdziesięciu kopiach, co spowoduje stratę paru miligramów cennej pulpy, z której przecież można wyprodukować cenne papiery firmowe. Dlatego też wasz korespondent proponuje, by nie poświęcać zbyt wiele czasu na opis reakcji panów Varetiego i Walsh, lecz wspomni tylko, że wyglądali tak, jakby rozdrażniony słoń kopnął ich trzy cale powyżej pępka.

Następnie, pozostając przy czystych faktach, Cokey Walsh podsumował wszystko w jednym skrzeczącym zdaniu, bez którego od dawna nie może obyć się żadna powieść kryminalna.

– Nic nie powiem.

– Zaraz zobaczymy – powiedział Święty odpowiednio cierpliwie, jak każe taka literatura.

– Będziecie jednak musieli zacząć od jakiegoś alibi, gdy przybędą gliny, więc może się wam przydać powtórkowa lekcja.

Varetti zwilżył wargi.

– Żaden problem – powiedział. – Sprowadziłeś nas tutaj i w to wpakowałeś.

Mówisz, że próbowaliśmy coś ukraść. Co niby i skąd to masz?

– Nieźle sobie radzisz – zachęcił go Święty. – Mów dalej. Varetti wzruszył ramionami.

– Nie muszę ci nic mówić. Wspomnę tylko, że jeśli będzie na nas jakiś donos, Cokey i ja doniesiemy na ciebie. A jeśli jakoś oberwiemy, to razem z tobą. Możemy nawet

powiedzieć, że od początku z nami współdziałałeś, a dopiero teraz starasz się nas przechytrzyć.

– Tak jest – zawtórował mu bystro Cokey. – Gdy się przekonaliśmy, co zamierzasz zrobić, nie chcieliśmy mieć z tym nic wspólnego. Spróbowaliśmy więc wypełnić nasz obowiązek i rozstać się z tobą, Święty westchnął.

– Nie mogę nic zrobić, byście przestali marzyć – powiedział – ale czy naprawdę wierzycie, że nawet najbardziej tępy gliniarz, jakiego tylko moglibyście sobie wyobrazić, kupiłby podobną historyjkę od ludzi z waszymi charakterami?

– Co z naszymi charakterami? – rzucił z urazą Cokey. – Nasze słowo jest równie dobre jak twoje.

– Czyżby? – spytał łagodnie Simon. – Wyobrażam sobie, że wezmą pod uwagę wasze kartoteki, a nie sądzę, byście znaleźli się w nich za namiętne picie koli. Widzę po waszych oczach, że już cienie śpiewacie. Jesteście tacy pewni, że słowo śmiecia jest tak samo dobre jak moje? Jak myślisz, Ricco? A przy okazji, co z twoją kartoteką? Czy Młodzi Chrześcijanie poręczyliby za ciebie? Jesteś może honorowym członkiem Armii Zbawienia?

Varetti nic nie odpowiedział. Patrzył na Świętego z taką miną, iż Simon wywnioskował, że jak na swoją profesję, jest on odważny w niewłaściwym momencie. Święty doceniał pana Varetiego, mimo jego ohydneho ubrania i fryzury.

Tymczasem coraz ważniejszy stawał się papieros. Simon sięgnął lewą ręką do kieszeni na piersiach, nie zmieniając przy tym ani odrobinę położenia broni w prawej. Tak samo wyjął zapalki i zaczął nimi tak manewrować, by jedną ręką zapalić.

– Ja też nie muszę z wami rozmawiać – powiedział. – Miałem tylko nadzieję, że nie posądzacie mnie, iż żartowałem o Kestry’ m i Bonaccim. Bo jeśli tak, to marnujemy

mnóstwo czasu, choć nie mamy go za wiele.

Varetti wykrzywił drwiąco usta.

– Nie nawijaj. Nie wiedziałeś, że tu przyjdziemy, dopóki nie weszliśmy do tego pokoju.

– To prawda. Przypuszczałem tylko, że to wy przyjdziecie. Wiedziałem jednak, że ktoś się zjawi. Wiedziałem, że ktoś mnie tu sprawdzi i że nie mogę nosić tej torby w kieszeni. Ktoś się dowie, że coś się nie udało i zechce coś szybko – zrobić, by odzyskać torbę. Tak powiedziałem inspektorowi Fernackowi i stąd wiem, że Kestry z Bonaccim są już w drodze. Mam nadzieję, że ich znacie. Nie mają nic z fantazji lorda Petera Wimsey’ a, ale swoimi metodami uzyskują znacznie lepsze wyniki. Teraz czekacie niecierpliwie, by z nimi pogawędzić?

Łobuz spojrzał na niego płonącymi z nienawiści oczyma.

– Nie wierzę ci – powiedział głucho. – Bujasz i to wszystko.

– Tylko tyle stawiasz? Varetti zacisnął usta.

– Jeśli sądzisz, że zacznę sypać, to się mylisz.

Simon pociągnął zapałką po drasce i przytknął ogień do papierosa.

– A co z tobą, Cokey? – spytał. – Co zrobisz bez swego inhalatora? Czyś już tego doświadczał? Mam nadzieję. Być trafionym, to dopiero zabawa, co?

Twarz Cokey’ a Walsh a była blada i napięta. Mając dłonie założone na karku, zgodnie z poleceniem, pokazywał jedynie łokcie, które drżały. Jego oczy były skaczącymi guziczkami w nieruchomej masce.

– Pamiętasz to, Cokey? – spytał łagodnie Simon. – Pamiętasz, jak wszystkie nerwy skakały ci i skręcały się, pamiętasz jak w środku, poza związonym na supeł żołądkiem, byłeś pusty, jak młoty rozbijały ci głowę od środka i jak wiedziałeś, że jeśli nie przestaną,

to zaczniesz krzyczeć i zwariujesz?

Cokey przełknął dwukrotnie, jakby w gardle tkwiło mu coś twardego i suchego.

– Ja...

– Ty też nic nie powiesz – wtrącił się dziko Varetti. – Weź się w garść, Cokey!

Ten gnój nic na nas nie ma, poza włamaniem i naruszeniem praw własności, a to niewiele.

Piśniesz coś, a wykręcę cię jak gorący ręcznik, chyba że wpierw wykitujesz. Zrobię to, więc mi pomagaj!

Cokey borykał się z pigułą suchego siana w przełyku.

– Nic nie powiem – wychrypiał znowu. – Nie możesz mnie zmusić do mówienia.

Simon Templar zaciągnął się głęboko dymem i pozwolił mu krążyć bez pośpiechu.

Ale jego mózg odliczał sekundy i nie robił tego leniwie. Czas biegł alarmująco szybko i nie można było tego nie dostrzegać. Cokey na pewno w końcu zaczęłby śpiewać, gdyby tylko znaleźć odpowiednią muzykę, ale równie pewne było i to, że sprawa ta wymagała sporego trudu.

Wszelka obawa, jaką mógłby czuć przed policją czy nawet Świętym, była o wiele mniejsza niż strach przed Varettim. A nad Varettim dominuje z jakiegoś powodu ktoś inny.

Tkwił więc ciągle w impasie, a czas płynął jak woda z wanny...

Gnuśny uśmiezek Świętego nie uległ jednak zmianie, gdy wypuszczał dym, utrzymując na smyczy obu brytanów spokojnymi i niesamowicie niebieskimi oczami.

– Rozważmy kilka faktów, chłopaki – powiedział łagodnie. – Przysłano was tutaj, by zabrać bardzo cenny, zielony pył. Nie znaleźliście go. Zabraliście kolekcję kulistych pamiątek, która kosztowała mnie sporo forsy, ale która nie ma zbyt wielkiej wartości

handlowej. Dlatego nie wróćcie do domu i nie dostaniecie ogromnego napiwku za drogę.

Wasz szef nie będzie z was zadowolony... Próbuję być z wami uczciwy, chłopcy.

Kupiłem inną torbę i włożyłem do niej paczkę, której szukacie. Jest teraz gdzieś tam bezpieczna, a wy nigdy się do niej nie dostaniecie.

Nie możecie wygrać. A Kestry i Bonacci i tak wybiją wam to z głowy. Czemu więc nie powiecie mi teraz i nie zaoszczędzicie sobie wielu cierpień?

– Przestraszyłeś mnie na śmierć – zakpił Varetti.

Powinien być przestraszony. Święty był bardzo groźny, choć uśmiechał się łagodnie i zachowywał niedbale. Nie zawsze mógł zagrażać fizycznie. Varetti był na tyle dzielny, żeby nie ulec przynajmniej przez jakiś czas. Skupił się wyłącznie na tym.

Na swe nieszczęście i niektórych innych ludzi, sądził, że tylko to mu zagraża.

Widać było wyraźnie, że dlatego napina nerwy i gromadzi wszystkie środki obronne, zatrudniając jednocześnie wyobraźnię, żeby znaleźć jakiś sposób ucieczki. Zajęty tymi postanowieniami nie był w stanie przewidzieć strasznej możliwości, że wszystkie jego przygotowania na nic się zdadzą wobec innego ataku, znacznie bardziej złożonego i zdecydowanie głębszego.

Czekał na ogromną maczugę, więc nie dojrzał małego sztyletu.

Święty podszedł bliżej, zdawało się, że stał się wyższy i twardszy, a i jego głos nabrał ostrzejszych tonów.

– Jasne, Ricco, jesteś twardy – powiedział. – Zniesiesz wiele. Ale ile zniesie twoja dziewczyna? Jak długo wytrzyma z zamkniętą buzią, gdy zaczniemy nad nią pracować?

I co z Cokey'em zdołasz odpowiedzieć, gdy zacznie o was śpiewać?

– Nie może o nas zaśpiewać – odparł Varetti. – Nie wie o wszystkim.

Na twarzy pokazały mu się drobne kropelki potu. Simon dojrzał je, gdy się zbliżył.

– Ach tak? – powiedział z aksamitnymi igielkami w głosie. – Dlaczego sądzicie, że szef rozmawiał tylko z wami? Jesteście tacy pewni, że nigdy nic jej nie powiedział? Gotowi jesteście zaryzykować, że się nie wygada, gdy z nią pomówię?

Varetti zaśmiał się, ale był to nerwowy triumf.

– Nie pomówisz z nią! Szef się nią zajmie...

W tej właśnie chwili przybyli Kestry i Bonacci, przekręcili klucz w zamku i weszli tak głośno, jak para tupiących hipopotamów, których zresztą przypominali i pod wieloma innymi względami.

Mieli wyciągniętą broń, więc Simon cofnął się, by dać im miejsce, nie patrząc przy tym na nich i nie poruszając pistoletem, dopóki nie przejęli nad wszystkim kontroli.

Rozległ się szcęk kajdanek, a Święty nadal się nie poruszał.

– Dziękuję – powiedział patrząc w oczy Varetiego.

– W porządku – wielka postać Kestry’ego zasłoniła mu widok, miał ciężką szczękę i wrogie oczy. – Jak się pan tu dostał?

Simon spojrzał na niego po raz pierwszy i wsadził broń do kieszeni.

– To mój pokój – stwierdził spokojnie. – Byłem tu, gdy przybyli. Teraz możecie ich zabrać. Sprzykrzyli się mi.

– Więcej nie będą pana niepokoić. Oboje to recydywiści, nie wywiną się łatwo.

– To wspaniale – powiedział Święty cynicznie. – Chyba, że dostaną dobrego adwokata.

Już kiedyś tak bywało.

– Nie tym razem. Nie po tym, co wyśpiewają. A będą śpiewać. – Kestry był stanowczy i pozbawiony uczuć jak skała i nie bardziej od niej zmieniał się, czy też poddawał się zmianom.

Stojąc jak skała tym samym tonem dodał: – Chcę się także czegoś dowiedzieć

o panu.

– Nie wystarczą informacje z gazety?

– Właśnie wsadził pan broń do kieszeni. Stała się więc ona bronią ukrytą. Skąd ją pan wziął i czy ma pan zezwolenie?

Święty włożył papierosa do ust i zaciągnął się lekko.

– Fernack powiedział wam, co macie robić – rzekł. – Jeśli chcecie zrobić coś na własną rękę, proszę bardzo. Jeśli nie, zabierajcie się stąd. Mnie się spieszy!

Oczy Kestry'ego były gorzkie i błyszczące, a Świętego zimne i jasne jak maleńkie szafiry z niewyraźnym błyskiem na dnie. Ich zetknięcie się mogło zapalić hubkę.

Złośliwość, z jaką zwrócił się do aresztowanych stała się i miarą klęski Kestry'ego i wartością w przyszłych oddziaływaniach.

– Zabieramy ich stąd, Dan – powiedział.

Chwycił dłonią wielkie jak szynka ramię Varettiiego i poderwał go z kanapy, podczas gdy jego kolega zrobił tę samą przysługę Walshowi. Cokey jęknął, gdy stalowe bransoletki wgłębiły mu się w nadgarstki.

– Zamknij się! To nic w porównaniu z tym, co dostaniesz – zawarczał Bonacci, ciągnąc szorstko obu mężczyzn w stronę drzwi.

Kestry rzucił ostatnie bezcelowe spojrzenie i poszedł w jego ślady. Odwrócił się jednak, by żegnając Świętego, jednocześnie obdarzyć go długim groźnym wzrokiem.

– Nadal nie wydaje mi się słuszne, że wychodzimy stąd bez pana – powiedział, a Święty uśmiechnął się do niego słodko.

– Musi pan wpaść znowu – mruknął – i wtedy przyzwyczaj się pan do tego.

Zaczekał, aż drzwi zamknęły się za wychodzącymi, a potem podszedł do telefonu

i zadzwonił na Centre Street.

Inspektor Fernack odbębnił już swoje jako świadek i wrócił tak szybko do swego biura; jak makler goni do niego w czasie boomu, bo podniósł słuchawkę, gdy tylko Simon poprosił o połączenie.

– Tu Głos Doświadczenia, Henry – powiedział. – Twój byczy kartel wyparował właśnie, zabierając z sobą Cokey’a i Ricco. Myślę, że wreszcie coś pisną, możesz więc wciągnąć buty i przygotować się, żeby posłuchać ich treli. Póki będziecie się nimi zajmowali, ja dokończę swoją robótkę. Jeśli mi więc wybaczysz...

– Hej, zaczekaj chwilkę! – Udręka w głosie Fernacka była niemal szalona. – Jeśli dowiedziałeś się czegoś, powinieneś...

– Drogi Henry, gdybym czekał, aż zrobię wszystko, co powinienem, straciłbym tyle energii, co ty na gimnastykę.

– Nie gimnastykuję się!

– A na pewno powinieneś. Należy chronić tę twoją piękną, męską figurę. Teraz naprawdę jestem zajęty, a ty też masz co robić, więc nie chcę, byś musiał się zajmować kolejnym morderstwem.

– Pozwól, że sam będę martwić się moimi sprawami – powiedział Fernack ponuro. – Chcę tylko wiedzieć, co wiesz jeszcze!

– Nie dostrzegasz znaczenia zamka?

– Jakiego zamka?

– Nieważne – powiedział Święty. – Dowiesz się w najbliższych dniach. Teraz naprawdę muszę już iść.

– Ale dokąd? – jęczał detektyw.

Święty uśmiechnął się i puścił wąskie kółko dymu po kłopotliwej przerwie.

– Zostawię w recepcji liścik do ciebie. Wsiadaj na rowerek i przyjedź po niego.

– Dlaczego nie powiesz mi teraz?

– Bo chcę znaleźć się tam pierwszy. Bo chcę mieć trochę czasu na ustawienie sceny.

I dlatego, że gliny śpieszą się tam, gdzie Święty ma czekać. Bądź cierpliwy, Henry. Mam nadzieję, że wszystko będzie pod kontrolą... Próbuję tylko wszystko ci ułatwić. I proszę cię, gdy tam przybędziesz, zrób mi przysługę i poczekaj chwilę nim wpadniesz. Nie chcę, byś mi przeszkodził w czulej scenie... Teraz do widzenia.

Odłożył słuchawkę w samą porę, by uniknąć słownych wybuchów, które groziły przepaleniem się bezpieczników między Murray Hill a Spring, w Towarzystwie Telefonicznym Nowego Jorku Nabazgrał coś szybko na kawałku papieru i wsadził kartkę do koperty, na której, gdy czekał na windę, umieścił nazwisko Fernacka.

– Zanieś to do recepcji? – powiedział windziarzowi gdy zjeżdżali na dół.

Odźwierny wypuścił go bocznym wyjściem na Czterdziestą Czwartą ulicę. Ruszył na wschód, a po kilku krokach skręcił do hotelu Seymour, by korytarzem wejść do głównej sali. Tam zatrzymał się na chwilę, czekając, czy ktoś nie wejdzie po nim.

Niewykluczone, że Kestry wpadł na to, by na niego zaczekać, a może nawet grzesznicy wysłali kogoś jeszcze na przeszpiegi. Nie pojawił się jednak nikt we właściwym czasie.

Wygrał ten etap pogoni. Hotel Seymour ciągnął się przez cały blok, więc wynurzył się z niego na Czterdziestą Piątą ulicę i gdy upewnił się, że jest sam, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Zegar w jego głowie tykał z kosmiczną obojętnością i precyzją, a mózg balansował na pajęczej linii czasu z lekkością cienia.

Musi zrobić wszystko bardzo szybko i zimno. Wydawało mu się, że zawsze wiedział, gdzie znajdowała się każda osoba, którą się interesował, jakby wiązał się z nią sznurkami

postrzegania pozazmysłowego. Teraz też nie może się mylić. Musi mieć rację, bo inaczej musiałby całkowicie zrezygnować z tego, co próbuje zrobić.

Z tą świadomością wszedł do hotelu, w którym zostawił Barbarę Sinclair.

Kiwnął głową recepcjoniście, który ich zameldował i wjechał widną na jej piętro.

Zapukał do drzwi, zaczekał chwilkę i powiedział:

– Saks z Piątej Alei, proszę pani. Paczka za zaliczeniem dla pani Tombs.

XII

Począł jeszcze chwilę, a potem drzwi otworzyły się na dwa, trzy cale. W wąskiej szparze ujrzał jej twarz: włosy jak skrzydło kruk, ciemne oko, karminowe usta.

Wszedł.

– Zastanawiałam się, co robisz – powiedziała.

– Zjadłem obiad. Spotkałem paru przyjaciół.

Przeleciał oczami po pokoju jakby od niechcienia, ale dostrzegł wszystko. Na przykład w popielniczce znalazł dowód, iż sprawdziła się, jeśli chodzi o czas, przynajmniej połowa jego wyliczeń, ale nie zatrzymał wzroku na tym szczególe.

Barbara Sinclair podeszła do głębokiego, niskiego krzesła stojącego przy oknie i usiadła na nim, podciągając pod siebie jedną kształtną nogę. Drugą bujała w krótkim, urywanym rytmie, a każdy jej ruch odbierał jako świadectwo mocy i silnej woli, a ona udawała, że zachowuje zimną krew.

– Czy coś jeszcze się zdarzyło? – zapytała.

– Parę spraw.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Trochę... To całkiem niezłe miejsce, nie sądzisz? Muszę o nim pamiętać, gdy odwiedzi mnie strażak i zapyta, gdzie ma zatrzymać się z nałożnicą.

Krążył po pokoju, jakby – oceniał jego zalety, a naprawdę szukał miejsca, gdzie mógłby usiąść.

– Nie bywają tu turyści, więc byłby całkowicie bezpieczny przed kłopotliwym spotkaniem z jakimś plotkarzem ze swego miasta. Jest tu też bardzo dyskretnie i szacownie, co powinno wprowadzić damę we właściwy nastrój. Nic tak nie gasi ognia nietrwałej namiętności jak obskurna sypialnia i goniec, który podgląda.

Doszedł do regału, na którym stał wysoki wazon pełen chryzantem i dębowych liści.

Podziwiał kwiaty odwrócony plecami do pokoju.

– Chryzantemy – mruknął. – Piłka. Płaszcz z szopa. Długie wypady wodą do New Haven.

Pochwały. Jęki. Napoje – Potrząsnął ze smutkiem głową. – Stare dobre czasy – powiedział.

– Są tu chryzantemy, ale studenci nie chodzą na boisko, lecz wkuwają niezbędne sygnały w oddziałach. A jazda do New Haven bez lewych kartek na benzynę... Są piękne.

– Przysłał je kierownik – powiedziała. – Boję się jednak, czy uznano mnie za nałożnicę.

Może sądzą, że jesteśmy parą w miodowym miesiącu.

Roześmiał się ze współczuciem, wyjął pistolet z kieszeni na piersiach i schował go wśród liści, zasłaniając cały czas wazę plecami i udając, że poprawia bukiet.

Potem odwrócił się do niej i powiedział:

– To nie tak źle, prawda? Nigdy nie mieliśmy miodowego miesiąca.

– Mogliśmy go mieć, gdybyś tak sprytnie nie chciał mnie się pozbyć.

– Czuję niepowetowaną stratę.

Jej śliczna twarz zarumieniła się i pociemniała, gdy opuściła na chwilę długie rzęsy.

Podniosła je i rzuciła powłóczyście spojrzenie, które mogło mieć różne źródła.

– Nienawidzisz mnie, prawda?

Pokręcił głową i zmarszczył brwi jakby grymasił bardzo nieznacznie.

– Nie bardzo.

– Nie lubisz mnie.

Uśmiechnął się łagodnie i otworzył nową paczkę papierosów.

– Lubić cię? Kochanie, zawsze uważałem, że jesteś wspaniała. Pragnąłbym spędzić z tobą miodowy miesiąc, ale niestety, nie ma we mnie nic z samca skorpiona. Nigdy nie uważałem, że spełnienie jest równoznaczne ze złożeniem ofiary. Ja nie usiłowałem zniechęcać się do ciebie tak, jak ty dążyłaś do pozbycia się mnie na zawsze.

– Nie...

– Wiedziałaś? – odpowiedział Simon. – Może i nie. Może. Ale twój chłopak wiedział.

Musisz przyznać, że jest sprytny i ma swoją klasę. Sprytny na tyle na przykład, by umieścić cię w luksusowym mieszkanku, bo zawsze potrzebna jest śliczna dziewczyna, która zabawi zmęczonego przedsiębiorcę, czy zwabi frajera wtedy, gdy sam jej nie chce. Bardzo dobry sposób na łączenie interesów z przyjemnością. Takie moje zdanie...

A może jestem niegrzeczny, gdy patrzę na to z męskiego punktu widzenia? A może powinienem pomyśleć o przyjaciółce; jakiejś matkującej osobie, która...

Uniósł dłoń, gdy z płomieniami w ciemnych oczach zaczęła wstawać z krzesła.

– Spokojnie – powiedział wolno. – Może tylko żartuję. To oczywiste, że znaleziona przeze mnie w twoim mieszkaniu torba jest męska. Tak samo piżama w szafie, do której potem zawlokłem Humpty’ego i Dampty’ego.

Zasłoniła usta dłonią, a jej subtelne rysy nagle straciły urok. A on pomyślał, że to absurdalne i smutne, iż kilka słów może zmienić piękną, pełną życia kobietę w wynędzniałą istotą ze zmarszczkami na szyi i pustymi, matowymi ze strachu oczami.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała.

– Słyszałem bardziej oryginalne stwierdzenia. Ale jeśli ci to pomoże, to ja też nie wiem, o co ci chodzi. Nie wspomniałem, by na piżamie było wyszyte jakieś nazwisko. –

A może tak?

Przysiadła na skraju krzesła z dłońmi złożonymi na podolku, napięta, jakby nie odpoczywała, lecz czekała na następny ruch.

Wysunął papierosa z paczki i poczęstował. Równie troskliwie zapalił wpierw jej, a potem swój. Zaciągnął się wolno, nie smakując dymu i patrząc na nią. Zastanawiał się, dlaczego w świecie, który tak tęskni za pięknem, musi mówić z nią w ten sposób.

Wiedział jednak, że nie może inaczej, że musi tak postępować.

Lekko, lecz z przejęciem, wzruszył ramionami.

– To nie jest walka. Moglibyśmy mieć cudowny miodowy miesiąc, ale może w kartach wypadło inaczej. W każdym razie muszę teraz czekać.

– Tak sędzę.

– Wymigiwanie się nie ma już sensu. Powinnaś zdecydować się na powiedzenie czegoś. Czy się zdecydowałaś?

Skrzywiła się i opuściła wzrok na swe splatające się i rozplatające palce.

Spojrzała na niego, a potem znów na dłonie.

– Tak – powiedziała, ledwie ruszając ustami.

– No i...?

– Powiem ci. Czekał.

– Powiem ci – powiedziała – jeszcze przed zmierzchem.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo...

Święty zainteresował się bardzo czubkiem swego papierosa.

– Barbaro – powiedział – może tego nie zauważyłaś, ale zostawiłem ci większą swobodę, niż przewidują zasady. Nigdy nie upierałem się przy drobiazgach, ale to fakt, że pomagasz przestępcom. Znasz człowieka, z którym chcę pomówić, który ma klucz do

brudnego interesu.

Wiesz, że twoje milczenie pomaga mu uniknąć kary. A spędziłaś tu samotne godziny na walce z sumieniem po to, by dojść do strasznego wniosku, że powiesz mi o tym wtedy, gdy tobie będzie wygodniej.

– Nie – odparła.

– Nie chcę, byś myślała, że jestem dla ciebie twardy, lecz znam policyjne mateczki, które osiągnęły mięśnie jak poduszki, przekonując krnąbrne dziewczynki, że należy ulżyć sumieniu w interesie prawa i sprawiedliwości. Jestem pewny, że ani trochę by ci się to nie spodobało.

Zacisnęła usta i spojrzała na niego nastraszona.

– Wydaje mi się, że to twoja stara śpiewka.

– Może i tak – odparł niezrażony – ale niemniej prawdziwa. Uwierz mi, że jeśli zadzwonię do pewnego faceta, inspektora Johna Henry’ego Fernacka, to zabierze cię do miejsca, które posiada czarującą nazwę „areszt”. A tam nie dotrze nikt nieupoważniony, nikt kto mógłby być zbyt wścibski. To bardzo nieprzyjemne miejsce. W areszcie może się zdarzyć niemal wszystko i często się zdarza. – Puścił w sufit strużkę dymu. – Możesz nadal sama wybierać, ale chciałbym, byś wybrała właściwie.

Ognie, które chwilowo zabłyśły, zgasły jakby nigdy ich nie było. Zaczęła mówić, jakby powtarzała lekcję, którą wkuwała tak długo, aż stała się jej obsesją.

– Muszę najpierw porozmawiać z tą osobą. Muszę jej powiedzieć, co zamierzam powiedzieć.

Muszę dać mu szansę. Jest... jest najmilszą osobą, jaką spotkałam w życiu. Byłam niczym, głodowałam, robiłam wszystko, nim go nie spotkałam. On... był dla mnie bardzo dobry. Zawsze.

Chcę uczynić to, co słuszne, lecz nie mogę tak po prostu go wydać. Nie mogę być

Judaszem. Nie od razu puszcza się charty za lisem, prawda?

Simon zastanawiał się dłużej nad jej pytaniem, jakby miał mnóstwo czasu. Tak czuł.

Było ważne, choć tylko dla niego, a zawsze ma się odrobinę czasu na ważne rzeczy.

– Tak – przyznał. – Ale tylko dlatego, by lis biegał dłużej, a dzielni myśliwi doznali większych emocji w czasie pogoni. Gdyby byli szlachetni i miłosierni, zastrzeliliby go jak najszybciej i jak najcelniej, w ten sposób oszczędzając męczarnię, strach, nadzieję i końcową rozpacz. Oczywiście takie postępowanie jest tak samo niesportowe jak bardzo długa pogoń, podczas której zamęczyłby serce, zmykając przed sforą psów, a ostateczny wynik byłby taki sam.

– Lis czasem ucieka – powiedziała.

– Nigdy na zawsze – odparł łagodnie. – Może mu się udać dwanaście razy, lecz za trzynastym popełni drobny błąd, a wtedy ktoś weźmie go do domu jako swoje trofeum.

To niemal nudne, ale tak już jest.

– Nigdy nie złapali ciebie.

– Dotąd.

Podszedł do okna i wyjrzał. Niebo ciemniało już w klarownej czystości zmierzchu.

O tej porze dnia wszystko zdaje się gęstnieć” i ciemnieć, tak iż niemal dostrzega się wtedy mrok kosmosu.

Nie odwracając się powiedział:

– Domyślam się, że już powiedziałaś lisowi. Usłyszał za sobą szuranie krzesła.

– Tak.

– Tak przypuszczałem – powiedział bez gniewu i bez rozczarowania, zupełnie obojętnie. – Spodziewałem się tego zostawiając ciebie. Naprawdę masz zbyt wiele uczuć,

a za mało rozumu.

Nie winie cię za serce, ale teraz chciałbym, byś wypróbowała swój rozsądek.

– Przykro mi – odparła i mogła tak czuć. – Nic nie poradzę.

Odwrócił się.

– Na miłość boską, czy nic do ciebie nie dociera? Powiedziałem ci, że spodziewałem się, że wypłoszysz lisa. Myślisz, że czekając na to, zostawiłbym cię samą, gdybym nie uważał, że coś mi to da? Chciałem, byś zmusiła lisa do zrzucenia maski. Chciałem, by zrobił ruch, który go nam ukaze. Chciałem, byś skłoniła go do popełnienia błędu, który doprowadzi go do miejsca nad kominkiem. Już popełnił jeden, a za chwilę zrobi następny. Zrobiłaś to, by mu pomóc, a teraz robisz wszystko, co tylko możesz, by wpaść razem z nim. Jeśli to nie poświęcenie, to nie wiem, co to jest.

XIII

Zobaczył jak jej twarz zastyga z oszołomienia i wstrząsu, lecz nie czekał, aż się opanuje. Nie miał czasu. Właśnie teraz, póki nie uspokoiła się, może ma najlepszą sposobność.

Podszedł do niej szybko i usiadł na sąsiednim krześle, a jego słowa były równie gwałtowne i nagłe jak ruchy.

– Słuchaj – powiedział. – To oszust. Jest złodziejem, a kradzież irydu nie różni się od kradzieży klejnotów, kawy czy czegokolwiek innego. A na dodatek jest mordercą.

– Nigdy nikogo nie zabił.

– Oczywiście. Nie osobiście. Nie musiał. Łajdak tej klasy nie musi własnoręcznie pociągać za spust, czy zaciskać sznur na szyi starego głupca. Ma od tego innych. Lecz mimo to pozostaje mordercą. W Nashville podczas rabunku doszło do morderstwa.

Zastrzelono dwóch strażników Smitha i Jonesa czy Gobbovitcha. W gazecie to tylko parę nazwisk. Ale oni prawdopodobnie mieli rodziny, krewnych i przyjaciół, choć przy czytaniu nie zastanawiałaś się nad tym.

Cmoknęłaś językiem, powiedziałaś sobie, że to okropne i poszukałaś ulubionego felietonisty czy kącika humoru. Ale pani Jones straciła męża, który znaczył dla niej o wiele więcej, niż twój chłopak dla – ciebie, zaś brzdące Gobbovitcha będą musiały rzucić szkołę i próbować sobie radzić jak potrafią tylko dlatego, że twój cudowny chłopak, o wielkim sercu, wynajął ludzi z pistoletami, by zastrzelili ich w jego imieniu.

– Przestań, błagam – powiedziała.

– Chcę, byś wiedziała, kogo osłaniasz. Zimnego mordercę i na dodatek zdrajcę.

Choć może nawet on sam tak o sobie nie myśli. Może tylko troszczy się o pieniądze, dzięki którym trzyma cię w tym olśniewającym mieszkaniu. Niemniej jest to prawda

i dostrzegłabyś ją, gdybyś miała oczy otwarte.

– To nie jest prawda.

Teraz na jego twarzy nie było litości, lecz jedynie bezwzględna, nieugięta szczerłość, jakże różna od gnuśnej nonszalancji, którą nosiła równie swobodnie jak ubranie.

– Barbaro, są chłopcy z farm i stacji benzynowych, którzy nigdy się nawet nie dowiedzą, że przez niego jest im trudniej walczyć z wrogiem. Brną przez parujące błoto dżungli Południowego Pacyfiku, żują piach w Afryce i zamarzają na śmierć w okopach Ukrainy. Ale to nie obchodzi twojego prywatnego Świętego Mikołaja tak długo, dopóki na Manhattanie pozostało kilku dobrych kucharzy, a on ma mnóstwo zielonych papierków, by płacić za wszystkie drobne luksusy, które niosą ulgę trudom frontowego zaplecza. A jeśli stajesz po jego stronie, to oskarżenie dotyczy też i ciebie.

– Nie staję po jego stronie – odparła z rozpaczą. – Był dla mnie dobry i daję mu szansę.

– Jasne, że był dla ciebie dobry. Inaczej nic byś dla niego nie zrobiła. Żaden oszust, zdrajca czy inna kanalia nie może postępować inaczej z kimś, kogo entuzjastycznej współpracy potrzebuje.

Kiwała się w przód i w tył z nieświadomą regularnością, jakby usiłowała tak uspić sumienie, budzone jego nieprzerwanym, bezlitosnym głosem.

– Już ci powiedziałam – powtarzała tępo. – Porozmawiam z tobą później. Już za chwilę. A wtedy będziesz mógł, niczym stado wilków, wyruszyć za nim z policjantami, detektywami i agentami FBI.

– To nie wszystko – odparł spokojnie Święty. – My, wilki, jak nas nazwałaś, ruszymy za nim ostrożnie. Będzie miał uczciwy proces z odpowiednim rozgłosem, by zniechęcić tych wszystkich, którzy mogliby mieć podobne pomysły.

– Jakie to miłe z twojej strony – powiedziała. Nie wiedział, dlaczego jeszcze próbuje.

– Twoje zeznanie – mówił z pewnym znużeniem – mogą okazać się dość ważne. To jeden z powodów, że rozmawiam teraz z tobą i wysilam się, żeby cię przekonać. Drugi, to chęć podania ci ręki. Masz szansę się z tego wygrzebać. Nie chcę cię wykiwać.

Już na to za późną. Będę jednak dalej usiłował sprawić, byś dostrzegła, że klamka zapadła, bez względu na to, co robisz. Ale ukazesz siebie w innym świetle, gdy będę mógł szczerze przysiąc, że współpracowałaś w pełni z osobami, które John Henry Fernack lubi określać jako „właściwe władze”.

Patrzyła na niego ciemnymi, pustymi oczyma.

Zaciągnął się znowu i powiedział gorzko i lodowato:

– Powiem ci w skrócie, że to najlepsza szansa, jaką będziesz miała. Może jedyna.

Zawahała się, usta poruszały się, ale wyrazy były nieczytelne. Mógł każdy z nich odcyfrować jako próbę wypowiedzenia nazwiska, którego oczekiwał. Ale słowa tworzyła jednak tylko jego wyobraźnia, a potrzebował czegoś więcej.

Czekał nadal, choć było już chyba za późno.

Był takim naiwniakiem.

A potem jej usta znów się uspokoiły i zacisnęły tak, jakby zastygła forma.

– Będziesz musiał poczekać – powiedziała z uporem, gdy wstawał wolno. –

Mówiłam ci.

Simon Templar rozżarzył papieros i nie czuł jego smaku, ale stał spokojnie i patrzył na nią.

W jego pamięci przesuwały się wszystkie obrazy, jakby wyświetlał taśmę jakiś odległy zakątek mózgu.

Była taka piękna i budząca takie pożądanie. Łatwo mogło dojść do zabawy. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, machała długimi nogami na poręczy domu świętej pamięci Linneta.

Pomyślał wtedy, że ma wszystko, co powinna mieć dziewczyna z powieści. Cóż za szkoda, że w życiu, początki jak z powieści nie zawsze tak się kończą, jak te w literaturze. Ale nie tylko to trudno zmienić samymi chęciami.

Była zakochana, czy tak się jej zdawało. Może jeszcze bała się, albo była zahipnotyzowana.

Na pewno była niesłychanie mocno i głupio zapatrzona w człowieka, który wydawał się idealną tarczą strzelniczą dla dzikich, słaniających się ludzi, w którymś z piekieł wojny. Bez względu jednak na przyczyny znajdowała się w stanie, którego nie mogły poruszyć żadne jego krótkotrwałe wysiłki.

Chciał od niej tylko dwóch słów tworzących imię i nazwisko, które już świtały mu w głowie, ale których podać jeszcze nie mógł.

Mógł to zrozumieć, jak rozumiał kratery na Księżycu, choć był jednocześnie bezsilny.

Rozumiał żądzę pieniędzy Milтона Ourley'a i jego pragnienie życia innego niż to, jakie musi wieść w Oyster Bay. Jak rozumiał niszczące Titanię Ourley pragnienie młodych mężczyzn i rumb. Rozumiał Fernacka, Varetiego, a nawet Cokey'a Walsha i Allena Uttershawa bawiącego się cytatami, który jak zmęczony zongler raduje się cygarem.

Gdyby nie jakieś blokady, wszyscy oni byliby zwyczajnymi, miłymi ludźmi.

Jak inspektor Fernack, który całe swe życie prowadził zgodnie z podręcznikiem, który otrzymał po wstąpieniu na służbę jako szeregowy policjant. Był naprawdę miły

i prostoliniyjny, znał prawo i wierzył w nie. Cierpiał, gdy czasem wychodziła na wierzch jego przekorna natura i krytycznie patrzył na rzeczywistość. Próbował z tym walczyć, ale bez powodzenia.

Jego forma się zamknęła i odlew zastygł, odruchy zostały wcześniej zaprogramowane.

Barbara Sinclair mogła wyjść za syna sklepikarza z rogu ulic Główniej i Dziesiątej w swoim miasteczku. Tyłaby i szczupłała, rodząc przyszłych sklepikarzy i prezydentów. Chodziłaby na sobotnie potańcówki, flirtowała leniwie z sąsiadem martwiąc się przy tym, czy Junior lub Freddie nie zrzucił kołderki, a wynajęta dziewczyna nie – zasnęła, albo nie wymknęła się na randkę z sierżantem, który właśnie zawrócił jej w głowie.

Milton Ourley mógłby być brygadzystą dokerów, nieszkodliwie rozpuszczając swój choleryczny język, popędzałby lepszych od siebie ludzi tak długo, aż ustanowiliby nowy rekord załadunku statku. Mali, krępi ludzie są zwykle dobrymi szefami, bo inaczej musieliby chodzić zgarbieni. Gdyby tylko Milton Ourley nie zetknął się nigdy z pieniędzmi, a pieniądze z nim, mógłby stać się wartościowym człowiekiem, który nigdy nie popełniłby większego przestępstwa, niż kupno pary nylonów na czarnym rynku.

Titania Ourley mogłaby mieć męża, który wiedziałby jak nad nią zapanować, bo tego naprawdę potrzebowała, a nie takiego, który był przekonany i w końcu przekonał ją, że zatrzyma ją wówczas, gdy ofiaruje jej za każdym razem coraz większe bogactwo i władzę.

Wówczas nigdy nie opanowałaby jej frustracja, z której zrodziło się pragnienie dominacji – dominacji nad małżonkiem, którym pogardzała za uległość – panowania nad wszystkimi, z którymi się zetknęła, łącznie z młodymi mężczyznami, których kupowała

czy zastraszała, by jej schlebiali i podkreślali, że ma wdzięki nadal nienaruszone i nieodparte.

Varetti i Walsh mogli wspiąć się po banalnej, lecz uczciwej drabinie. Lecz gdy nadeszła pora wyboru, szalał w pełni Szlachetny Eksperyment i na rogach ulic, gdzie tkwili, szybko odkryto, że za pintę podłego dżinu wartego dwadzieścia centów można dostać dolara. Aby się jednak dostać na ten rynek, musiał stamtąd wypaść inny handlarz. Dlatego doszło do strzelaniny, a potem do bezkarności i wkrótce wyrzuty sumienia wywołane morderstwem dawały się równie łatwo przełknąć, co jeden z nielegalnych drinków. Już łamiąc prawo widzieli, że sprawiedliwi ludzie nie dostrzegali krwi na butelkach. Cokey Walsh zaczął brać prochy, by nie stracić skuteczności i szybkości, ale jego dusza była tak samo pokryta skórą rekina jak dusza Varetiego. Minęły już dni ich chwały i teraz zabijali za dużo mniejsze pieniądze. Byli maruderami wojska, które trafiło do piekła i jak wszyscy maruderzy musieli żyć z tego, co potrafili robić najlepiej. Łatwo było zrozumieć Allena Uttershawa. Był przedsiębiorcą, a powinien mieć status amatora. Robił dobre interesy, lecz jedynie po to, by się od nich uwolnić i prowadzić nieokreślone, pełne wdzięku życie, niezbędne przy jego szczególnej wrażliwości. Gdyby przed dwudziestu laty odziedziczył milion dolarów, byłby beztroskim światowcem, żyłby wśród gładkich wnętrz, aksamitnych smokingów, dobrych roczników win, jedwabnych sukni i rozmów koneserów. Spacerowałby z bezbłędnym wdziękiem i prowadziłby swe eleganckie życie motyla, cytując urywki poezji z rozbrajającym uśmiechem, po których zastanawiano by się, czy warto się z niego śmiać, skoro właśnie przestał śmiać się z siebie. Tacy krzykliwi osobnicy jak Ourley czy Święty nigdy by nie dostali się do jego spokojnego, platonicznego kręgu...

Taka taśma przewinęła się przez umysł Świętego, a sala projekcyjna stała się znowu mroczna i cicha.

Podnosząc do ust papierosa patrzył nadal na Barbarę Sinclair. Jego oczy były bardzo niebieskie i spokojne.

Bardzo żałował, tak bardzo, że nie był w stanie tego znieść. Okazało się też, że jest to głupie i marne, ale tak już jest i czasem trzeba tego doświadczyć.

Jego mózg pracował bez przerwy jak zegar.

Nie mógł dać jej czasu do namysłu, bo i tak nic się nie mogło zmienić.

Życie już takie jest i nie sposób tego uniknąć.

Powieści nie kończą się tak, bo zawsze w ostatniej chwili następuje cud, ale to nie jest powieść.

Tak to było.

– To nie ma większego znaczenia, bo już wiem – powiedział.

– Co wiesz? – spytała patrząc na niego pustymi oczyma. Przeszedł przez pokój i znów usiadł na fotelu przy regale z bukietem chryzantem. Czuł dziwne zmęczenie, ale znużony był tylko duch, a nie umysł czy ciało.

– Wiem praktycznie wszystko – powiedział. – Łącznie z nazwiskiem geniusza, którego starasz się chronić. Może opowiem ci o wszystkim.

XIV

– Zaczniemy – powiedział Święty po krótkiej przerwie – od kradzieży przesyłki irydu wartej trzysta tysięcy dolarów, jaka nie tak dawno miała miejsce w Nashville w Tennessee i od naszej pierwszej pary morderców – towarzyszy Smitha i Gobbovitcha, czy jak tam się nazywają, którzy wynieśli towar w torbach śniadaniowych.

– Wiem o tym – powiedziała. Gest jej wąskich dłoni mógł odzwierciedlać próbę odepchnięcia od siebie przykrych faktów.

– Tak przypuszczałem – oznajmił Święty. – Lepiej jednak zacząć od początku. Ten rabunek rzeczywiście z hukiem wyważył wrota na czarny rynek. Spowodował nagły i bardzo poważny niedobór. A potem przedsiębiorcy używający tego surowca, którzy zetknęli się nagle z jego brakiem, zostali powiadomieni, iż nadal mogą go otrzymywać. Oczywiście nie za darmo.

Niektórzy znajdowali się w takiej potrzebie, że gotowi byli płacić niemal każdą cenę. Zerknął znowu w czarne jak węgle oczy, które mu się przyglądały; nadal odczuwał żal, lecz i tym większą pewność.

– Sprzedający na czarnym rynku miał na pewno własne informacje o najbardziej potrzebujących. Byli wśród nich świętej pamięci Linnet i pan Milton Ourley.

Mogli być i inni, ale nic o nich nie wiadomo. Wiem, że Linnet miał opory przed sprzedawaniem ojczyzny, ale Towarzystwo Iskrownikowe Ourley’a było wolne od wielu skrupułów.

Zerknął na zegarek i porównał własne poczucie czasu z rzeczywistym.

– Tymczasem postanowiłem wpakować w to mój wrażliwy nos. Ogłosiłem w gazetach, iż zamierzam zlikwidować czarny rynek i że mam już wiele niewygodnych informacji dla kierujących tym interesem. Było to bezczelne kłamstwo. Nic nie

wiedziałem.

Przypuszczałem jednak, iż skłonię kierujących, by próbowali mnie uciszyć. Dzięki temu mógłbym się z nimi zetknąć, liczyłem też, że zachęcę kogoś, by się poprawił i wyśpiewał z jakiś tam swoich powodów co nieco. To stara sztuczka, ale często działa. Tym razem też podziałała. Skierowała do mnie ptaszka imieniem Titania Ourley. Może ją znasz.

Barbara Sinclair zwilżyła usta.

– Spotkałam ją.

– Titania pośpiewała trochę o swoim mężu, zdradziła, że podsłuchiwała jego rozmowę z Gabrielem Linnetem o zakupach na czarnym rynku. Zdawała się namawiać mnie do przyciśnięcia Ourley’ a. Nieładne zagranie ze strony żony, ale to nie moja sprawa.

Zgodnie z jej radami, pojechałem do Oyster Bay, by spotkać się i porozmawiać z Miltonem. Niestety, szybko się okazało, że nie jest mi sądzone, by zawrzeć z nim wielką, wspaniałą przyjaźń. W ogóle nie chciał ze mną gadać. Właściwie wyrzucił mnie za drzwi.

Simon odchylił głowę i spojrzał w sufit, jakby coś na nim zobaczył.

– Wpierw jednak popełniłem nieszczęsną pomyłkę, rzuciłem niedokończony cytat, który ktoś musiał podchwycić i dopowiedzieć po moim wyjściu. Kiedy usłyszeli zakończenie, wiedzieli już, że zamierzam skłonić Linneta do szczerości i wyśpiewania wszystkiego. Domyślili się też, że ruszyłem prosto na spotkanie z Linnetem. To okazało się bardzo tragiczne dla Gabriela. – Simon wypuścił starannie wypracowane kółko dymu.

– Rzeczywiście pojechałem do Linneta i spotkałem tam ciebie. Z kolei ty złożyłaś mi bardzo interesującą propozycję.

Pochyliła głowę nad dłońmi zaciśniętymi między kolanami.

– Wkrótce potem – dodał – jakiś tajemniczy detektyw amator zadzwonił do Fernacka i doniósł, że włamałem się do domu Linneta. Wspomniał też o dobiegających z wnętrza odgłosach walki.

– Dzwoniłam jedynie do chłopca, z którym byłam umówiona. Powiedziałam ci, że muszę odwołać randkę.

– A czy przypadkiem nie dodzwoniłaś się do kogoś innego? Może zawiadomiłaś swego przyjaciela – zdrajcę, że zostałem bez trudu wykiwany i jestem pod kontrolą, tak iż reszta spisku może odbywać się zgodnie z planem.

Nic nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego raz jeszcze. Na jej długich rzęsach lśniły łzy.

– Na szczęście oprzytomniałem niemal zaraz, zostawiłem cię z czekiem na pamiątkę i wróciłem do Linneta tak szybko, że o mało co nie stałbym się świadkiem jego śmierci. Bardzo nieprzyjemnej śmierci. Zawiązano mu sznur wokół szyi i zaciśnięto tak, że oczy wyszły mu na wierzch i wystawił język. Powinnaś była go widzieć. Byłabyś dumna ze swej drużyny.

Wstał i przeciągnął się trochę.

– Cóż, zostałem niesłusznie aresztowany przez dzielnego inspektora Fernacka i dopiero rano zdołałem się wyzwolić z jego szponów. Pojechałem do twego mieszkania, w którym zastałem Humpty’ego i Dumpty’ego z pewnym bagażem. Spotkaliśmy się tam. Chyba już wtedy mogłem rozwiązać całą zagadkę, sądzę jednak, że ciągle wprawiałaś mnie w oszołomienie.

Były tam również dwa śliczne ślady, na dodatek sprzeczne z sobą. Po pierwsze, piżamy w szafie...

– Powiedziałaś mi...

– Wiem. Nie miały inicjałów. Potrafię jednak rozpoznawać rzeczy po jednym spojrzeniu... A potem cenna portmonetka z irydem.

– Powiedziałaś ci, skąd się tam wzięła.

– Ale nie wspomniałaś słowem o inicjałach. Wiedziałaś, na jaką kombinację nastawiony był zamek, prawda?

– Nie.

– Trzy bardzo ważne litery, a nie zauważyłaś ich – powiedział z wyrzutem.

– Nie patrzyłam.

– Wisiałaś mi nad głową i obserwowałaś każdy mój ruch. Nie mogłaś ich przegapić.

– Nie patrzyłam na nie.

– Ponadto zapytałem cię, czy inicjały OSM coś ci mówią.

– Nic.

Święty wyciągnął następnego papierosa i odpalił go od poprzedniego.

– Od tyłu MSO. Sprytne posunięcie, ale nie na tyle, by spowodować przepuklinę szarych komórek przeciętnie bystrego faceta. Innymi słowy, to nasz drogi, wspólny przyjaciel.

Zapadło milczenie.

Święty podszedł do okna. Ściemniało się, a okoliczne drapacze chmur niknęły na tle aksamitnego granatu nieba. Zatrzymał się przez chwilę wyglądając na zewnątrz.

– MSO – powtórzył – Milton S. Ourley. Takie ładne i proste... A jednak musiałem na to wpaść. Powinnaś była oszczędzić mi trudu.

– Powiedziałaś ci...

– Wiem. Powiesz mi, kiedy będziesz miała ochotę. Ale już na to za późno. Może zawsze było za późno... Ale kiedyś miałem bardzo poważne podejrzenia. Straciłem nawet

kilka minut podejrzewając ciebie. Och, nie uważałem cię za morderczynię... Nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak dusisz Gabriela swymi silnymi rękami, a ponadto lekarz policyjny stwierdził niedługo potem, że opaska na migdałkach Linneta zacisnęła się mniej więcej wtedy, gdy starałaś się przekonać niemilego kierownika sali, że to nie twoja wina, iż wymknąłem się nie płacąc za kolację. Na dodatek w tym czasie zderzyłem się z Cokey'em. Ktoś go jednak wysłał, ktoś też wysłał Varettiego, w każdym razie przypuszczam, że to ten uciekinier z konkursu tańca uratował związanego przeze mnie Cokey'a. Mogłaś bez trudu być mózgiem kierującym całą operacją, ale po głębokim namyśle zdecydowałem, że masz na to za mało rozumu.

Wpatrywała się w niego jarzącymi jak węgle oczyma. Dostrzegł, też, iż w takim napięciu traci urok.

Przez mgnienie oka zastanowił się, czy ma prawo niszczyć takie piękno, choćby nawet dla sprawy, którą pragnął doprowadzić do końca.

Pomyślał o bezimiennych ludziach umierających w okopach lub spadających w płonących bombowcach i wiedział, że postępuje słusznie.

– Uwierzysz czy nie – powiedział – ale myślałem też o Titanii. Zachowuje się głupiej niż ty, ale jest o wiele sprytniejsza i twardsza. Wyobrażałem sobie Milтона z równie dekoracyjną panią jak ty, który robi to wszystko, by mieć odrobinę swobody w życiu.

Równie łatwo mogłem sobie jednak wyobrazić Titanię podejmującą ostatni, gigantyczny krok, aby pozbyć się Milтона, którego nienawidzi i którym gardzi. A wtedy to właśnie ona stanie się jeszcze bogatszą i silniejszą niż przedtem. Nie zgadzało mi się jedno.

Gdyby naprawdę była tym mistrzowskim mózgiem, nigdy by tak nie nastawiała karku.

Nie rzucałaby się tak w oczy i nie wciągnęłaby Linneta. Nie pozwoliłaby, by tak łatwo można było właśnie ją podejrzewać. Nie pasowało mi to.

Uważam ją za niesamowicie złośliwą i paskudną babę, kierującą się ogromną nienawiścią i zazdrością, ale nie jest dostatecznie wyrafinowana... Oczywiście znowu stała się tylko gadającą babą, bo znam już wszystkie odpowiedzi.

– Tylko tak mówisz.

Na jego pociągłej twarzy nie było urazy.

– Znam odpowiedzi i mogę tego dowieść. Policja dojdzie reszty. Tylko jedna osoba mogła dokonać tego wszystkiego. Ukraść iryd Uttershawa, wywołać niedobory, utworzyć własny czarny rynek z poufnymi wiadomościami i zabić Gabriela Linnetta. Ten ktoś nie poradził sobie jednak ze mną, bo jestem o wiele za sprytny i nie dało się uciszyć mej głupiej gęby. Ale udało się wystawić ciebie, by pozbawić mnie alibi na to morderstwo.

A potem zostawić walizkę w twoim mieszkaniu, wysłać Varettiiego i Walsha, by ją zabrali, wypuścić ich z szafy i skierować do Algonquin, by wzięli ją znowu.

Uśmiechnął się do niej mile, zaciągając się papierosem. Przygotowywał przedostatni cios.

– Wiem też – powiedział – kto planował zabicie nie tylko mnie, ale i ciebie, przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Nigdy by nie uwierzył, że twarz Barbary może stać się tak nijaka i nieruchoma.

– Teraz wiem już, że oszalałeś – szepnęła. Pokręcił ze smutkiem głową.

– Nie, moja droga. Nie bardziej, niż twój ukochany, który jest naprawdę zdrowy.

Na tyle, że wiedział, iż zrobiło się dla niego za gorąco, by zaryzykować pozostawienie takiego świadka jak ty, bo wiesz o wiele za dużo i możesz się na przykład rozmyślić. – Głos Świętego był monotony zupełnie wyprany z uczuć. Czuł się, jakby stał samotnie w środku wielkiej, pustej sali.

– Życie z ciebie wycieka, gdy tak się wykręcasz. Na dodatek nie ma to znaczenia, bo

widziałem owe piżamy.

– Ja je noszę – powiedziała – i uważam twe insynuacje...

– Po co się tak wysilasz? Będiesz jeszcze potrzebowała tych sztuczek. Oszczędź ich wiele dla najpilniejszej widowni, jaką kiedykolwiek miałaś – ławy przysięgłych, która zadecyduje, czy wyleczyć cię elektrycznością czy też obciążyć podatników kosztami ubierania cię na szaro i karmienia owsianką przez dwadzieścia lat. To będzie coś zupełnie innego, niż Saks z Piątej Alei i coq au vin.

– Ty... – syknęła.

– Nie jestem dżentelmenem – powiedział z żalem Święty – bo wiem, że jeśli nawet nosisz te piżamy, to nie kupiłaś ich dla siebie. Są dla ciebie o wiele za duże. Mogłyby pasować na Titanię, ale ona nigdy nie ubrałaby się w tak narwanym stylu, nosiłaby na pewno w wielkich ilościach koronki i szyfony. Były też na pewno o wiele za długie dla Milтона.

Zmyliło mnie to na jakiś czas, ale wreszcie nabrało sensu.. Grajmy więc w otwarte karty, to naprawdę ostatnia chwila, by zapytać cię, po której stoisz stronie.

Jej wargi były sztywne.

– Zaraz.

– Tak. To już mówiłaś.

– To czemu sobie nie pójdziesz?

– Bo chcę z tym skończyć. I myślę, że jest to odpowiedni moment.

Podszedł do stołu, który stał na środku pokoju i sięgnął do popielniczki.

Zgniecione niedopałki były dlań pierwszym tropem. Pogrzebał w nich i podniósł jeden.

Spojrzał na Barbarę zimno i obojętnie.

– Gdy tu przyszedłem – powiedział – zauważyłem, że w popielniczce jest jeden papieros bez śladów szminki. Miałem więc pewność, że twój chłopak już tu jest i mówiłem także do niego. Teraz, gdy się zdecydowałaś, a on słuchał tak cierpliwie moich słów, możemy przestać się bawić w chowanego. Na pewno stoi tuż za drzwiami sypialni i uważam, że powinien dotrzymać nam towarzystwa i wyjść.

– „Podróże kończą się spotkaniami kochanków” – powiedział Allen Uttershaw swym łagodnym, ujmującym głosem. – A może wolisz to: – „Podróże kończą się śmiercią”?

XV

Wszedł do pokoju. Trzymał pistolet nieomal nieśmiało, ale celował nim pewnie.

Jego oczy były spokojne.

– Na razie atuty są po twojej stronie – powiedział pogodnie Święty.

Stał z uniesionymi rękoma, nie zrobił żadnego ruchu, choć Uttershaw okrążył go z ciekawością, zaszedł od tyłu i przeszukał kieszenie z niespieszną starannością.

– Możesz odłożyć papierosa? – Uttershaw cofnął się i stanął przed Simonem. – Jeśli wybuchnie, na pewno się nie obejrzę.

Święty z uśmiechem zgniótł papierosa w popielnicze.

– Ricco ci o tym powiedział? Na pewno musi być wściekły, że dał się złapać na taki stary chwyt.

– Ma żal do ciebie.

– Teraz niewątpliwie jeszcze większy.

– Zastanawiałem się, jak do tego doszło?

– Spodziewałem się go. Niestety, znów spartolił robotę. Naprawdę, Allen, zawiódł cię.

Zastraszałem go i dręczyłem. Nie był w stanie poradzić sobie z dwoma zmartwieniami naraz i wymknęło mu się kilka słów. To mi starczyło, by z niego wyciągnąć, że tu jesteś i co zamierzasz.

Uttershaw uśmiechnął się i kiwnął głową. Wyglądało to tak, jakby dowiedział się właśnie, że któryś z jego przyjaciół złamał wędkę i stracił rekordowego pstrąga.

– Kiedy tu przybyłeś – oznajmił – wiedziałem, że doznam rozczarowania.

Przypuszczam też, że iryd jest nadal bezpieczny w twoim pokoju.

– Och, nie!

– Co z nim zrobiłeś?

– Nigdy go u mnie nie było. Mam więc nadzieję, że nie zakłócisz nastroju w moim eleganckim apartamencie i nie wyślesz po iryd dalszych posłańców. Widzisz, kiedy umieściłem tu Barbarę, poszedłem do sklepu z walizami, kupiłem następną torbę i włożyłem do niej metal, a twoją wypełniłem artykułami sportowymi o odpowiedniej wadze i jak sądzę, o dość podobnym kształcie. Potem, wracając do domu, zostawiłem cenniejszy bagaż na komisariacie, by móc zabrać go później.

– Na jakim komisariacie? – Uttershaw, wyraźnie się zaniepokoił i prysnął gdzieś jego beztroski wygląd. Teraz przypominał gładkiego, szarego sępa. Przemiana była zaskakująca.

Święty wzruszył ramionami.

– Niestety, nie mam dobrych wiadomości. Powiedziałem miejscowemu mandarynowi, by dostarczył torbę naszemu kumplowi, inspektorowi Fernackowi. Mam na myśli tę z dwiema ładnymi, zielonymi butlami. Pewny jestem, że już ją zabrano. Może i jesteś wpływowy, ale nie sądzę, by nawet tobie udało się zgromadzić takie oddziały, które wzięłyby szturmem twierdzę i odzyskały twój proszek.

Przerwał i po chwili zapytał:

– Przy okazji, nie sądzisz, że ktoś powinien zapłacić podatek dochodowy od nagrody ufundowanej przez twoje towarzystwo ubezpieczeniowe? Płacenie podatków nie jest ostatnio przyjemne, ale muszę dbać także o mój budżet.

– Wyobrażam sobie – stwierdził rozsądnie Uttershaw, odzyskując pozorny spokój.

– Czy przygotowałeś coś dla Varettiiego i Walsha?

– Tylko komitet powitalny złożony z dwóch najpaskudniejszych gliniarzy, jakich widziałem w długim życiu, w którym to kilkakrotnie już zdążyłem się przyjrzeć

paskudnym glinom.

Pięknie wyrzeźbiona twarz Uttershawa spoważniała. Zamyślił się, jakby skupiał się na zwykłym interesie.

– Od pierwszego naszego spotkania obawiałem się czegoś takiego – powiedział. –

Naprawdę jesteś bardzo inteligentny... Oczywiście, gdyś wszedł do Algonquin z walizką, wiedziałem, że za dobrze ci idzie.

– Miałem nadzieję, że ktoś tak pomyśli.

– Nie sądzę jednak, bym ja sam spisał się dobrze.

Simon kiwnął głową. – Byłeś niesamowity. Musiałeś tyle spraw pogodzić, ale była to najtrzeźwiejsza robota, jaką dotąd widziałem. Dopiero trochę później ją zepsułeś.

– Kiedy? – spytał tamten ciekawie.

– Gdy zaimprovizowałeś tę wspaniałą robótkę u Ourley'ów. Troszeczkę za bardzo nastąpiło to we właściwej chwili. Odrobinę za dobrze pasowało. Powinieneś był poprzestać na nastawieniu zamka torby na inicjały Ourley'a. Czy zrobiłeś to, by postawić kropkę nad i, czy masz takie poczucie humoru?... Nieważne. Byłeś trochę za bardzo wstrzemięźliwy mówiąc mi, że Ourley może mieć przytulny kącik, w którym oczekuje go ktoś podobny do Barbary. Byłeś też zbyt szczegółowy w opisach zawiłości gospodarstwa domowego Ourleya. Zbyt mocno dbałeś o to, żeby się przedstawić jako facet nieskazitelny. Było to niemożliwe, bo jednak wiedziałeś krztynę za dużo... Wszystko to drobiazgi, ale z nich można zbudować zróżnicowany obraz.

Uttershaw przybrał skruszoną minę, ale błyszcząca lufa nadal wymierzona była prosto w brzuch Świętego.

– To nieocenione szkolenie – zauważył. – Proszę mów dalej.

– Nawet wtedy – zaczął zgodnie Święty – miałem drobne wątpliwości. Zniknęły

jednak, gdy tak dokładnie dowiadywałeś się, gdzie jest Milton i gdy tak nieoczekiwanie przybył on po kilku minutach. Wiem, że to dobry pomysł, aby zatrzymać się po drodze w klubie Harvard i powiedzieć Ourley'owi, że jego żona je właśnie ze mną obiad. Chciałeś mieć pewność, iż przybędzie z rykiem, a wywołane przez niego zamieszanie zatrzyma mnie na tyle długo, byś sam mógł urządzić coś nowego. Nie pomyślałeś jednak, że można przesadzić nawet w błyskotliwości.

Allen, jesteś naprawdę dobry i może cię to pocieszy, że jedyny błąd, jaki popełniłeś, polegał na tym, że byłeś za dobry.

Rozmawiali, jakby dyskutowali rutynowo o taktyce reklamowej.

– Och, jaką splątana tkamy pajęczynę – powiedział Uttershaw filozoficznie. – Chyba w ogóle niepotrzebnie przyszedłem dzisiaj do Algonquin, ale w gazetach nic nie pisano o tobie w związku z wczorajszym wypadkiem i musiałem się dowiedzieć, dlaczego jesteś na wolności.

Akurat byłem w pobliżu, więc wstąpiłem zamiast zadzwonić. Wydawało się to bezpieczne.

Gdybym jednak był w innej części miasta, skorzystałbym z telefonu i nie wpadł na ciebie.

Zaoszczędziłbym sobie połowę kłopotów. Jak powiedziałaś, z drobiazgów można wyciągnąć wnioski.

– Właśnie – w dziwny i fantastyczny sposób Święty był równie zaintrygowany.

Zawsze był taki, nawet – w obliczu śmierci, która znajdowała się w kapryśnym palcu na spuście. – Byłeś cudownym oszustem, choć trochę poplamiłeś sobie ręce, jeśli uwzględnimy ludzi, których skrzywdziłeś. Ukradłeś swą własność, zagarnąłeś ubezpieczenie i nadal miałeś towar, który mogłeś sprzedać za wyższą cenę, niż na rynku

oficjalnym. Wprawdzie ubocznym skutkiem twojej zřęczności w interesach jest śmierć

kilku żołnierzy, ale to pewnie bez znaczenia, bo taki już jest ich los, prawda?

Uttershaw potarł podbródek w znajomym geście.

– Nigdy o tym nie myślałem – powiedział dość podniośle. W oczach Świętego nie było już żalu.

– Odrzuciłeś to jednak, Allenie. A teraz umrzesz jak zwykły żołnierz, bo nie byłeś zadowolony z pieniędzy, które zgromadziłeś na koncie.

Szczupły, siwy mężczyzna pokręcił głową.

– Nic nie wiem o umieraniu – powiedział. – Może i ty sam popełniłeś kilka pomyłek.

Polegasz za mocno na zeznaniach Varetiego i Walsh.

– Będą mówić.

– Zapominasz, co w sądzie może zrobić dobry adwokat. Nie sądzę, by mówili. Już się do nich dobierano. Nie pisną słówka, jeśli chcą żyć. Mogą najwyżej zostać oskarżeni o próbę kradzieży w twoim pokoju i będą czekać, aż zapłacę za nich kaucję. Milton nie wie za dużo i nie ośmieli się nic powiedzieć.

– Ale przyznałeś mi się do wszystkiego.

– Czemu nie? Jedyni, którzy mogą sprawić mi prawdziwe kłopoty to Barbara i ty.

A jak słusznie przewidziałeś, nie zamierzam pozwolić, byście mieli po temu okazję.

Zrobię to z wielkim bólem, ale spróbujcie zrozumieć moje położenie.

– Allen!

Barbara Sinclair skoczyła gwałtownie w stronę Uttershawa. Wyciągnęła ręce, jakby spodziewając się, że wpadnie w czyjeś objęcia. Święty zmierzył dzielącą ich odległość.

Nim jednak ruszył się, lewa dłoń Uttershawa wylądowała na zbliżającej się ku niemu twarzy Barbary, która runęła na podłogę trzymając w jednej ręce przewrócone krzesło.

– Allen – jęknęła z ogromnym niedowierzaniem.

– Zamknij się – rzucił zimno Uttershaw. Pistoletem mierzył w Świętego.

– Spokojnie, proszę – powiedział, choć Simon nie poruszył się ani trochę.

Uttershaw znów spojrzał na dziewczynę. – Pan Templar powiedział ci wszystko.

Powinnaś była mu uwierzyć, jak jednak sam stwierdził, masz za mało rozumu.

Święty spojrzał w jej udręczoną twarz, ale było za późno na współczucie.

– Powiedziałem ci.

– Allenie – nie!

– Tak, moja droga – powiedział Uttershaw. – Niestety, miał rację.

Simon Templar odetchnął głęboko.

– Mówiąc o rozumieniu czyjś położenia – rzekł dobitnie – powiedz jak
podałoby ci się Sing Sing, gdybyś się tam znalazł za to wszystko?

– Niezbyt mnie to trapi – odparł Uttershaw obojętnie. – Widzisz, byłem na tyle
przewidyjący, by wjechać windą o dwa piętra wyżej i zejść tu schodami. Znalazłem też
wygodne wyjście od tyłu oraz łatwo otwierające się okno, prowadzące na drabinę
przeciwpożarową.

Zarząd tego hotelu musi ufać swym gościom. Będę więc miał mnóstwo czasu na inne
posunięcia, jakie będę musiał wykonać. Na pewno też wezmę sobie do serca twój wykład
i spróbuję nie być za bardzo błyskotliwy... Przepraszam, ale nieuczciwie byłoby zostawić
ci jakieś złudne nadzieje.

Święty spojrzał na niego z kamienną twarzą.

Kątem oka widział Barbarę Sinclair, która nadal leżała na podłodze, milcząca,
sztywna i blada jak kreda. Była to prawdziwie groźna sytuacja, o której Barbara tak
uparcie nie chciała słuchać, ani jej wcześniej sobie wyobrazić.

Minęła już jednak pora wyborów, zarówno jej jak i Uttershawa. Mogło to również dotyczyć Simona, gdyby zajmując się olbrzymim sprytem tamtego, zapomniał o własnym.

– Pora na kurtynę – powiedział.

Odwrócił się gwałtownie na pięcie i podszedł beztrąsko do regału. Pomyślał przy tym, że jakież byłoby to wszystko śmieszne, gdyby po tylu przygotowaniach jego wyczucie czasu okazało się niedokładne.

Jaki to malowniczy finał...

– „Nasza śmierć to tylko śmierć i zapomnienie” – wyszeptał łagodnie Uttershaw.

Święty stanął spokojnie.

– Mam nadzieję, że odtąd będziesz zawsze szczęśliwy – powiedział.

Pomyślał też, że inspektor Fernack niewątpliwie ze złośliwą premedytacją wkroczy do akcji, wybierając najbardziej niebezpieczny moment. Musiał jednak przyznać, że sam się do tego przyczynił.

Niemal nie mógł się oprzeć pokusie, aby zrewanżować się za przedstawienie, ale wiedział jednocześnie, że włos, na którym to wszystko wisi jest zbyt cienki, by naprężyć go jeszcze choćby odrobinę.

Wydawał się zupełnie wyprany z osobistych uczuć.

Gdy wywalono drzwi i wpadł Fernack, Uttershaw odwrócił się w jego stronę.

Wówczas Simon Templar wyjął swój pistolet z wazonu z chryzantemami i strzelił tak spokojnie, jakby znajdował się na strzelnicy.

XVI

– Nie – powiedział Święty.

– Czemu? – przymilała się Titania Ourley.

– Bo nie musisz wymuszać informacji tak, jak to robiłaś w Algonquin. Bo nie usiłuję zgłębić przykrego charakteru, który posiadasz, ani też nie badam skrytej działalności twojego męża.

Zajął się tym – och, Boże! – właściwe władze. Bo możesz o wszystkim dowiedzieć się z gazet. Bo nienawidzę rumby. A także – stwierdził Święty z rozmysłem – bo nie tylko wyglądasz jak krowa, ale i pachniesz jak tuberozy na świeżym grobie.

Odłożył słuchawkę i zapalił papierosa, lecz ledwo się zaciągnął, gdy telefon zadzwonił ponownie.

– Rozmowa z Waszyngtonu – powiedziała telefonistka.

– Tu Hamilton. – Dobra robota, Simon.

– Dziękuję.

– Chciałbym, abyś wkrótce wrócił do tego, bowiem powinieneś pamiętać, że jest coś takiego jak dobra propaganda, jeśli o tym nie wiesz.

Święty usiadł wygodniej na łóżku i poprawił płaszcz kąpielowy. Nękały go liczne wspomnienia, ale tak naprawdę był pewny siebie i bezlitosny.

– Uttershaw nie był taki zły – powiedział. – Musiała mi się omsknąć dłoń. Gdyby jednak miał czas do namysłu, chyba wolałby takie rozwiązanie.

W telefonie zapadło milczenie.

– Co z Ourley'em? – padło w końcu pytanie.

– Zrobiłem coś dla niego – powiedział Święty. – Nigdy nie zdołałbyś go skazać za wszystkie sprawki, ale ma przecież Titanię, i doszedłem do wniosku, że to gorszy wyrok

niż Alcatraz. Przed chwilą dałem jej kilka wskazówek, aby była jeszcze lepszą żoną niż dotąd.

– Ta dziewczyna Sinclaira powinna dostać z dziesięć lat, jeśli Fernack zezna, co słyszał pod drzwiami – stwierdził brutalnie głos w telefonie. – Choć nieźle wygląda, prawda?

Co z tobą?

Zrobiłeś głupstwo?

– Może i tak.

– Cóż... Gdy będziesz gotowy, pomówmy o czymś innym.

Święty zaśmiał się, a potem zamilkł. Wszystko zamknęło się w nim głęboko.

– Złapię jeszcze dziś samolot i zjem z tobą kolację w Carltonie. Ciekaw jestem, czego się dowiem.

Po zakończeniu rozmowy pozostał jeszcze przez chwilę w łóżku paląc papierosa.

Rozmyślał o kilku sprawach, a może o niczym. Pamiętał jednak dziewczynę i jej włosy głaskane nocą, oczy, które były mrokiem i jej wargi jak płatki orchidei. To wcale nie było dobre.

Wstał i zaczął się pakować.

CZEŚĆ II

OLGA IVANOVITCH

I

Podczas długiej i urozmaiconej kariery dziwaczego podróżnika, Simon Templar napotkał na szosach wiele niezwykłych przeszkód. Były wśród nich wędrujące owce i brylantowe naszyjniki, parady cyrkowe i panienki w tarapatach. Do większości podchodził z tolerancją, szczególnie do panienek. Ale częściowo spalony pień był czymś rzeczywiście nowym. Pomyślał, że Zarząd Dróg w Teksasie powinien usuwać takie niecodzienne zagrożenia.

Zwłaszcza, że w pobliżu nie było widać żadnych drzew, z których mógł pochodzić ów pień.

Ktoś musiał zadać sobie wiele trudu, by go tu przytaszczyć zwłaszcza, że okolica była płaska, podmokła i porośnięta trzciną. Docierał też tu lekko cierpki i słony zapach morza.

Żwirowana droga biegła nasypem, wzdłuż rowu melioracyjnego i była niezbyt szeroka, choć dość gładka. Wiła się zygzakami na przemian przez piaski i trzciny jak wąż morski, który wypłynął z zatoki Galveston, by wygrzewać się na opustoszałej plaży.

Simon dostrzegł więc kłodę na długo przedtem, zanim zatrzymał przed nią samochód.

Prowadził piękną, lśniącą limuzynę rocznik 19424, z roku p.z. (przed zamrożeniem). Była ona jakby niestosowna na tej szosie, podobnie jak i jej kierowca.

Simon Templar znany był jednak z robienia rzeczy niestosownych. Jadąc od drogi 146 przez Texas City do Galveston nie osiągnął jeszcze Texas City. Mimo to na rozdrożu, gdzie droga odchodziła w lewo, a autostrada Południowego Pacyfiku w prawo, skręcił jeszcze bardziej na lewo i teraz jechał na południe najbardziej krętą trasą z widokami na wybrzeże Zatoki. Daleko tu od wielkomiejskiego tłoku Nowego Jorku, gdzie niedawno zakończył zadanie, czy nawet od St. Louis, gdzie przebywał później. Teraz towarzyszył

mu jedynie szum silnika i czasem skrzecząca mewa, unosząca się nad mokradłami w drapieżnych zamiarach. Nie oznacza to, że mniej drapieżny cel przyświecał Simonowi Templarowi, znanemu bardziej jako Święty, który opuścił kiedyś wydziały policji i podziemia, również opanowane nowymi i brutalnymi przykładami drapieżniczości – jeśli wasz kronikarz może użyć tego słowa. Najbardziej łatwą do uchwycenia różnicą między Świętym, a mewą była parosmia mewy, czyli perwersja węchu...

Jeszcze trzy godziny pozostało do zachodu słońca, a Święty miał jakieś dwadzieścia mil do Galveston, chyba że kartograf, który sporządzał mapę drogową, próbował z góry podnieść na duchu zniechęconego pielgrzyma.

Na środku drogi leżała więc tłąca się, szerniała kłoda, jakby jakiś zawzięty członek straży obywatelskiej uparł się, by żaden gruboskórny podróżny nie minął tego miejsca, bez zatrzymania się, i głębszych wrażeń, które powinny docierać do każdej duszy.

Simon analizował swoje sprawy, gdy zatrzymał limuzynę przed przeszkodą. Droga była za wąska, by ominąć kłodę, a przy konieczności oszczędzania opon bezsensowna wydała się próba przejechania przez przeszkodę. Oznaczało to więc, że ktoś musi wysiąść i usunąć zawalidrogę.

Mógł to zrobić tylko Święty.

Simon Templar wymamrotał kilka zwykłych uwag na temat nowicjuszy, którzy gubią takie wielkie resztki ogniska, ale jednocześnie czujnie rozglądał się na prawo i na lewo niebieskimi, zimnymi i spokojnymi oczyma, a cała jego opalona twarz z bacznej czujności jakby zastygła.

Dzięki bezlitosnym latom wiedział, że może to być skuteczna zasadzka. Gdy wysiadł, by usunąć spalony pień, automatycznie stawał się łatwym łupem dla wynajętych zbirów. A choćby taki pan Matson, przecież był zdolny do zastawienia podobnej pułapki,

gdyby tylko wiedział, że Simon Templar to Święty, i że jedzie do Galveston, by spotkać się z nim, a na dodatek gdyby miał zdolności prorocze i przewidział, że Simon wybierze tę nadmorską drogę.

Ponieważ jednak Święty jeszcze przed pół godziną nie miał pojęcia o tej trasie, wynikała z tego hipoteza, że pan Matson musi być jasnowidzem o fantastycznych zdolnościach.

Święty wpatrywał się w kłodę rozmyślając nad tym wszystkim, gdy po raz pierwszy w życiu poczuł, że za obiegowym powiedzeniem kryje się twarda rzeczywistość.

Poczuł nagle jak włosy dosłownie stają mu dęba, albowiem pień się poruszył.

Nie tak, jak mógłby się ruszyć każdy zwykły pień. Ten był giętki, a konary wysuwały się niezależnie od siebie niczym ręce.

Templara ogarnęło przez chwilę niesamowite przerażenie i całkowita niewiara.

Nawet szukając jakiegoś rozsądnego wytłumaczenia, takiego chwilowego omamienia zmysłów wiedział, iż marnuje czas. Na pewno widział to, co widział. Na tym koniec.

Albo początek.

Bardzo spokojnie, choć nie było powodu do spokoju, otworzył drzwiczki samochodu i wysunął na drogę siedemdziesiąt cztery cale napiętych mięśni. Cztery szybkie kroki...

i doszedł do wielkiego polana na drodze. Nie miał już wątpliwości, że spalona przeszkoda nie była drewnem...

– O Boże!... – wyrwało mu się.

Polano nie było pniem. Było człowiekiem.

Kiedyś było człowiekiem.

Ale najgorsze miało nastąpić. Na dźwięk głosu Świętego szerniała kłoda poruszyła się słabo i cicho jęknęła.

Simon cofnął się do samochodu i zaraz wrócił z lekkim płaszczem i butelką whisky.

Paltem otulił zwęglonego człowieka, by zdusić resztkę ognia, a potem uniósł łagodnie czarną głowę i przytknął butelkę do spękanych warg.

Fala bólu wstrząsnęła okaleczonym człowiekiem, a twarz wykręciła się strasznie.

– Niebieska... Gęś... – dobiegł suchy szept. – Mavis... kontakt... Olga... Ivan...

Ivanovitch...

Simon rozejrzał się dookoła. Nie było nikogo. Nigdy nie czuł się równie bezradny.

Nie miał żadnej możliwości, żeby przenieść te nieszczęsne resztki człowieka, ani też nie mógł udzielić pierwszej sensownej pomocy.

Jeśli jakakolwiek pomoc, pierwsza czy ostatnia, mogłaby cokolwiek zmienić.

– Czy wytrzyma pan, póki nie sprowadzę jakiejś pomocy albo karetki? – zapytał. –

Pośpieszę się. Słyszysz mnie pan?

Spalony człowiek pozbierał się trochę.

– Nie warto – syknął. – Umieram... Polano mnie benzyną... Zapalono...

– Kto to zrobił? Jak to się stało?

– Trzech ludzi... Spotkałem wczoraj wieczorem... w barze... Blatt... Weinbach...

i Maris...

szli na przyjęcie... do Olgi...

– Dokąd?

– Nie wiem...

– Jak się pan nazywa? Kim jest?

– Henry... Stephens – zaskrzeczał umierający. – Pudełko ze skóry strusia...

z wyściółką...

Weź pudełko – i wyślij... wyślij...

Jego głos przeszedł w niesłyszalny szept. Zniknął wraz z jego duszą w podmuchu wiatru, który pędził przez równinę. Henry Stephens umarł, co było dlań łaską, zostawiając Simona Templara z paroma nic mu nie mówiącymi nazwiskami i poplątanymi słowami.

– Do diabła – rzucił niepotrzebnie Święty, bo słuchały go tylko krążące mewy – dlaczego tacy ludzie muszą czytać powieści sensacyjne? Czy nie mogliby choć raz poczekać ze śmiercią, żeby powiedzieć wszystko, co zamierzali?

Wiedział, że mówi bez sensu, ale pomogło mu to wrócić do równowagi, do skorupy, jaką zbudował wokół siebie po tylu różnych, twardych epizodach.

Potem zapalił papierosa i zastanowił się, co powinien zrobić.

Nie sposób było zidentyfikować bliżej Henry’ego Stephensa. Jego włosy spłonęły, dłonie przypaliły się, gdy próbował zdusić płomienie, a nieliczne resztki ubrania zwęgliły się i stopiły.

Simon wahał się, czy ma wziąć ze sobą ciało, czy też pozostawić tutaj. Zerknął na zegarek i rozejrzał po pustej okolicy. Nadal nie było nikogo, choć w dali dostrzegł kilka letniskowych domków a za nimi pierwsze ślady miasta.

Templar przesunął delikatnie zwłoki na pobocze drogi, wsiadł do samochodu i ruszył.

Wyminął ostrożnie straszliwą przeszkodę. Naciskał mocno pedał gazu aż do wjazdu na autostradę, która doprowadziła go do Virginia Point.

Burzliwa przeszłość Świętego sprawiała, że z zasadniczych przyczyn unikał kontaktów z prawem, gdyż to, co robił lub zamierzał zrobić, stróże prawa mogli tylko komplikować albo opóźniać. Z rezygnacją odetchnął głęboko i wszedł do miejscowego posterunku policji.

Dyżurujący sierżant, ślęcząc z wysuniętym językiem nad krzyżówką

w prehistorycznym, potarganym piśmie, wysłuchał z wybałuszonymi oczami opisu znaleziska i szybko zadzwonił do policji w Galveston.

– Muszę poprosić, by pan zaczekał, aż ludzie z Wydziału Zabójstw i karetka przyjadą tutaj – powiedział po odwieszeniu słuchawki.

– Dlaczego? – spytał ze znużeniem Simon. – Nie sądzi pan, że będzie ich dosyć, by unieść tamtego człowieka? Mam sprawę w Galveston.

Sierżant spojrzał przepaszająco.

– To, to wymóg prawa, panie...

– Templar – pomógł mu Święty. – Simon Templar.

Jego nazwisko miejscowemu funkcjonariuszowi nie mówiło nic więcej, niż Johny Smith czy Leslie Charteris. Wygrzebał kartkę papieru i zaczął pisać zgodnie z rubrykami raport. Formularz ten być może pamiętał jego młodość, czyli dawne czasy.

– Skąd pan jest, panie Temple? – spytał podnosząc głowę.

– Templar – poprawił go Simon i zaczął odzyskiwać równowagę i nadzieję. –

Przybywam z St. Louis w Missouri.

Sierżant zapisał to starannie.

– Ma pan jakieś dokumenty?

– Po co panu? – spytał Simon. – To ciało trzeba zidentyfikować, a nie mnie.

Wiem, kim jestem.

– Nie wątpię, ale my nie wiemy – odparł z mocą policjant. – Gdyby zechciał mi pan pomóc, odpowiadając na pytania...

Simon westchnął ponownie i wyciągnął portfel.

– Robi pan trudności, więc proszę samemu obsłużyć się, panie poruczniku.

– Sierżancie – podkreślił tamten, spokojnie przeglądając książeczkę wojskową i prawo jazdy Świętego. Potem sprawdzał, czy rysopis pasuje do stojącego przed nim mężczyzny.

Miał właśnie oddać portfel, kiedy zerknął w przegródki wypełnione zielonymi „skórkami zab”, zwanymi potocznie gotówką, a w oko wpadł mu wytłoczony z tyłu wzór, gdzie zwykle umieszcza się inicjały.

Był to rysunek. Kreski tworzyły szkielet z owalem zamiast głowy i aureolą.

Figurka była beztroska, lekko zuchwała i niemal arogancka.

Sierżant przyjrzał się jej ciekawie.

– Co to?

– Lubię sobie rysować – wyjaśnił Simon z powagą. – To mój ulubiony wzór na budki telefoniczne, obrusy i damską bieliznę.

– Rozumiem – powiedział sierżant zwracając portfel. – Teraz proszę usiąść, panie Templar, policja z Galveston wkrótce tu będzie. To tylko kilka mil za Causeway, a pan zaprowadzi ich na miejsce.

– Nie wyśle pan pościgu za mordercami? – podsunął Simon. – Jeśli dostanę konia, oszczędzę kupony na benzynę.

– Coś się znajdzie – odparł sztywno sierżant. – Zadzwonię do biura szeryfa.

Simon Templar jęknął w duchu, dostrzegł zaciskające się znów wokół niego ślepe przeznaczenie, które orzekło, iż jeśli gdziekolwiek dochodzi do bezprawia, to Święty nie zdoła przemknąć się obojętnie jak każdy inny obywatel.

Podczas drugiej rozmowy telefonicznej, wyciągnął następnego papierosa a potem powiedział:

– Zaczynam mieć nadzieję, że nim stąd wyruszymy, mewy wejdą do akcji i nie

znajdziemy żadnego ciała.

– Będzie, jeśli je pan widział – odparł sierżant w zaufaniu. – Dziś nikt nie przejeżdża drogą wzdłuż plaży. Za wcześnie na pikniki, a na łowienie ryb nieodpowiednia pogoda.

– Ufam w pański geniusz dedukcji, panie kapitanie, ale dziś jechały tam przynajmniej dwa inne samochody – ofiary i morderców.

– Sierżancie – chrząknął policjant. – Nie wiem jeszcze, dlaczego pan wybrał tę drogę.

Simon wzruszył ramionami i rozłożył lekko ręce, by wskazać, że zgodnie z zasadami rachunku prawdopodobieństwa nie ma odpowiedzi. Zapadło milczenie.

Rozległ się szum samochodów i przedstawiciele prawa wkroczyli na posterunek.

Sierżant odłożył krzyżówkę i wstał, by zaszalutować.

– Cześć, Bili!

– Witam, poruczniku Kinglake.

– Hej, Yard!

– Dobry, doktorze Quantry.

– Ten pan zameldował o spalonym ciele. Nazywa się Templar i jest rysownikiem.

Simon badawczo oceniał ludzi, którzy zajmą się tą sprawą. Miał poważną minę.

Porucznik Kinglake był silnie zbudowanym, śniadym mężczyzną o świdrujących, szarych oczach i ustach, które tworzyły wąską kreskę nad podbródkiem, wystającym jak dziób krążownika.

Wyglądał, jakby pracował ciężko i szybko, i chętnie rozwalał rzeczy stojące mu na drodze.

Yard, jego pomocnik, sprawiał wrażenie niezdarnego. Był w zwykłym ubraniu, którego nie miał się kurz ani wygniecenie.

Doktor Quantry, lekarz sądowy, wyglądał jak lekarz sądowy.

Bili, w skórzanej kurtce z zakurzoną oznaką szeryfa, był w średnim wieku, miał czerwoną twarz i wąsy jak nieprzystrzyżony żywopłot. Jego lekko wylupiate oczy nie mogły długo patrzeć uważnie, jakby nie przywykły do przyglądania się rzeczom bliższym niż horyzont.

Bili poruszał się powoli, a mówił jeszcze wolniej, jeśli w ogóle mówił.

W niecałą minutę Kinglake wydobył wszystkie informacje od sierżanta i zbadał dokumenty Simona. Zatrzymał się nad rysunkiem, który przypominał mu sylwetki bokserów, które kiedyś szkicował na marginesach książki i przerzucał je potem szybko, by imitować walkę.

– Rysownik? – rzucił ostrym głosem. – Już... – Przerwał, jakby się zastanawiał. – Już to widziałem. Simon Templar? Jest pan Świętym?

– Podziwiam pana wiadomości – odpowiedział uprzejmie Simon.

– To znaczy?

– Jestem znany pod tym przydomkiem w pewnych warstwach społecznych i także na rynku, wśród handlujących starymi samochodami.

– Aha – powiedział detektyw Yard z miną odkrywcy. – Żartowniś.

– Święty? – mruknął zastępca szeryfa z pewną grozą. – Oj, to Święty.

– Powiedział, że jest rysownikiem – upierał się sierżant.

Dr Quantry spojrział na złoty zegarek dokładnie tak, jak powinien to zrobić dr Quantry i powiedział:

– Panowie, może wyruszymy?

Porucznik Kinglake jeszcze przez chwilę patrzył twardo w oczy Świętego i oddał mu portfel.

– Racja – rzucił. – Proszę darować sobie te ośmiocyndrowe słowa, panie Templar i zaprowadzić nas do ciała. Może pan zostawić tu swój samochód i pojechać z nami.

Yard, każ kierowcy karetki jechać za nami. Idziemy.

Gdy inni wyszli, Simon odwrócił się do sierżanta.

– Przy okazji – powiedział – „otwór w ziemi” to źródło, a nie to, co pan napisał. Do widzenia, inspektorze.

Usiadł za Kinglake’em i pomyślał, że ma niewielką swobodę ruchów, gdy los wydał mu prywatną wojnę i że musiał być idiotą, skoro spodziewał się, iż jego sprawy w Galveston potoczą się gładko. Bardzo mało pocieszał się tym, że wyliczy wszystkie rzeczy, które będzie musiał przekazać niejakiemu Hamiltonowi w Waszyngtonie.

II

Spalone ciało Henry Stephensa, leżało dokładnie tam, gdzie zostawił je Simon.

A więc sierżant z Virginia Point miał rację przypuszczając, że nikt inny nie wybierze tej drogi.

Porucznik Kinglake i lekarz przykucnęli obok zwłok i zbadali je dokładnie.

Detektyw Yard wziął kij bilardowy, by pokazać, że nie jest tu tylko osobą do ozdoby i przeszukiwał teren wokół ciała, a następnie przeczesywał okolicę, okrążając ją coraz większymi łukami jak gorliwy pies.

Powolny i na pozór niezdarny, może nawet tępy, był skrupulatny i pracowity.

Natomiast zastępca szeryfa Bili wpatrywał się w głębokim zamyśleniu w horyzont.

Simon Templar przyglądał się temu cierpliwie. Nie chciał się wtrącać. Przy całej zuchwałości nigdy nie popełnił błędu, żeby lekceważyć lub niedoceniać ludzi działających zgodnie z prawem.

Nie prowokowany, czy też bez innego ważnego powodu starał się nie drażnić.

Dr Quantry wyprostował się wreszcie i wytarł ręce w chusteczkę.

– Śmierć na skutek zwęglenia – oznajmił. – Przypuszczalnie benzyna. To cud, że mógł mówić, jeśli wierzyć panu Templarowi. Oczywiście zrobię sekcję. Szczegółowy raport przekażę później.

Porucznik kiwnął głową i wstał. Trzymał w ręce płaszcz Świętego.

– To pana, Templar?

– Dziękuję.

Dr Quantry skinął na ludzi w karetce.

– Zabrać! – nakazał krótko. – Do kostnicy!

Kinglake jeszcze raz obejrzał miejsce na drodze, gdzie Simon znalazł ciało.

– Nie spłonął tutaj – nawierzchnia jest nienaruszona – stwierdził i odwrócił się do nadchodzącego pomocnika.

Detektyw Yard niósł coś w chusteczce. Znalazł zwiniętą, częściowo spaloną gazetę i pudełeczko zapalek z napisem Klub 606 w Chicago. Kinglake nie dotykając, przyjrzał się przyniesionym przedmiotom.

– Gazeta z Galveston – stwierdził. – Kiedy po raz ostatni był pan w Chicago, Templar?

– Przed kilkoma dniami.

– Czy zna pan Klub 606?

– Istotnie, znam – odparł Święty zimno. – Badam Stany Zjednoczone pod kątem nagości na scenie, sprawdzam także podczas występów stosunek czytelników do Atlantic Monthly. To fascynujący temat.

Porucznik Kinglake nie zareagował:

– Co powiesz, Yard?

– Jakies dwadzieścia jardów od drogi, w stronę Zatoki, trzciny są zdeptane i spalone. Nie wiem, ilu ludzi tam było, bo wszystkie ślady zatarł denat. Wydaje się, że dwaj ludzie zaciągnęli tam tego nieszczęśnika, jeden oblał go benzyną bądź ropą, a drugi podpalił gazetę, by wzniecić ogień z dalszej odległości. Potem zwiali, ale nie ma wyraźnych śladów opon.

Ofiara musiała się czołgać, próbując zdusić ogień rękoma. Tak prawdopodobnie człowiek ten dostał się do drogi i tu upadł.

Była to trafna rekonstrukcja, co Simon odnotował z szacunkiem, pomijała tylko jeden drobiazg.

– A gdzie butelka, czy kanister na benzynę? – zapytał.

– Może znajdziemy ją w pana samochodzie – odciął się Yard z jawną wrogością. –

Był pan w tym klubie w Chicago, skąd pochodzą zapalki...

– Kochany, stary trop zapalkowy – powiedział ze smutkiem Święty. – Podręcznik detektywa, rozdział drugi, punkt trzeci.

Zastępca szeryfa przestał wpatrywać się w horyzont, odchrząknął i powiedział poważnie:

– Nic w tym śmiesznego, koleżko. Wdepnął pan w to głębiej, niż ktokolwiek inny.

– Sprawdźmy, czy na gazecie i na pudełku nie ma odcinków palców – rzucił

Kinglake. – Nie wyciągajmy jednak przedwczesnych Wniosków. Patrzcie.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął trzy pudełka z zapalkami. Na jednym była reklama syndykatu z Galveston, na drugim wychwalano zalety pastylek Tum, a na ostatnim widniał napis Florentine Gardens w Hollywood.

– Widzicie? – oznajmił. – Skąd mam to pudełko z napisem Florentine Gardens?

Nigdy nie byłem w Hollywood. Zapalki z reklamami są teraz rozdawane w całym kraju. Jest to równie dobry trop, jak twierdzenie, że kto ma takie pudełko, ten choruje na żołądek.

Wracajmy.

Spiszemy zeznanie Templara.

– Bylebym tylko dostał się do Galveston nim się zestarzeję – zauważył Święty.

W duchu jednak na nowo ocenił porucznika. Kinglake mógł być szorstki, kiedy się śpieszył, ale nie wyskakiwał z pochopnymi wnioskami. Gdy jednak już do czegoś doszedł, chyba rzadko zmieniał zdanie. Ale nim to nie nastąpiło, nie żałował trudu.

Święty więc nie reagował z wrodzoną złośliwością, lecz cierpliwie i grzecznie znosił męczącą procedurę składania zeznań, które z mozołem spisywali ręcznie detektyw Yard

oraz Bili, zastępca szeryfa. Potem jeszcze na koniec padło kilka rutynowych pytań

i odpowiedzi, aż wreszcie było po wszystkim.

– Dobra, Bill – powiedział Kinglake i wstał, jakby był rad podobnie jak Święty, że męki dobiegły końca – Będziemy w kontakcie. Jeśli można panie Templar, wróć do Galveston pana samochodem.

– Świetnie – powiedział pogodnie Święty – Pokaże mi pan drogę.

Wiedział doskonale, że nie chodzi tylko o to. Jego przewidywania sprawdziły się po kilku minutach jazdy.

– Teraz – powiedział Kinglake, zapadając się w siedzenie i odgryzając koniec wyglądającego paskudnie cygara – pogadamy sobie prywatnie.

– Dobrze – powiedział Święty. – Niech mi pan opowie o muzeach i pomnikach.

– Nie o to mi chodzi – odparł Kinglake.

Simon wziął papierosa i przypalił zapalniczką z deski rozdzielczej. Postanowił poddać się losowi.

– Nie mam zielonego pojęcia – powiedział – dlaczego pan tak się przejmuje.

Braciszek Stephens nie spłonął w granicach miasta.

– Jest jednak pewien związek z miastem, a ponadto współpracujemy z szeryfem.

Chcę zaoszczędzić trochę czasu.

– By nie stracić go na sprawdzanie mnie?

– Może.

– Dlaczego nie zostawi pan tego zmartwienia Yardowi? Na pewno z chęcią coś by na mnie znalazł.

– Tak – potwierdził Kinglake wśród kłębow dymu. – Rozumiem, i że Yard czasem się wnerwia, ale nie radzę dać się zwieść. To świetny detektyw. Dobrze się nadaje do

naszej pracy.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – zapewnił Simon. –

Powiedziałem jednak wszystko, co wiem, choć nie sędzę, bym powstrzymał pana przed dochodzeniem.

Zaczynajmy. To pana pomysł.

Kinglake nie podjął walki.

– Wiem, że pana relacja się zgadza powiedział. – Czułem alkohol z ust zmarłego i widziałem pana płaszcz. Nie wierzę, by marnował pan dobrą whisky i drogi płaszcz dla wymyślonej historyjki. Chciałbym jednak wiedzieć, co sprowadza pana do Galveston.

Święty spodziewał się tego pytania.

– Już mówiłem – odparł niechętnie. – Badam nocne życie Ameryki. Czy zechciałby pan zdradzić poufnie, jaki stopień negliżu obowiązuje w tej parafii?

– Chce pan, żebym zastosował twardsze zasady gry?

– Nieszczególnie. Pragnę tylko zachować resztki prywatności.

Kinglake odgryzł kawałek cygara i patrzył obojętnie na spokojny profil Świętego.

A po chwili odezwał się ponownie.

– Z tego co czytałem, pańskie życie prywatne zawsze okazywało się problemem publicznym.

Dlatego z panem rozmawiam. O ile wiem, nie jest pan poszukiwany i nie wniesiono przeciw panu -, żadnych oskarżeń. Słyszałem też o wielu policjantach wodzonych za nos, którzy przez pana myśleli za szybko. Nie zamierzam stać się I jednym z nich. Pańska opowieść wydaje mi się szczerą i właściwie I przyjąłbym taką relację od każdego innego. Niestety, pańska reputacja sprawia, że każdy woli sprawdzić dwa razy to, co usłyszy od pana. No, dobra.

Póki nie ma przeciwko panu dowodów, jest pan wolny. Ostrzegam tylko. Proszę się nie wychylać w Galveston. Nie chcę w moim mieście mieć kłopotów z panem.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – oznajmił poważnie Święty. – Obiecuję, że nie będzie żadnych kłopotów, chyba że ktoś sam się o nie upomni.

Zapadło długie, obojętne milczenie. Simon zaczął podziwiać piękne widoki, jako że zbliżali się do cieśniny West Bay, oddzielającej wyspę Galveston od stałego lądu.

– Miasto Oleandra – mruknął marzycielsko, by przerwać niezręczną ciszę. – Stara ziemia Jeana Lafitte. Sanktuarium, które powinien odwiedzić każdy rozumny korsarz...

Czy chciałby pan posłuchać krótkiej, trochę przekreślonej wersji dziejów Galveston, panie poruczniku?

– Nie – odparł szczerze Kinglake. – Dostatecznie zajmuje mnie bieżąca historia miasta.

Proszę skręcić przy następnych światłach.

Simon – podwiózł porucznika do komendy i zapalił następnego papierosa, gdy porucznik niezdarnie wyjmował z samochodu swoje nogi. Policjant wysiadając oznajmił:

– Ustalenie przyczyn zgonu nastąpi prawdopodobnie jutro. Gdzie się pan zatrzyma?

– W Alamo House.

Kinglake wskazał drogę.

– Proszę nie opuszczać miasta, nim nie skończymy. I pamiętać o tym, co panu powiedziałem.

To wszystko.

Odszedł z surową miną, a Simon Templar pojechał do Alamo House, jak to szczerze zapowiedział.

Kolorowy goniec zdziwił się, gdy otrzymał pięć dolarów napiwku za wniesienie

jednej lekkiej walizki, ale Świętemu był on jeszcze potrzebny.

– George – powiedział – myślę, że dobrze grasz w kości?

– Tak, psze pana – odparł z uśmiechem zaskoczony Murzyn. – Nazywam się Po't Arthur Jones.

– Moje gratulacje. Na pewno Port Arthur jest z ciebie dumne. Rzecz w tym, że powinieneś znać policję w Galveston, a przynajmniej większość policjantów z widzenia.

– No, psze pana, ja... tak.

– Skoro tak, zdradzę ci tajemnicę. Porucznik Kinglake i kilku jego kumpli sprawdzają mnie przed przyjęciem do prywatnego klubu. Będą tu węszyć, czy jestem na tyle szacowny, by do nich dołączyć. Nie zrozum mnie źle. Jeśli cię o coś zapytają, odpowiadaj zawsze szczerze. Nigdy, Po't Arthurze nie kłam detektywom, bo bardzo się wtedy złością. Pokaż mi ich tylko po kryjomu i powiedz, którzy to, bym mógł pozdrowić ich przy spotkaniu. A za każdym razem znów będę dla ciebie dobry.

Murzyn podrapał się po głowie i uśmiechnął.

– Nie myślę, że to proste, panie Templar. Ten Kinglake to twardziel. Nie ma żadnego zabójstwa, którego on nie wysledziłby tu w Galveston. On... ej! – i z podziwem aż wytrzeszczył wielkie, brązowe oczy. – Skąd pan wie o poruczniku Kinglake?

– Mamy wspólne zainteresowanie tak zwanym corpus delicti – powiedział z powagą Święty – ale sprzedałem mu swoją działkę. Teraz sprawdza paragon. Rozumiesz mnie?

– Ni, psze pana – powiedział Port Arthur Jones.

– Nie martw się tym. O szczegółach poczytasz w porannych gazetach. Przy okazji, jaka jest tu główna?

– Times-Tribune, psze pana. Wychodzi rano i wieczorem.

– Muszą być pracowici jak pszczołki – powiedział Święty. – Nie zapomnij o naszej

umowie. Pięć docłów za glinę, płatne do rączki.

– Tak, psze pana, dzięki.

Święty uśmiechnął się i poszedł do łazienki, żeby umyć się i zmienić koszulę.

Dopiero znacznie później zamierzał zająć się swoim prawdziwym zadaniem w Galveston, a na razie nie miał nic do roboty. Nie wiedział wiele o możliwościach rozrywki w mieście, by dać się na nie skusić. To nieuprzejme ze strony porucznika Kinglake, pomyślał, że na serio nie odpowiedział na moje pytanie... Wiedział ponadto, że odkrycie umierającego Henry’ego Stephensa oznacza, że nie powinien już dalej posuwać się po omacku. Zdrowy rozsądek mówił mu, że nie może też dłużej liczyć na anonimowość.

Dlatego po kilku zapiekanych kanapkach w hotelowej kawiarni, wybrał się do dzielnicy handlowej z miną turysty, który spaceruje sobie spokojnie, bo ma bardzo wiele czasu.

Ta przechadzka zaprowadziła go do hotelu Ascot, który znajdował się niedaleko morza. Był to typowy zajazd dla ludzi interesu, gdzie nocowali jedynie rozgorączkowani agenci handlowi podczas wypraw promocyjnych.

Simon wszedł do małego holu i podszedł do recepcji. Tabliczka na biurku głosiła:

„Dyżurny recepcjonista: P. WIMBLETHORPE”.

Dostosowując się do miny urzędnika, Simon Templar spoważniał i powiedział:

– Panie Wimblethorpe. Szukam pana Matsona z St. Louis.

– Tak jest – odparł recepcjonista. – Pan Matson był tutaj, ale...

– Nazywam się – powiedział Święty – Sebastian Tombs. Jestem inżynierem

górnikiem z zachodniego Teksasu i właśnie odnalazłem najbogatsze złoża gumy do żucia w tym stanie.

Chciałem pomówić o tym z panem Matsonem.

– Chciałem panu powiedzieć – rzekł recepcjonista – że pan Matson się wymeldował.

– Och – powiedział Święty prawie obojętnie. – Czy może pozostawił jakiś adres?

Recepcjonista przejrzał kartotekę. – Pan Matson nie zostawił żadnego adresu.

O piątej przybył jego przyjaciel, zapłacił rachunek i zabrał bagaż.

Zdziwiony Simon przyglądał mu się tak, jakby nie widział nikogo. Tak się składało, iż wiedział, że Matson czeka na paszport z Waszyngtonu, by móc popłynąć statkiem za granicę, i że paszport ten nie dotarł tu jeszcze. Dlatego dziwne było, iż Matson nie zostawił adresu, chyba że nagle zmienił zdanie o atrakcyjności zagranicznych wojaży.

– Kim był ten przyjaciel? – pytał dalej Simon.

– Nie wiem, panie Tombs. Gdyby pan przyszedł tu lub zadzwonił rano, może dowie się pan czegoś więcej od Bakera, naszego dziennego recepcjonisty.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie mieszka Baker? Może złapię go w domu.

Wimblethorpe zawahał się trochę, ale napisał adres kolegi na kawałku papieru.

W tym czasie Święty oparł się o biurko i lekko odwrócił, by leniwie lecz bacznie spojrzeć na hol. Jak się trochę Spodziewał, dostrzegł wielkiego mężczyznę w luźnym ubraniu, który próbował bez skutku ukryć się za palmą.

– Dziękuję, panie Wimblethorpe – powiedział i wziął kartkę. – Jeszcze jedno. Za chwilę pan Yard z policji zapyta pana, o czym rozmawialiśmy. Proszę mu szczerze odpowiedzieć. A jeśli będzie mnie szukał, niech mu pan powie, że idę do pana Bakera.

Odwrócił się i wyszedł leniwie, zostawiając gapiącego się i zdumionego recepcjonistę.

Na następnym rogu złapał taksówkę, podał adres Bakera i rozsiadł się z papierosem, nie próbując nawet odwracać się, żeby sprawdzić, czy jest śledzony. Zbyt wiele innych

spraw go niepokoiło. Nie podobało mu się wcale dziwne przeczucie, które tkwiło gdzieś w głębi jego umysłu.

Okazało się, że Baker jest w domu i bez trudu przypomniał sobie całe zdarzenie.

– Powiedział, że pan Matson postanowił wyjechać razem z nim, ale ma za dużo spraw, więc wysłał przyjaciela po swe rzeczy.

– Nie uważa pan tego za trochę śmieszne?

– No tak, ale ludzie zawsze robią rzeczy śmieszne. Mieliśmy producenta tabaki, który upierał się, by mieć w pokoju papugi, bo jak mówił, dawni korsarze zawsze trzymali papugi, a Lafitte często się tu zatrzymywał. A nauczyciel muzyki z Idaho...

– Wracając do Matsona – wtrącił się Simon – jak nazywał się jego przyjaciel?

– Nie jestem pewny. Chyba Black, czy jakoś podobnie, nie pamiętam dokładnie.

Wiedziałem, że wszystko jest w porządku, bo Widywałem go już z panem Matsonem.

– Może go pan opisać?

– Tak. Wysoki, szczupły, z jasnoszarymi, bardzo krótkimi włosami...

– Z wojskową postawą i blizną od szabli na lewym policzku?

– Nie zauważyłem tego – odparł poważnie Baker. – Pan Matson zaprzyjaźnił się z wieloma osobami podczas pobytu w hotelu. Często wychodził na dłużej, szukał dziewczyn i dużo pił... Mam nadzieję, że nic się nie stało.

– Ja też. Ale czy ten Black nie powiedział, dokąd Matson zamierza się z nim przenieść?

– Nie. Powiedział, że pan Matson wpadnie i zostawi adres, gdy wytrzeźwieje. –

Baker spojrzał z niepokojem na Simona. – Czy prowadzi pan jakieś interesy z panem Matsonem, panie...

– Titwillow – odparł Święty. – Sullivan Titwillow. Tak, jestem wspornikiem pana Matsona w nielegalnej spółce, kupującej diamenty w Rodezji. Mam nadzieję, że pana nie zbudziłem... Przy okazji, niech pan nie wskakuje do łóżka, gdy tylko wyjdę, bo będzie pan miał teraz jeszcze co najmniej jednego gościa. Nazywa się Yard i jest przedstawicielem prawa w Galveston. Proszę, niech pan będzie dla niego miły, bo chyba ma odciski.

Zostawił zaskoczonego urzędnika na progu i wrócił do czekającej taksówki.

Wychodząc gwizdał jakąś melodyjkę, ale jego wesołość była tylko udawana.

Cokolwiek robił, ogarniało go coraz mocniejsze przeczucie. Wiedział, że próbuje nad nim zapanować, ale obojętnie co zrobi, pałeczkę przejmie los.

– Gdyby ktoś się pytał – powiedział taksówkarzowi – nazywam się Sugarman Teacle.

Jestem Kanadyjczykiem i zajmuję się drewnem. Pracuję teraz nad ruchem pojazdów sprawdzając, czy wobec obecnego niedostatku opon nie da się zastosować miękkich klocków sosnowych i sprężyn zamiast kauczuku. Proszę swobodnie omawiać ten projekt z każdym konkurentem, który o to zapyta.

– Dobrze, pułkowniku – przytaknął taksówkarz. – Dokąd teraz?

Przecucie Świętego nabrało już wyraźnych kształtów, by mógł je przegnać.

Zdarzyło się coś tak przypadkowo, że nie mogło być zaplanowane przez rozum, a przy tym było tak absurdalnie oczywiste, że nie zostało dostrzeżone tylko dlatego, iż znajdowało się za blisko.

– Zna pan melinę zwaną Niebieska Gęś? – spytał Święty.

– Taak – odparł tamten. – Chce pan tam jechać?

– Chyba tak.

– Mogę tam pana podrzucić, ale potem niech pan radzi sobie sam.

Simon uniósł lekko brew, ale nie zareagował od razu. Po chwili powiedział:

– Czy sądzi pan, że zdoła zgubić każdy ogon, który mógłby ciągnąć się za nami po drodze?

Ostatnio moja żona stała się dość zazdrosna i wolałbym uniknąć kłopotów.

– Chwytam, stary – odparł kierowca ze współczuciem i ruszył z kopyta.

Niebieska Gęś miała szyld na zewnątrz. Parkowało przed nią kilka samochodów, ale drzwi były zamknięte i szofer musiał w nie mocno walić, nim w zakratowanym okienku pokazała się czyjaś twarz. Ktoś zamruczał i otworzył drzwi. W środku wszystko przypominało okres prohibicji, a nawet podobnie wyglądało, bo w Teksasie nadal obowiązywał system zamawiania alkoholu w sklepach i nie wydawano pozwoleń na otwieranie barów.

– Jesteś stary – rzucił taksówkarz. – Baw się dobrze.

Święty uregulował rachunek z hojnym naddatkiem i wszedł do środka.

Gdy tylko tam się znalazł, zrozumiał, że przynajmniej przymiotnik w nazwie był prawdziwy.

Dekorator wnętrz musiał naśladować Gershwin. Wszystko tu było błękitne: ściany, obrusy, zastawa i krzesła. Kolor ten też dominował w zespole muzycznym, który grał bluesy na licznych instrumentach dętych. Na niezbędnie małym parkiecie, marynarze, żołnierze, sprzedawcy i dziwki robili swoje w nieuchronnym towarzystwie szczeniaków, którzy wypili za dużo i sprytnych kobiet, które wypily za mało. Nawet oświetlenie było przyciemnione na niebiesko.

Od napisu przy wejściu nie wiadomo było tylko, czy należało być głupim jak gęś, by się tu znaleźć.

Simon podszedł do baru i zamówił szkocką z wodą. Nie poprosił o Petera Dawsona, bo bez względu na naklejkę na butelce, piłby i tak I to samo. Wlał do szklanki o grubej podstawie alkohol z dużą ilością wody i, wstrzymując oddech, wypił wszystko.

– Giełdziarzu – powiedział do barmana.

– Mów mi Joe – odparł barman automatycznie.

Joe był wysokim blondynem o szerokich ramionach, małym brzuszku i kwadratowej twarzy, na której łatwo pojawiał się wyrazisty uśmiech, jakby zapuszczał tam głębokie korzenie.

– Joe – spytał Święty – czy znasz tu dziewczuszkę, która nazywa się Olga Ivanovitch?

Barman tylko przez mgnienie oka zaprzestał przecierać szkło. Obok siebie Święty usłyszał głos z dziwnym akcentem.

– Ja jestem Olga Ivanovitch.

Simon odwrócił się, by na nią spojrzeć.

Siedziała sama, jak niektóre inne kobiety, trzymając przed sobą skąpy napitek.

Wybierając stołek, nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, ale teraz patrzył z zachwytem, bo była prawdziwą pięknoscią, której nigdy nie spodziewał się spotkać w takim miejscu, mimo że znał tradycyjne wymagania w tajemniczych spelunkach. Jej uroda nie miała nic wspólnego z pospolitymi wdziękami innych miejscowych kusicielek.

Błada, arystokratyczna twarz mogła należeć do wielkiej księżnej, lecz szerokie czoło było bardziej przyziemną domieszką, a wystające kości policzkowe zdradzały Słowiankę. Jasne, lśniące jak zamarznęty miód warkocze nie szpeciły jej klasycznych rysów, a z wdziękami otaczały głowę. Zielone oczy pasowały do mocno wyciętej, zielonej sukni. Bez metryki mogła mieć dowolną ilość lat, ale zgodnie z kalendarzami o innej

chronologii była bardzo stara albo wiekowa.

– Czemu mi się pan przygląda? – spytała głosem o nieznanej harmonii.

Barman ruszył wzdłuż lady i obsługiwał innych, którzy wymagali opieki.

– Chciałbym wiedzieć – rzucił stanowczo Święty – co może mi pani powiedzieć o facecie, kory nazywa się Henry Stephen Matson. Może też być pani znany jako Henry Stephens.

III

Musiał przyjąć z podziwem jej maskę na twarzy, która nadawała wyrazistość nawet ukrytym rysom.

– Czemu mnie pan pyta? – przeciwstawiła się z kuszącym zdumieniem.

Święty położył łokieć na barze i oparł na nim podbródek.

– Kochanie – powiedział po przyjacielsku z wielką serdecznością i wesołością – jesteś niesamowicie pięknym stworzeniem. Pewnie nieraz ci to mówiono, może dziś wieczorem nawet z dziesięć razy. Teraz usłyszałaś to znowu, ale za to od znawcy. Choć na twój widok zaraz zemdleję, to resztki rozsądku nie pozwalają mi nabrać się na tę niewinną minkę.

Roześmiała się, zaliczył to jej na plus, bo była pewnie jedyną kobietą w tym miejscu, która na tyle rozumiała jego specyficzny styl, że wiedziała czy ma się – śmiać czy nie.

– Nie udało mi się? – spytała.

– Udało doskonale – zapewnił ją – jeśli mi uwierzysz, to lubię kobiety na tyle dojrzałe, by miały już pewne doświadczenia i na tyle młode, by gotowe były przyjąć nowe doznania. Jednak muszą mieć swoje lata, aby zwróciły uwagę na taki stary, zmęczony zabytek jak ja, i żeby wiedziały, kiedy nie chciałbym przesiedzieć całej nocy, spierając się o bociany.

Z przyjemnością patrzył na jej ramiona i szyję.

– Jest pan bezcenny... Postawi mi pan drinka?

– Z chęcią. Może kupię całą tę melinę, to mały kąsek. Jeśli się napiję, będzie to warte tyle, co dwa stoliki i tuzin krzeseł.

Skinął na barmana o kwadratowej twarzy.

– I poczęstuje mnie pan papierosem? – zapytała.

Wyciągnął jednego z paczki.

– Ma pan poczucie humoru, panie...

– Simon Templar – odparł spokojnie, gdy barman odwrócił się, by wybrać butelkę.

Jej doskonale zarysowane brwi uniosły się z absolutnie opanowanym zdziwieniem.

– Simon Templar? – powtórzyła dokładnie. – To musi pan być... Pokażę panu.

Wzięła gazetę sprzed nosa trzeźwiejącego członka klubu Rotary, siedzącego po jej drugiej stronie. Chwilę szukała, po czym złożyła pismo na stronie wewnętrznej i położyła przed Świętym.

Simon zerknął na wczesne wydanie Times-Tribune i przeczytał artykuł z zawodowym podziwem.

Nie był zbyt przyzwyczajony do takiej ograniczonej sławy. Zajmował tylko cztery akapity w środkowej szpalcie, przytłoczony z jednej strony przez ostatnie oświadczenie związku zawodowego, z drugiej zaś przez kobietę z Des Moines, która urodziła trojaczki w windzie towarowej. Artykuł głosił jednak otwarcie, że na przybrzeżnej drodze na wschód od Virginia Point niezidentyfikowane, spalone ciało znalezione zostało przez „Simona Temple, komiwojażera z Chicago”. Policja jak zwykle ma kilka tropów i spodziewa się, że wkrótce rozwikła całą sprawę.

To wszystko. Święty zdziwił się, że nie skorzystano z jego informacji. Nie wymieniono nazwiska, które podał mu umierający, a on przekazał je policji, ani też nie zamieszczono wzmianki o Niebieskiej Gęsi. Zastanawiał się także, dlaczego porucznik Kinglake nie chciał rozmawiać o nocnym życiu Galveston. Może nie wziął poważnie pytania Świętego...

Simon znów spojrzął na Olgę Ivanovitch i podał jej ogień. Po raz kolejny zauważył jej posągową doskonałość i, doskonałą niewiary – godność.

Uniósł nową porcję jakiegoś rozcieńzonego alkoholu.

– Tak – przyznał skromnie – jestem komiwojażerem. Ale ty nie jesteś córką farmera.

– Nie – odparła bez uśmiechu. – Nazywam się Ivanovitch.

– Co po rosyjsku znaczy dokładnie to samo, co Johnson tutaj.

– Ale to moje nazwisko.

– Tak jak Templar moje. I choć w gazecie jest Temple, zidentyfikowałaś mnie

natychmiast – Jeśli o to chodzi – powiedziała – dlaczego pytał mnie pan o... Henry'ego?

– Jeśli potrzebne ci to do pamiętników, to dlatego złotko, że tuż przed zgaśnięciem usta biednego Henry'ego wypowiedziały twe imię.

Zadrżała i na chwilę zamknęła oczy.

– Musiało to być dla pana ponure przeżycie.

– Jak na to wpadłaś? – spytał z ironią, ale ona nie uchwyciła tego tonu lub wolała go zignorować.

– Skoro żył, gdy go pan znalazł... czy powiedział coś jeszcze?

Święty uśmiechnął się drwiąco.

– Tak, powiedział coś jeszcze, ale dlaczego niby to cię interesuje?

– To oczywiste, znałam go. Miał dziś przyjść do mnie.

– Naprawdę? Wiesz, znam tu jednego faceta, który podskoczyłby z radości, gdyby usłyszał te słowa.

Jej ciemne oczy były pełne niewinności. – Chodzi panu o porucznika Kinglake? – zapytała spokojnie. – Ależ je słyszał. Rozmawialiśmy dzisiaj.

Simon pociągnął łyk.

– I stąd znasz moje nazwisko?

– Oczywiście. Pytał mnie o pana, ale nie mogłam nic więcej powiedzieć ponad to, co

było w gazetach.

Simon nie spuszczał z niej oka, choć wymagało to pewnego wysiłku. Najpierw poczuł się wystrychnięty na dudka, ale ukrył natychmiast tę reakcję. Potrafił być chłodny i opanowany. W swych zeznaniach nie pominął niczego. Nie miał powodu. Kinglake miał jednak prawo go wyprzedzić. Sam zawinił startując tak wolno, ale przegapił zbieg okoliczności, który zbyt pasował, by mógł stać się wiarygodny.

Zastanawiał się długo, czy zielone oczy Olgi nie śmieją się z niego. Wiedział, że z pewną goryczą śmieje się z siebie.

– Towariszcz – powiedział szczerze – spróbujmy to pominąć, bo może zbyt głęboko tkwisz w intrydze, by tak się bawić?

– Spróbuję, jeśli dobrze cię rozumiem.

– Nie jestem popychadłem Kinglake’a – wprost przeciwnie. Po prostu znalazłem Henry’ego. Wymamrotał mi kilka słów przed śmiercią i oczywiście powtórzyłem, co zapamiętałem. Ze względu jednak na moją złą reputację, o której wiesz, uznano mnie za potencjalnego mordercę. Muszę więc się tym zainteresować, nie tylko ze zwykłej ciekawości.

Teraz twój ruch.

Olga Ivanovitch przyglądała mu się długo, jakby oceniała kolejno każdy szczegół jego otwartej i śmiałej twarzy. Wreszcie powiedziała:

– Czy bardzo znudziły się panu komplementy, że jest pan rzeczywiście przeraźliwie przystojny?

– Bardzo – odparł. – Czy dobrze znałaś Henry’ego?

Wypiła trochę napoju i bawiła się, tworząc wzory z mokrych śladów na blacie baru.

– Niezbyt dobrze. Jestem tu gospodynią. Spotkałam go tak jak wielu innych. Jak

pana dzisiaj.

Było to kilka dni temu. Dużo piliśmy i trochę tańczyliśmy.

– Ale odwiedzał też twój dom.

– Inni też do mnie przychodzą – odpowiedziała z bezbarwną otwartością, która wykluczała insynuacje i pytania.

Święty puścił kształtne kółko z dymu, by zapełnić niezręczną przerwę. Przyznał w duchu, że dziewczyna jest dumna i pełna godności. Spotykał takie dość rzadko, a już zupełnie nie spodziewał się, że pozna taką kobietę w Niebieskiej Gęsi.

– Czy Henry mówił ci coś o sobie?

– Niewiele z tego pamiętam. Może nie zwracałam uwagi. Mężczyźni opowiadają tyle różnych rzeczy. Chyba mówił coś o swojej pracy w zakładach zbrojeniowych gdzieś w pobliżu St. Louis.

– Czy powiedział, co zamierza robić, czy mówił dokąd się wybiera?

– Powiedział, że będzie pracował w zakładach w Meksyku i że czeka na statek do Tampico czy Vera Cruz.

– Jaki to był człowiek?

– Różny. Pił dużo, nie żałował pieniędzy. Był z niego, jak to się mówi, dusza – człowiek.

– Miał mnóstwo floty?

– Proszę?

– Mamony. Forsy. Zielonych papierków.

– Tak, wyglądało, że pieniędzy mu nie brakuje. Stawiał często, a więc miał wielu przyjaciół.

– Czy pamiętasz kogoś o nazwisku Black?

Zmarszczyła brwi.

– Chyba nie.

– Wysoki i szczupły, o bardzo krótkich, jasnych włosach.

– Skąd mam wiedzieć? – spytała bezradnie. – Widuję tylu ludzi. Święty zaciągnął się głęboko. Nie było to westchnienie, ale powoli wypuszczał powietrze.

Był naprawdę zbity z tropu. Wiedział, że Olga Ivanovitch powiedziała mu równie mało, tak jak on jej, wiedział też, że coś ukrywa, podobnie jak i on. Wiedział, wreszcie, że przypuszczalnie mówi mu to samo, co porucznikowi Kinglake. Nic jednak nie mógł na to poradzić.

Domyślał się, że równie bezradny jest i detektyw. Olga ułożyła dobrą, prostą historyjkę, której żaden z nich nie potrafił podważyć. Oficer policji mógł jedynie namieszać w sprawie, obciążając ją zarzutami o brak moralności, albo wyciągając nielegalne interesy Niebieskiej Gęsi. Ale Kinglake nie zamknąłby spelunki nawet wtedy, gdyby system polityczny mu na to pozwalał.

Święty z pewnym zadowoleniem zauważył, że Olga Ivanovitch obserwuje go i ocenia tak samo, jak on obserwuje i oceniają. A skoro on był już zmęczony słuchaniem wyznań na temat, jaki jest fascynujący, to i ona, bez najmniejszych wątpliwości, była równie zmęczona komplementowaniem egzotycznej harmonii jej skóry niespodziewanie połączonej z lnianymi włosami i autentycznym powabem. Simon czerpał czysto pogańską radość z patrzenia na kształt jej ust, bez względu na to, co mówiła.

– W każdym razie – powiedział – zamówmy jeszcze trochę kolorowej wody i dalej się sobie poprzyglądajmy.

Zaczynało już właściwie świtać, gdy wreszcie przyznał się do porażki. Do tej pory musiał kupić kilka galonów kolorowego płynu, który w Niebieskiej Gęsi sprzedawany

był jako szkocka.

Napój ten nie zrobił ani na Oldze Ivanovitch, ani na nim większego wrażenia.

Jeśli nawet świętej pamięci Matson ścinał tu szerokie pokosy, to musiał pilnie przykładać się do smarowania kosiarki. Olga Ivanovitch nic nie powiedziała. Była wesoła i promienna, jej zrównowazenie i inteligencja sprawiały radość, ale gdy Święty próbował zastawić pułapkę, spotykał się natychmiast z tym samym prostym spojrzeniem.

Dziewczyna szczerze żałowała, że niestety nie mogła dorzucić niczego nowego do tego, co już powiedziała.

Po jakimś czasie, kiedy już obejrzeliby występy o wątpliwej wartości i znów siedzieli przy barze, Simon poprosił o rachunek i skonstatował, że kupił w tej spelunie już prawie wszystko z wyjątkiem sufitu. Zapłacił jednak bez targów i dołożył co nieco.

– Dobra – powiedział – idę się przespać.

– Ja też wychodzę – powiedziała Olga. – Podaż mi ramię?

Barman o kwadratowej twarzy obdarzył ich szerokim, szybkim uśmiechem.

– Wpadnijcie jeszcze – zaprosił niemal z ponagleniem.

– Dobranoc, Joe – odparł Święty, jakby przyjmując zaproszenie. Zabrał dziewczynę do taksówki, która na szczęście czekała. Był to taki zbieg okoliczności, iż Simon zaczął wierzyć, że taxi przysłała jakaś altruistyczna agencja. Nie przejął się tym jednak. Jeśli ktoś zechce się dowiedzieć, co robił tej nocy, uzyska informacje bez trudu. Gdyby chciał kogoś zaniepokoić, działałby inaczej.

Kiedy taksówka ruszyła, Olga Ivanovitch powiedziała bardzo prozaicznie:

– Jesteś mi winien dziesięć dolarów za wieczór.

Bez słowa wyjął z kieszeni dziesięciodolarowy banknot i wręczył jej.

Schowała go do torebki i odezwała się po chwili:

– Nie wiem, czego szukasz w Galveston, Święty, ale nie znajdziesz tego, co chciałbyś.

– Co cię to obchodzi? – zapytał łagodnie.

Odpowiedź była ustępliwa i nastrojowa. Olga opanowała go całkowicie, zamykając usta ustami, jakby chciała udowodnić, że robi najlepiej, gdy wszystko zignoruje.

Trwało to dobrą chwilę, aż taksówka stanęła przy Seawall Boulevard.

– Nie wstąpisz po szlafmycę? – spytała.

Jego twarz wyglądała w ciemnościach jak biała plama przecięta czerwienią warg.

– Dziękuję – powiedział – ale muszę dbać o urodę. Ty też.

– Nie musisz dopłacać.

– Jeszcze się zobaczymy.

– Na pewno?

– Oczywiście.

– Zapamiętasz mój adres?

– Tak.

Wrócił taksówką do Alamo House, gdzie w holu zastał detektywa Yarda, chrapiącego w skórzanym fotelu. Szczerze żałował, iż musi przerwać ten niebiański koncert, ale bywały jednak chwile gdy czuł, że noblesse oblige.

– Dobry wieczór, bracie Yard – mruknął. – Czy raczej dzień dobry. I nie mów mi, że masz na imię Scotland, bo tego już bym nie zniósł... Mam nadzieję, że dobrze pan odpoczywał.

Miejscowy przedstawiciel Agencji Goryli Kinglake’a w czasie rozmowy stopniowo przytomniał. Patrzył na Świętego jak w gorączce, bo czego się można było spodziewać po człowieku tak brutalnie przebudzonym.

– Jak się pan nazywa? – warknął. – W Ascot przedstawił się pan jako Sebastian

Tombs!

Bakerowi powiedział, że nazywa się Sullwan Titwillow! A dla taksówkarza był pan Sugarmanem Treacle!

– Och, trafił pan do niego? – zdziwił się zaciekawiony Święty. – A więc musi już pan wiedzieć, że byłem w Niebieskiej Gęsi. Sprawdźcie tam, a dowiedziecie się, że cały wieczór udawałem Shirley Temple.

– Po co te wszystkie nazwiska – detektyw nie krył złości.

Simon pokiwał głową z rozczarowaniem.

– Jak może pan zadawać, panie Yard takie dziecinne pytania? Czyż wszystkie podejrzone osoby nie przybierają wymyślonych nazwisk? Czyż żelazną zasadą ze strony trzydziestej szóstej podręcznika detektywa nie jest, że uciekinier zmienia nazwisko, ale zawsze zachowuje inicjały?

Trzymałem się tej reguły, by wszystko panu ułatwić. Mogłem równie dobrze powiedzieć wszystkim, że nazywam się Montgomery Balmworth Wobblehouse czy podobnie paskudnie.

Rzecz w tym, że mnie pan nie docenia.

Detektyw Yard wyjaśnił w kilku dosadnych słowach, jak bardzo ceni Simona Templara.

– Dziękuję – odparł Święty z wdzięcznością. – A teraz, jeśli chce pan chwilę odpocząć, to może warto jeszcze pospać. Albo wrócić do domu i do żony, jeśli jest ona na tyle atrakcyjna.

Obiecuję, że teraz pójdę do łóżka i zostanę w nim kilka godzin. A jeśli to panu ułatwi pracę, zadzwonię, gdy będę chciał wyjść.

Wszedł do windy. Ruszył w górę z przygnębiającym wrażeniem, że oddalił się od celu, którym mogło być zdobycie przyjaźni wpływowego policjanta. Mówiąc prościej, wiedział, że jego wizyta w Niebieskiej Gęsi zostanie teraz na pewno źle zrozumiana. Wpatrując się w lustro starł szminkę z ust z nadzieją, że detektyw Yard miał tyle uciechy, gdy ją zauważył, co on kiedy ją zdobył.

IV

Święty, mimo że poszedł spać późno, następnego dnia wstał dość wcześnie.

Spodziewał się, że otrzyma oficjalne zaproszenia jeszcze przed południem i wprawdzie wolał zjeść śniadanie.

Gdy wysiadł z windy natknął się na Port Arthura Jonesa.

– Dzień dobry, panie Templar. Czekałem na pana. Jeden z dżentelmenów, o których pan pytał, siedzi w kącie holu.

– Wiem – odparł Święty. – Nazywa się Yard. Martwi się o mnie.

Uśmiech chłopca, sięgający od ucha do ucha, zniknął tak nagle, że Simon pożałował natychmiastowej riposty.

– Nie szkodzi, Po't Arthurze – powiedział. – Masz tu pięć dolarów. Nie zaniedbuj kontrwywiadu.

Murzyn znów się rozpromienił.

– Tak, psze pana, dziękuję, psze pana. Jeszcze coś...

– Co?

– Dziś rano inny dżentelmen wypytywał o pana. Nie podał nazwiska, a nigdy przedtem go nie widziałem.

– Był wysoki i szczupły, o krótko obciętych, jasnych włosach?

– Nie, psze pana. Był niski i gruby, miał czerwoną twarz, rude włosy i jasnoszare oczy. Nic o nim nie wiem, ale to nie policjant z Galveston.

– Po't Arthurze – powiedział Święty – przekraczasz me najśmielsze oczekiwania.

Masz następną piątkę, bo spisałeś się na piątkę.

Simon wszedł do kawiarni. Zamówił sok pomidorowy, bekon i jajka. Mocno wyęczał umysł, zmagając się z posiłkiem.

Po zmarłym Matsonie odziedziczył oprócz Olgi Ivanovitch trzy nazwiska. Blatt, Weinbach, Maris. Blatt, co przypominało Black, był prawdopodobnie wysokim blondynem, którego widziano w Ascot. Facet z czerwoną twarzą i rudymi włosami był którymś z dwóch pozostałych.

A jeden jeszcze nie miał żadnych znaków szczególnych. Zresztą było to bez znaczenia.

Brakowało mu punktów zaczepienia i miejsc do przeszukania poza Niebieską Gęsią. Ale musieliby być bardzo wielkimi głupcami lub znakomicie się maskować, aby tam wrócić.

Na pewno więc powinien mieć coś w rękach. Pozostaje tylko czekać, aż trafi na jakąś wskazówkę.

Popijał kawę i rozmyślał tak paląc papierosa. Wyglądał jak detektyw Yard, choć miał inne ubranie, które nigdy się tak nie gniozło jak ubranie tamtego.

– Jeśli pan skończył – powiedział twardo Yard stojąc nad nim – to porucznik Kinglake pragnie się zobaczyć z panem w komendzie.

– Znakomicie – odparł Święty. – Właśnie czekałem, aż przekaże pan zaproszenie.

Możemy pojechać samochodem policyjnym albo taksówką, za którą pan zapłaci.

Jechali razem w nieprzychylnej powściągliwości, a żarciki Świętego nie wzbudzały żadnego rezonansu.

Podobna atmosfera panowała w komendzie. Kinglake zachowywał się z rezerwą, której aż trudno się było spodziewać po tak nerwowym i niecierpliwym człowieku.

Porucznik był nadal twardy i drażliwy, ale nie rzucał się i nie ryczał. Podniesione głosy najwyraźniej zostawiał komu innemu.

Z całkowitym opanowaniem stwierdził:

– Jak słyszałem, trochę się pan rozbijał ostatniej nocy.

– Próbowałem – przyznał przyjacielsko Święty. – Pamięta pan chyba, o co pytałem.

Jeśli znał pan Niebieską Gęś, to trzeba było mnie ostrzec. Oszczędziłbym sobie wielu wydatków i lekkiego kaca.

– Nie sądzę, że powinien pan tam czegoś szukać – powiedział Kinglake. – Ciekaw jestem, co pana do niej skierowało.

– Zwykła ciekawość – odparł Święty. – Wbrew temu, co mógł pan przeczytać, nie znajduję codziennie na drodze mówiących węgli. Gdy coś mi powiedziały, trudno to było zapomnieć.

– Nie zapomniał pan też o Ivanovitch.

– Oczywiście że nie. Została wymieniona. Na pewno panu o tym powiedziałem.

– Według Yarda, wrócił pan do hotelu w nocy ze śladami szminki na twarzy.

– Niektórzy ludzie to urodzeni plotkarze. A on jest chyba zazdrosny.

Porucznik Kinglake wziął ołówek z biurka i obracał nim, jakby kuszony pomysłem przełamania go w połowie. Może symbolicznie. Nadal jednak nie podnosił głosu.

– Słyszałem – powiedział – że zadawał pan wiele pytań dotyczących tego Henry’ego Stephensa, nazywając go Matsonem. Proszę mi to teraz wytłumaczyć, albo pana dociekliwość posłuży jako dowód rzeczowy.

Simon kręcił w palcach papierosa.

– Chce mi pan zadawać pytania. A czy pan też zechce odpowiedzieć na kilka? Chcę mieć satysfakcję i zaczynam być ciekawy.

Porucznik zimnymi, świdrującymi oczami popatrzył na Simona.

– Na jakie?

– Jakie są wyniki sekcji zwłok?

– Brak śladów trucizny i przemocy... w każdym razie takich, które przetrwały ogień.

Facet spłonął.

– Co z gazetą i zapałkami?

– To lokalna gazeta, którą każdy może kupić lub znaleźć. Bez odcisków palców.

– Skąd panu przyszło do głowy, że jestem komiwojazerem?

– Nic o panu nie mówiłem. Jeśli jakiś reporter tak pomyślał, to jego sprawa. Nie jestem pańskim agentem prasowym. – Kinglake wyczerpał swe cenne opanowanie. –

Teraz pan odpowie na moje pytanie.

Święty zapalił papierosa. W ten sposób podkreślał ważniejsze decyzje.

– Zmarły nazywał się Henry Stephen Matson. Do niedawna był brygadziwą w zakładach Quenco pod St. Louis. Może pan pamięta, że jakiś czas temu niejaki Hobart Quennel wpadł w tarapaty z powodu sprytnych machinacji ze sztucznym kauczukiem.

Oczywiście ja pomogłem.

Ale nie ma to nic wspólnego z tą sprawą. Zakłady Quenco są teraz własnością rządową, a niektóre z nich, pod St. Louis, wytwarzają dużo zupy, która wybucha i straszy wroga. Matson wyjechał z nich niedawno i przybył tutaj. W Ascot używał swego prawdziwego nazwiska, bo załatwił paszport do Meksyku. Chciał tam wyjechać. Poza tym miastem wolał nazywać się Henry Stephens, bo nie chciał zginąć.

– Skąd pan to wie? – ponaglił go Kinglake. – I dlaczego nie...

– Nie powiedziałem panu tego wczoraj, bo nie wiedziałem – wyjaśnił Święty ze znużeniem.

– Biedak na drodze mówił, że nazywa się Henry Stephens i nie zwróciłem na to uwagi. Byłem za sprytny. Dopiero, gdy zacząłem szukać Matsona, wpadło mi do głowy, że zdarzają się jednak czasem zbiegi okoliczności.

– Czemu szukał pan Matsona?

Święty zastanawiał się przez chwilę zanim odpowiedział.

– Ponieważ, na konwencji w Kiwanis, wybrano go człowiekiem roku 1944 Atlantic Monthly.

Dlatego prowadząc moje badania pragnąłem poznać jego opinię o striptizie w Galveston. A szczególnie w Niebieskiej Gęsi...

Okazało się to za wiele, jak na nerwy detektywa Yarda, najwidoczniej słabsze niż u Kinglake'a. Na dodatek detektyw miał za sobą gorsze godziny, jego nogi ucierpiały jeszcze więcej.

Pochylił się ciężko nad ramieniem Świętego.

– Posłuchaj, żartownisiu – rzucił nieoryginalnie – tak bardzo chcesz dostać w dziób?

– Przymknij się – warknął Kinglake. Był to rozkaz. Wpatrywał się dalej w Świętego i po raz pierwszy jego nerwowa niecierpliwość stała się bardziej nerwowa niż niecierpliwa. Simon nie mógł pozbyć się wspomnień. Poprzedniego wieczoru sam próbował ukryć zmieszanie pokerową miną.

– Niech pan posłucha, Templar – powiedział Kinglake apodyktycznie. – Prowadzimy własne śledztwo i bez względu na to, co pan myśli, doszliśmy do wniosku, że Stephens, czy Matson, popełnił samobójstwo. Oblał się benzyną i podpalił.

Święty bardzo rzadko tracił panowanie, ale teraz do tego doszło. Zdumiony wpatrywał się w porucznika. Zapomniał nawet o grubiańskim zachowaniu detektywa Yarda.

– Bądźmy szczerzy – powiedział wolno – Zamierzacie zrobić z Henry'ego samobójcę?

Ostra twarz Kinglake'a ściągnęła się jeszcze bardziej.

– Wszystko na to wskazuje. I nie zamierzam robić z siebie mały tylko po to, by pan trafił do tytułów w gazetach. Jak już mówiłem, nie chcę żadnych kłopotów w tym mieście.

– A co z tym zrobisz? – zapytał detektyw Yard z trafnością, której musiał nauczyć się z filmów.

Simon nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

– A dowody? – powiedział drwiąco. – Facet tak rozrzutny w zużyciu benzyny był jednocześnie na tyle porządny, że połknął butelkę, w której ją przyniósł, byleby nie śmiecić.

– Po prostu wczoraj nie znaleźliśmy pojemnika. Ale może jeszcze trafimy, jeśli ponownie przeszukamy teren.

– Prawdopodobnie butelkę z kolą, w której Scotland Yard płucze swój mózg.

– Jeszcze jedna taka odżywka, to cię... – odezwał się Yard zaczepnie.

– Niech mi pan powie jedno, Kinglake – powiedział Święty uszczypliwie. – To jest pana cudowny pomysł na złapanie zabójców, czy rzeczywiście z pana tępy gliniarz? Jedyne na co pana stać, to raport o zwykłym samobójstwie. A może ma pan coś jeszcze w zanadrzu?

Porucznik zacisnął wąskie wargi, a jego broda jak krążownik wysunęła się o następny cal do przodu. Wyglądał zupełnie jak człowiek, który nie przyznaje się do winy mimo, że został złapany na gorącym uczynku; wytrzymał przy tym na wpół kpiące, na wpół wściekłe spojrzenie Świętego i z trudem odzyskał równowagę.

– Zostaw to pan – powiedział zimno Kinglake. – Uważamy, że Stephens popełnił samobójstwo...

– Najboleśniej, jakie tylko mógł wymyślić...

– Musiał oszaleć, mieliśmy już do czynienia z szaleńcami.

– I nawet umierając, próbował zmyślać...

– Był niespełna rozumu. To nieuniknione przy takim poparzeniu. Pan jeszcze nie spłonął, więc proszę ruszyć głową. Jeśli nie chce i mieć kłopotów, to najlepiej o wszystkim zapomnieć, albo niestety znajdzie się pan w ciupie. Czy wyraziłem się jasno?

Święty długo patrzył mu w oczy.

– Gdyby rozciągnął się pan na płasko, mógłby się pan wynajmować jako lustro – powiedział Simon. – Zamiast tego siedzi pan tu, poruczniku, jak gigantyczna skorupa i zalewa mnie kaszką, choć wiedziałem, że wiem o Matsonie więcej niż pan.

– Tak – to była cała odpowiedź Kinglake’a.

– Nie zamierza pan nawet przyjrzeć się Niebieskiej Gęsi i mojej tam wizycie.

– Nie – rzucił zwięźle Kinglake.

Po raz pierwszy w życiu Simon Templar był szczerze zbity z pantałyku. Szukał pośpiesznie lepszego słowa, ale bez skutku. W głowie wirowały mu różne domniemania, były jednak zbyt pochopne i fantastyczne, by je zaakceptować. Musiał stać twardo na nogach.

Było się nad czym zastanawiać w obliczu nieprzeniknionej skorupy Kinglake’a, strzepując przy tym niezdarne groźby detektywa Yarda jakby były to piórka, które przypadkowo spadły z chmury.

– Spotykałem już zdumiewająco różnych policjantów, ale ty, bracie, jesteś zupełnie nowym rodzajem – zauważył. – Nie próbuje pan nawet popędzić mi kota, czy pozbyć się elegancko...

Powiedział już pan ostatnie słowo w tej sprawie?

– Tak – prychnął porucznik. – Czy teraz pan wyniesie się stąd uprzejmie i zajmie badaniami, o których mówił?

– Tak – odciął się Święty. – I proszę mnie nie winić, gdy znajdzie pan swych wywiadowców tam, gdzie nie trzeba.

Simon wyszedł z komendy z dziwnym wrażeniem, że odczuwa dokładne coś przeciwnego w porównaniu z tym, co go spotkało na widok poruszającej się na nadmorskiej drodze kłody.

Wtedy krew zamarzła mu w żyłach, a teraz wrzała.

Zdarzało mu się już borykać z lokalnymi politykami i pokonywać utrudnienia w różnej postaci, i z różnych przyczyn. Teraz jednak gra szła o coś innego. Wybuch gniewu tak pobudził Świętego, że natychmiast odkrył, co ma zrobić.

Kinglake drwił sobie z jego popularności. Cóż, Święty nie potrzebuje żadnych agentów prasowych... Do tej pory czekał z nadzieją na jakiś trop, lecz może przecież o niego upomnieć się zaraz. Korzystał już przedtem na różne sposoby z gazet, szczególnie gdy pragnął zapuścić wędkę i namówić niegodziwców, by wyszli z mroku i przedstawili się komukolwiek.

Nie rozglądając się na boki, szedł Centre Street w stronę cieśniny leżącej na północy.

Wkroczył do budynku, w którym mieściła się redakcja Times-Tribune i parł twardo przez różne przeszkody, aż w końcu stanął przed biurkiem redaktora naczelnego.

– Nazywam się Simon Templar – powiedział po raz czternasty. – Jeśli pan nie pamięta, to jestem tym komiwojazerem, który wczoraj znalazł na drodze przypaloną „grzanekę”.

Chcę to panu opisać. Oczekuję jedynie, że redakcja umieści nazwisko autora.

Redaktor przyjrzał mu się bacznie.

– Nasz reporter policyjny musiał pomylić pisownię – powiedział. – To śmieszne, gdy czytałem pana nazwisko, coś mi zaświtało... A więc to pan jest Święty? Ale co pan sprzedaje?

– Sprzedaję panu sensację do wieczornego wydania – odparł Święty.

– Może zwariowałem, ale jeszcze potrafię zwrócić na siebie uwagę. A teraz zagramy w remika, czy też pożyczysz mi pan maszynę do pisania i wstrzymasz druk gazety?

V

Od typowych ludzi z policji Simon Templar różnił się jeszcze tym, że świetnie władał piórem.

Pisał na maszynie równie biegle, jak posługiwał się bronią. Klawisze trzaskały pod jego palcami jak karabin maszynowy, a słowa były celne jak kule. Pracował jakby w białej gorączce, z niesłabnącym ani przez chwilę gniewem.

Podał własną, pełną wersję odnalezienia Stephensa, przytoczył każde słowo wypowiedziane przez umierającego wraz z krótkim streszczeniem innych znanych mu faktów.

Uczył to z pasją, w dobrej formie i ciekawej stylistyce, z pewnością mógłby znaleźć pracę w najlepszych redakcjach. Potem sięgnął po nową kartkę i ponowił atak pisząc:

„Z żalem muszę donieść wszystkim miłym czytelnikom, że do mych wrażliwych nozdrzy, od dawna bardzo czułych na pewne charakterystyczne zapachy, dobiegła woń boskiego natchnienia, które nawiedziło rano porucznika Kinglake i szepnęło mu, iż Henry Stephens popełnił samobójstwo.

Podam teraz zupełnie inną wersję, bo muszę przekonać, że buldog Templar nie poddaje się tak łatwo.

Przypomniała mi się legenda, prawdziwa lub nie, iż kiedyś S.S. Van Dine znalazł się w pobliżu pewnego morderstwa, wówczas jakaś gazeta zasugerowała, że mógłby współpracować z żandarmerią i pomóc złapać łotra. Wtedy Van Dine wskoczył do samochodu ruszył tak szybko, że ekspresem trzeba było wysłać za nim jego własny cień.

Templarowie są twardsi. Dajcie nam tylko szansę złamania karku, a staniemy w szranki nawet z żyrafą.

Dlatego podpisujemy się pod tym wezwaniem do wszystkich głosujących obywateli, by przyjrzeni się bacznie samobójcy Stephensowi.

Zauważmy, że był on twardym i ponurym typem, dla którego życie nie miało wartości.

Spędzał swe ostatnie dni, pijąc nocami w spelunkach i tańcząc z dziewczętami.

Nie szukał żadnych przyjemności, które podobno rozklejają ludzi. Był srogi i ascetyczny i nawet, gdy postanowił skończyć z sobą, pokazał, że jest twardym facetem.

Nie wyskoczył przez okno, nie przedawkował pastylek nasennych, ani nie przyłożył pistoletu do ucha, by sprawdzić, czy jest nabity. Umyślnie wybrał najbardziej bolesny rodzaj śmierci.

Być może spotkało go jakieś nieszczęście. Na pewno nie był splukany i nie musiał jak niektórzy ludzie ostrym nożem skracać powietrzu drogi do płuc. Wydawał mnóstwo pieniędzy, ale zapragnął przeżyć swoją ostatnią godzinę na madejowym łożu.

W tym celu wybrał się na dwudziestomilowy spacer aż tam, gdzie nie jeżdżą miejskie autobusy. Po drodze miał mnóstwo czasu, więc rozglądał się i podziwiał widoki.

Był też konsekwentnym facetem. Nie chciał sam cierpieć, pragnął przysporzyć zmartwień i innym. Dlatego po kąpieli w benzynie, przed potarciem zapalki pogryzł i zjadł butelkę, aby porucznik Kinglake miał kłopoty. Nie wiedział oczywiście, że porucznik Kinglake nie troszczy się o takie drobiazgi.

My, Templarowie, zawsze podziwiamy łaskawość Opatrzności wobec obciążonej policji. To my często widzimy, jak w obliczu naprawdę trudnej sprawy, aby nie mieć załamania nerwowego, policja nagle odkrywa, że nie było żadnego morderstwa. Z ulgą przyjmujemy fakt, że gliny postępują praktycznie i że Bóg sprawuje nad nimi opiekę.”

Święty sam zaczął się tym bawić. Zapalił papierosa i przez chwilę wpatrywał się

w sufit, szukając odpowiedniego finału. Gdy go „znalazł, pisał dalej:

„Przyjmijmy jednak, że mamy jasną, wnikliwą wizję porucznika Kinglake.

Przyjmijmy również, że jesteśmy na tyle tępi, by uwierzyć, człowiek umierający w mękach (oparzenie trzeciego stopnia), Wysmażył tę wspaniałą historyjkę o trzech mężczyznach, bo był zbyt nieskromny, aby przypisać sobie wszystkie zasługi.

Przyjmijmy, że naprawdę byli tam trzej inni ludzie.

Ludzie o nazwiskach Blatt, Weinbach, Maris. Cudne trio Herrenvolku.

Możemy teraz kupić pomysł i uznać, że Henry Stephen Matson był zdrajcą. A więc niech zostanie wciągnięty do pewnej organizacji sabotażowej i dostanie pracę w fabryce materiałów wybuchowych w Missouri. Niech nawet weźmie zaliczkę, co tłumaczy, dlaczego miał dużo forsy w Galveston.

Założmy dalej, że czmychnął z pieniędzmi albo pod wpływem ataku grypy, albo wyrzutów sumienia patrioty. Wiedział, że będzie ścigany. Nie mógł pozostać w kraju, bo mogliby go wydać FBI, a może i uczynić coś gorszego. Zwiął więc tutaj mając nadzieję, że dostanie paszport i zdoła uciec kumplom. Byli jednak od niego lepsi. Wyśledzili go, poznali i dali to, na co zasłużył. W bardzo paskudny sposób, dla zniechęcenia naśladowców.

To moja bajeczka. Podoba mi się.

Blatt, Weinbach, Maris. Mam rysopisy dwóch spośród nich i pewne domysły dotyczące trzeciego. Ogłaszam niniejszym, że złapię ich dla państwa sam, bo nie powinniśmy przeszkadzać porucznikowi Kinglake w jego dostojnych medytacjach.”

Redaktor przeczytał tekst nie zmieniając wyrazu twarzy. Potem wskazał palcem ostatnią stronę i powiedział:

– To zmyślna teoria, ale czy ma podstawy?

– Wyłącznie logiczne. Oczywiście można tak analizować każdą inną. Ale są również fakty.

Jeśli potrafi pan je lepiej wyjaśnić, to proponuję, żeby wstąpił pan do klubu Kinglake’a.

– To ostatnie stwierdzenie, o trzech facetach – czy jest prawdziwe?

– Częściowo. Ale chodzi w nim głównie o to, na co pan zwrócił uwagę. Jeśli uwierzą, że wiem coś więcej, może to ich skłonić do popełnienia poważnych błędów.

Dlatego robię panu prezent w postaci całej tej soczystej literatury.

Wydawca skubnął dolną wargę. Miał głowę w kształcie gruszki o długiej posępnej twarzy.

Nigdy się nie uśmiechał. Czasem tylko mrużył oczy.

– To dobry kawałek, więc go puszcze – powiedział. – Proszę mnie jednak nie winić, gdy pan stanie się następną pochodnią; albo gdy Kinglake złapie pana i zrobi piekło.

– Zapewniam pana, że się tak nie stanie – odparł Święty. – Gdybym postępował inaczej, mógłbym w każdej chwili mieć z nim poważne kłopoty. Teraz Kinglake nie zrobi nic śmiesznego, bo wtedy wyglądałoby, że wiem wszystko.

– Kinglake to dobry oficer. Nie postępowałby tak, gdyby go nie naciskano mocno.

Simon przypomniał sobie lakoniczne uwagi porucznika, jego skrępowanie i prawie uległość.

– To prawdopodobne. Ale kto mógł to zrobić? Wydawca złożył palce.

– Galveston ma teraz tak zwany zarząd komisaryczny. Wkrótce odbędą się wybory Komisarza numer jeden, który w innym mieście nazywa się burmistrzem. To on wyznacza szefa policji. Szef jest zwierzchnikiem porucznika Kinglake. Teraz nikomu nie jest na rękę jakakolwiek skaza w obrazie policji. Jestem przekonany, że ani komisarz, ani

szef policji nie są wmieszani w żadną aferę. Po prostu wszyscy zainteresowani wolą teraz nie wywoływać wilka z lasu.

– Odnosi się to i do pana.

– W przeciwieństwie do pana, panie Templar, Times-Tribune nie skręci karku. Nie jesteśmy pismem politycznym, a gdybyśmy chcieli rozpocząć krucjatę, to nie na podstawie tylko jednego sensacyjnego, ale niewiele znaczącego morderstwa. Gotowi jednak jesteśmy pisać całą prawdę, czego dowodem jest pana artykuł.

– Nie powiedział mi pan jeszcze, skąd pochodzą naciski. Długa, końska twarz redaktora naczelnego jeszcze bardziej zainteresowała się splecionymi palcami.

– Jako obcy w tym mieście, zdziwi się pan może, panie Templar, że niektórzy z naszych najbardziej wpływowych obywateli zachodzą czasem do Niebieskiej Gęsi dla – hmm – odprężenia. W pana historii ta melina jest tylko epizodem. Nikt z odwiedzających, począwszy od komisarza, nie tuszowałby morderstwa, ale z chęcią przyjmie niezbyt Wnikliwe śledztwo w Niebieskiej Gęsi. Dlatego właściciele tego lokalu, którzy też nie chcą, by go wiązano z tajemniczą zbrodnią, mogą zostać życzliwie wysłuchani, jeśli wskażą, że najkorzystniej jest zapomnieć o wszystkim. Nie może pan tego umieścić w swoim następnym artykule, ale na pewno przyda się panu ta wiadomość.

– Może – powiedział Święty. – Dziękuję panu.

Kilka następnych godzin Simon spędził na skrupulatnym sprawdzaniu wszystkich drobnych faktów, co może zdziwić niektórych ludzi sądzących, że rozwiązania podpowiada mu anioł stróż, mający mnóstwo czasu i nieuleczalną słabość do ochrony nieodpowiedzialnych ludzi. Simon składał wizyty w różnych miejscach publicznych i prowadził niewinne rozmówki z wieloma dziwnymi ludźmi, których charakter wywołałyby grozę u Dale’a Carnegia. Ale plon tego wszystkiego był całkowicie zerowy.

Komisarz okazał się mieszkańcem Galveston od urodzenia, który zdobył majątek na siarce i nadal prowadził swoje interesy. W szkielecie jego rodziny nie było zbyt zmurszałych kości. Był rdzennym Teksasńczykiem o solidnym podejściu do interesów i rodziny.

Świadectwo zdrowia szeryfa hrabstwa było czyste. Niewiele wiadano o jego zastępcy, ale nigdy nie wywołał żadnego skandalu. Był członkiem tej samej grupy politycznej co komisarz.

Nie było też żadnych skaz na zbroi szefa policji. Kinglake'a nie bardzo lubiano, prawdopodobnie ze względu na jego charakter, ale miał dobre wyniki. Quantry się nie liczył.

Oznaczało to, że analiza wydawcy Times-Tribune okazała się niepodważalna. Brak było dowodów, że gorliwość w przymykaniu oka na morderstwo to coś więcej, niż lokalne wydanie politycznego oportunisty.

Pozostawała tylko wąta nitka skręcona w znak zapytania, która wskazywała, że ktoś w Niebieskiej Gęsi naoliwił dobrze usłużną machinę polityczną.

Olga Ivanovitch?

Święty wiedział, że jest piękna, uważał ją za inteligentną i podejrzewał, że może być groźna.

Ale na ile inteligentna i groźna? Nie mógł dowiedzieć się o niej niczego więcej.

Jeśli miała jakieś powiązania polityczne, to o nich nie plotkowano. Czuł jednak, że na tym obrazie ma ona swoje miejsce.

Zadzwonił ponownie do hotelu Ascot, lecz pan Baker nie przypominał sobie nic więcej; nie potrafił też podać więcej informacji na temat Blatta czy Blacka.

– Jestem jednak pewien, panie Titwillow, że nie jest stąd. Pracuję tu tak długo, że

znam z widzenia chyba wszystkich ważniej szych ludzi w Galveston.

Blatt, Weinbach, Maris.

Te nazwiska nic nie mówiły ludziom, którym je wymieniał. Znalazł jednak ich imienników w książce telefonicznej i każdego dokładnie sprawdził. Wszyscy okazali się obywatelami tak nieskazitelnymi, że dalsze śledztwo byłoby stratą czasu.

Był to długi i wyczerpujący dzień, a gdy Simon wracał do Alamo House, nad miastem zapadał już zmierzch. Kupił po drodze wieczorną gazetę i butelkę Petera Dawsona.

Times-Tribune zamieścił jego artykuł na pierwszej stronie, bez żadnych skrótów i skreśleń, ale z dodatkiem podającym krótkie wiadomości o Świętym i stwierdzającym, że pan Templar ma swoją teorię, a ona niekoniecznie wyraża poglądy redakcji.

Było też uzasadnienie, bo w krótkim artykule, zamieszczonym obok, podano zwięźle, że rozprawa u koronera potwierdziła samobójstwo.

Simon Templar ścisnął gazetę tak mocno, że niemal przekształciła się w pulpę, z której zrobiono papier i powiedział kilka słów, których nie można przytoczyć nawet przy takiej wolności prasy, jaką my posiadamy.

A więc Kinglake się nie wycofał. Wyszedł zaraz po ich rozmowie i pomógł przepchnąć to fantastyczne orzeczenie. Może zrobił to ze względu na żonę i dzieci, chcąc zapewnić im utrzymanie.

W pokoju w Alamo House Simon poprosił o lód, otworzył butelkę postawił wodę sodową i rozsiadł się wygodnie.

Pozostał mu do przeanalizowania tylko jeden trop. Przypomniał sobie inne słowa umierającego. Słyszał je teraz równie wyraźnie, jak wtedy, gdy z trudem wydobywały się ze zwęglonych ust.

Pudełko ze skóry strusia... z wy ściółką... Weź pudełko... i wyślij... wyślij...

Dokąd ma je wysłać? I dlaczego?

W każdym razie ma je teraz Black czy Blatt, jeden z trzech morderców, który ścigał Matsona, by się na nim zemścić, prawdopodobnie gości w Galveston, być może pochodzi z Chicago.

(pamiętał o zapałkach z Klubu 606). We trójkę wykonali zlecenie i zniknęli.

Nalał sobie następnego drinka, ale nic nie wymyślił.

Potem zadzwonił telefon.

Podchodził do niego z napięciem. Wiedział, że musi się to jakoś łączyć ze sprawą, bo nie miał przyjaciół w Galveston. Gdy zastanawiał się, kto dzwoni, był lekko podniecony.

Miękko naciskający polityk? Wściekły Kinglake? A może pierwszy efekt przynęty?

Poznał ten głos, choć zetknął się z nim niedawno: głęboki, śpiewny głos o interesującym, obcym akcencie.

– Jesteś nie tylko przystojny, ale i utalentowany – powiedziała. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że piszesz?

– Mój związek na to nie pozwala.

– Zobaczymy się jeszcze? Bardzo bym chciała.

Sięgnął po papierosa.

– To mi pochlebia. Ale dopiero co spłaciłem pierwszą ratę za Niebieską Gęś.

– Muszę się tam znaleźć dopiero o dziesiątej. Czy idziesz na kolację?

– Zjem ją z tobą – powiedział postanawiając nagle. – Spotkamy się w holu o ósmej.

Odłożył słuchawkę i zastanawiał się, do której kategorii należała. Wszystko jednak było lepsze od beczynnego czekania.

Umył się, odświeżył, zmienił koszulę i zszedł po schodach tuż przed ósmą. Gdy

oddawał klucz, znalazł kopertę w przegródce.

– Została doręczona przed paroma minutami – powiedział recepcjonista.

Simon otworzył kopertę. List został napisany ołówkiem na tanim papierze w linię.

Nie miał adresu, ale Simon wiedział, jaka jest jego wartość nawet bez wskazówek w tekście.

Szanowny Panie Templar Właśnie przeczytałem pana artykuł w gazecie i mówię panu, że słusznie się rozprawił z tymi tępymi próżniakami. Mogę panu powiedzieć dużo więcej o tej sprawie i powiem, jeśli będziemy rozmawiać sami. Ma pan całkowitą rację, a ja to udowodnię, ale będę gadać tylko z panem. Z tym, co powiem, może pan zrobić co zechce, ale nic nie pisnę tym tępym glinom.

Z szacunkiem, Nick Vaschetti Simon podniósł wzrok, bo ktoś zdyszany wpadł na niego.

– Dostałeś liścik miłosny? – spytał detektyw Yard. – A może to poczta od fanów?

Simon wsadził list do kieszeni.

Twarz detektywa nabrzmiała, jakby się dusił.

– Posłuchaj – zaczął. – Któregoś dnia...

– Zapomnij o rozkazach i bądź dla mnie niemiły – powiedział Święty. – Dlatego na razie będę miły dla ciebie. Za kilka minut wyjdę na kolację. Znajdę restaurację, do której cię wpuszczą. A jeśli będę wychodził, nim ty skończysz jeść, zawołaj tylko, a zaczekam.

Simon uznał później, że z jego strony było to karygodne zaniedbanie. Gdy zajął się zdenerwowanym detektywem Yardem, nie zauważył szczupłego blondyna i grubego rudzielca, którzy siedzieli w głębi holu. Miał jednak usprawiedliwienie. Słyszał już ich nazwiska i znał ogólnie ich rysopisy, ale nigdy przedtem nie widział Johana Blatta i Fritzie Weinbacha.

VI

Wrócił do pokoju i zadzwonił do redakcji Times-Tribune.

– Czy mógłby mi pan załatwić prywatną rozmówkę z więźniem w Miejskim

Czyścucu?

– To możliwe – odpowiedział ostrożnie wydawca – jeśli nikt się nie dowie, że chodzi o pana. Ale dlaczego? – Trafił pan na coś?

– Mam nadzieję – odparł Święty. – Facet nazywa się Nick Vaschetti.

– Przeliterował nazwisko. – Twierdzi, że będzie rozmawiał tylko ze mną, a w czyścucu jeszcze mnie nie znają. Niech pan sprawdzi, co da się zrobić, zadzwonię za godzinę.

Usiadł na łóżku i zastanawiał się minutę, a może dwie, a potem znów chwycił za słuchawkę i poprosił o połączenie z Waszyngtonem. Nie musiał czekać, bo choć telefonistka o tym nie wiedziała, to podany przez niego numer miał automatyczny priorytet przy dalekich połączeniach.

– Hamilton – rozległo się w słuchawce. – Słyszałem, że jesteś teraz dziennikarzem.

– W samoobronie – powiedział Święty. – Jeśli to ci się nie podoba, mogę się zwijać.

Nigdy nie prosiłem o to zadanie.

– Mam tylko nadzieję, że dostaniesz dobre honorarium na wydatki.

Święty uśmiechnął się.

– Przeciwnie, pewnie dostaniesz rachunek od mojego związku... Posłuchaj, Ham, podrzucę ci coś. Ci trzej faceci...

– Blatt, Weinbach i Maris?

– Twoje gołębie pocztowe latają szybko.

– Muszą. Wiesz coś o nich jeszcze? Simon podał dwa ogólne rysopisy.

– Niewykluczone – dodał – że przybyli z Chicago. Ale to tylko domysł. Sprawdź go.

– Nigdy nie masz skromnych żądań, prawda?

– Nie chcę, byś czuł się niepotrzebny.

– Nie zanedbujesz oczywiście pięknej, mdlejącej syreny.

– Tym razem to blondynka.

– Musisz lubić zmiany – westchnął Hamilton. – Ile ci to może zająć czasu?

– To zależy od tego, co wygrzebiez o trzech muszkieterach i od dzisiejszego wieczoru – powiedział Święty. – Może niedużo. Nie kładź się dzisiaj zbyt wcześnie.

Śmiał się w duchu z wielkiej swej zuchwałości, która aż zapierała oddech. Jak już jednak zanotowano w tych kronikach, wiele najgorszych punktów kulminacyjnych Świętego znalazło wtedy rozwiązanie, gdy w jego żyłach krążyły te niemal prorocze prądy fanfaronady...

Gdy znów zszedł na dół, Olga Ivanovitch już na niego czekała. – Przepraszam – powiedział – musiałem odpowiedzieć na list.

– Niczewo – odparła niskim, ciepłym głosem. – Sama się spóźniłam, zresztą mamy mnóstwo czasu.

Gdy ją ujrzał, upewnił się za późno, że miał złe przeczucia, dotyczące tego spotkania.

Światła w holu Alamo House różniły się od niebieskiego półmroku Niebieskiej Gęsi. Tu mogła wyglądać na zmęczoną czy zniszczoną, albo była nieodpowiednio ubrana, lub z taną parodią wdzięku umalowana. Obawy te okazały się płonne. Miała tak jasną i świeżą cerę, że wydawała się jeszcze młodsza niż poprzednio. Miała długą suknię, której dekolt był skromnie spięty;

na wszystko zarzuciła lekki płaszcz z wielbłądziej sierści, w którym wyglądała

odrobinę wyzywająco. Taką kobietę każdy dorosły mężczyzna chętnie zabierze wszędzie.

– Mam samochód – powiedział. – Wezmę go, jeśli pokażesz drogę.

– Jeśli dasz poprowadzić, obiecuję ci dobrą kolację.

Dał jej prowadzić, a sam siedział obok czujnie odprężony. Mogła to być najprostsza pułapka, lecz jeśli nawet, to oczekiwał jej i był przygotowany na wszystko. Przed wyjściem z pokoju sprawdził broń, którą trzymał pod pachą i wąski, obustronny nóż w pochwie przymocowanej do łydki, równie groźny jak pistolet, a trudniejszy do odnalezienia. Schowany w skarpetce ledwo się uwypukłał, lecz dawał się łatwo wyjąć w pozycji siedzącej czy pólężącej, podczas niewinnego ruchu podciągania mankietu i drapania się po nodze.

Simon Templar poczuł nawet lekki zawód, gdy dojechali bez przygód.

Zaprowadziła go do mrocznego baru nad zatoką o łozach z gołego drewna, stolikach z marmurowymi blatami i z podłogą pokrytą trocinami.

– Jadłeś zapewne bouillabaisse w Marsylii lub w Nowym Orleanie. Teraz spróbujesz go tutaj i nie będziesz rozczarowany – powiedziała.

Wewnątrz było ponuro i jasno, tłoczno od trzeźwych, nieszkodliwych ludzi. Simon stwierdził, że w czasie kolacji jest tak bezpieczny jak nigdy w życiu.

– Czemu do mnie zadzwoniłaś? – zapytał bez ogródek. Zawsze uważał, że otwartość jest najtrudniejsza do rozszyfrowania.

– A dlaczego nie? – odrzuciła piłeczkę. – Chciałam się z tobą zobaczyć. Okazałeś się tak niezwykłym komiwojażerem.

– W dzisiejszych czasach niewiele można sprzedać, chyba, że ma się coś na boku.

– Pisziesz bardzo sprawnie. Mnie się podobało. Ale zadając pytania nie byłeś ze mną szczery.

– Powiedziałem ci wszystko, co mogłem.

– A ja wszystko, co wiedziałam. Czemu sądzisz, że byłam – jak to się mówi –

wstrzemięźliwa wobec ciebie?

– Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem, towarzyszeko. Choć uważałaś mnie za komiwojażera.

– Nie pytałeś o Blatta, Weinbacha i Marisa.

– Tylko o Blatta.

Musiał to powiedzieć, ale czuł się przy niej winny. Jej szczerłość była nadal tak przekonywująca, że z przesłuchującego stał się podejrzanym. Wczoraj w bardzo bogatym repertuarze wypróbował każdą sztuczkę i podstęp, ale nawet rysa nie pojawiła się na powierzchni. Wiedział dokładnie, dlaczego nawet porucznik Kinglake bez żadnych politycznych nacisków musiał jej nie ruszać. W sądzie sprawiłaby, że każdy prokurator czułby się oskarżonym.

Był to najtwardszy, bez najmniejszej skazy mur, z jakim spotkał się Simon Templar.

– Mogłeś zapytać mnie o innych – powiedziała. – Gdybym mogła ci coś powiedzieć, na pewno bym to zrobiła. Chciałabym ci pomóc.

– Co możesz mi powiedzieć?

– Nic.

Przynajmniej nie kłamała mu na temat bouillabaisse. Pocieszał się nim bez skrępowania.

Po pół godziny spróbował ponownie skierować rozmowę z rozkosznych lotów nicości, którymi władała po mistrzowsku, na bardziej przyziemne tematy.

– Oprócz pięknego profilu i wielkich zdolności literackich – powiedział – chciałbym wiedzieć, co jeszcze skłoniło cię do spotkania ze mną.

– Chciałam, byś postawił mi kolację – odparła poważnie. – Ponadto bardzo cię lubię.

Pamiętał, jak pocałowała go przy rozstaniu i pomyślał, że gdyby do czegoś doszło, to prawdopodobnie trafiłby na coś równie wyrafinowanego jak jej prostota.

– A czy przypadkiem nie dlatego, bo chciałaś się przekonać, czy nie wiem czegoś więcej?

– Czemu miałabym chcieć? Nie jestem detektywem. Czy zadaję ci pytania? – Była całkowicie otwarta i bezbronna. – Lubię cię i to jedyna moja wina. Jeśli zechcesz mi coś powiedzieć, wysłucham. Widzisz, mój drogi, mam tę rosyjską mentalność, może głupią czy przestarzałą, ale kobieta powinna być niewolnicą mężczyzny, jeśli go podziwia, Fascynujesz mnie, muszę więc interesować się tym, co robisz. To wszystko.

Święty uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

– No to kochanie, pozwól, że gdzieś zadzwonię, jeśli wypuścisz mnie na minutkę.

Podszedł do automatu na zapleczu restauracji i zadzwonił znów do Times-Tribune.

– Wszystko załatwione – powiedział wydawca bezbarwnie. – W każdej chwili, kiedy pan zechce.

– Właśnie kończę kolację – powiedział Święty ze smutkiem. – Jeśli nic mnie nie zatrzyma, będę u pana za trzydzieści minut.

Wrócił do stolika i zobaczył, że Olga spokojnie pudruje doskonały nos.

– Niechętnie to przerywam – powiedział – ale muszę z kimś porozmawiać. Bez spóźnienia dostarczę cię do Niebieskiej Gęsi, gdzie zdążysz złapać następną porcję komiwojażerów.

– Jak wolisz – odparła. – Nie muszę być punktualnie, rób więc co chcesz.

Nawet zniewaga nie była w stanie nią wstrząsnąć.

Teraz jednak sam prowadził Forda, wiedząc, że o tej porze częstsze są zasadzki niż przed kolacją. Ale nadal nic się nie działo i było to tak samo subtelnie naganne, jak brak

reakcji na wszystkie jego prowokacje.

Czuwające zmysły pozwoliły mu dojechać bez błędzenia do redakcji Times-Tribune.

Przybył tam, nie czując nic gorszego niż lekkie zeszywnienie mięśni, które trzymał zbyt długo w niewygodnej gotowości. Ale potem musiał zmylić detektywa Yarda i znaleźć sposób, w jaki ukryje się przed nim, a jednocześnie staną się widoczne wszystkie jego ruchy od wyjścia z Alamo House.

– Muszę się poskarżyć wydawcy na wielkość nagłówka – powiedział. – To zasada związkowa. Nie pogniewasz się, gdy trochę poczekasz?

– Oczywiście, że nie – odparła z subtelnie demoralizującą uległością.

– Czekanie to stara rosyjska rozrywka.

Simon szedł na piętro naczelnego znowu przedzierając się przez ludzkie zapory, które onieśmiał pewnością kroku i siłą woli.

Gdy naczelnny redaktor zobaczył go, zdjął nogi z biurka i nałożył wyblakłą, bezkształtną panamę na czubek gruszkowatej głowy.

– Muszę pójść z panem – wyjaśnił. – Nie dlatego, bym coś podejrzewał, ale tylko w ten sposób mogłem sprawę załatwić. Ja będę rozmawiał najpierw, a pan przejmie pałeczkę, gdy dostaniemy się do tego faceta.

– Za co siedzi?

– Płacił czekiem bez pokrycia w hotelu. Mam nadzieję, że domyśla się pan, za jakie sznurki musiałem pociągać, by to załatwić.

Simon podał mu list dostarczony do Alamo House. Redaktor przeczytał go, gdy czekali na windę.

– Przeszmuglowany, co... Cóż, może coś z tego będzie.

– Czy jest tylne wyjście z tego budynku?

– Znałem jedno, gdy byłem tu chłopakiem do przepisywania. Nie zauważyłem, by od tego czasu coś się w budynku zmieniło. – Naczelnny skierował bystrą i sfinksową twarz ku Simonowi, lecz tylko błysk w oczkach pozwalał ją rozszyfrować. – Czy spodziewamy się czegoś?

– I tak i nie – odparł zwięźle Święty. – Zostawiłem Olgę w samochodzie, jako przykrywkę. Liczę, że nabierze się sama, albo nabierze kogoś innego.

Wiedział, że rzadko był tak bezbronny, lecz nigdy nie przeczuwał, jak dojrzała była skaza jego ostrożności. Był jednak pewny, że pensjonariusz Miejskiego Czyścica nie może zapoczątkować żadnej z potencjalnych pułapek. Na szczęście nie zaniedbał oczywistych zabezpieczeń; zostawił Olgę Ivanovitch przed gmachem gazety i wymknął się tylnym wyjściem...

Sucha, bulwiasta postać człowieka z Times-Tribune była jak klucz, który pozwalał otwierać żelazne drzwi, działał na zmęczonych urzędników i wymuszał posłuszeństwo ponurych strażników. Doszli w końcu do małego, pustego i nieprzyjemnego pokoju z kratami w oknach.

Czekali tam krótko w milczeniu, potem drzwi otworzyły się ponownie, aby wpuścić Vaschettiego i klawisza.

Następnie drzwi zamknęły się znowu, zostawiając strażnika na zewnątrz. Skaczące oczy Vaschettiego spoczęły na chwilę na ospałym lektorze, który wycofał się w cień i wylądowały na Świętym.

– To pan jest Templar – oznajmił. – Mówiłem przecież, że ma to być na osobności.

– To pan Beetlespats z Times-Tribune – stwierdził stanowczo wety. – To on opublikował artykuł, który pan przeczytał i on zorganizował spotkanie. Możemy jednak udawać, że nie ma go tutaj. Proszę mi powiedzieć, co miał pan na myśli.

Oczy Veschettiego omiotły pokój jak małe ciemne żuki, które badają kunszt świecznika.

– Mogę potwierdzić – zaczął – że ma pan świętą rację, jeśli chodzi o Matsona.

Długi czas byłem kurierem Bundu. Dostarczyłem list Matsonowi w St. Louis, ale także przynosiłem listy pańskiemu Blattowi i innym ludziom w Galveston.

VII

Był dość niski, szczupły i żylasty; miał gęste brwi i zapadłe policzki. Włosy jego domagały się uczesania a podbródek ogolenia. Ubranie nie było ani dobre ani złe, lecz miętoszone i poplamione, jakby w nim spał, co zresztą chyba czynił.

Święty poczęstował go papierosem i powiedział:

– Nie sądzę, by mieli tu podsłuch, może więc pan mówić. Co pana skłoniło, żeby napisać do mnie?

– Nie lubię glin. Wiele razy robił ich pan na szaro i chętnie zobaczę, jeśli tak będzie znowu.

Zwłaszcza z tymi skurczybykami, którzy wsadzili mnie tutaj.

– Sfałszował pan czek, prawda? – wtrącił Simon.

– Tak, ale tylko dlatego, że musiałem. Blatt nie przychodził z forszą i byłem goły. Nie skarzę się jednak. Bywałem już w pudle. Siedziałem za różne rzeczy, ale nie chcę być uwikłany w coś takiego. – Vaschetti zaciągał się nerwowo papierosem, przemierzając pokój urywanymi, szybkimi krokami. – Nie w morderstwo. Nie chcę usiąść na gorącym krześle ani zadyndać na sznurze, czy jakoś inaczej zginąć w tym stanie.

Simon zapalił też papierosa i przysiadł na parapecie.

– Dlaczego miałby się pan tego obawiać? A może jest pan jednym z trójki świetlików?

– Nie, proszę pana, ale Kinglake może w każdej chwili wysledzić, że widziałem się z Blattem i pytałem o niego w Niebieskiej Gęsi, wtedy jaką będę miał szansę? Nie chcę też, by Blatt mnie zastrzelił, a zrobiłby to, gdyby pomyślał, że wskazałem go palcem.

Wolę zacząć gadać, bo jeśli się dowiedzą, że za późno na zamknięcie mi gęby, przestaną się mną zajmować.

– Rozumiem pana – powiedział Święty po namyśle. – Może usiądzie pan i opowie o życiu kuriera.

Vaschetti próbował bezskutecznie się zaśmiać, potem oblizał nerwowo wargi i usiadł na skrzypiącym krześle.

– Spotkałem Fritza Ruhna, gdy siedziałem w Dannemora. Skumplowaliśmy się jakoś i powiedział, że jeśli chcę zarobić po wyjściu, mam się do niego zgłosić. Zrobiłem to. Zacząłem przewozić przesyłki z miejsca na miejsce.

– Na czym to polegało?

– Miałem na przykład dostarczyć paczkę panu Smithowi w hotelu Station w Baltimore.

Jechałem tam i pytałem o niego. Mógł gdzieś wyjechać, wtedy czekałem, aż znów się pokaże.

Czasem trwało to i tydzień. Potem wręczałem paczkę Smithowi, – on płacił mi dolę i pokrywał rachunek. Mógł też dać inną paczkę dla pana Robinsona w Macfarland's Grill w Miami. Gdy nic nie było, wracałem do New Jersey i zaczynałem od początku.

– Czy owi Smithowie i Robinsonowie mieli coś wspólnego z melinami, w których pan ich spotykał?

– Przeważnie nie. Pytałem po prostu barmana, czy zna pana Smitha, a ten mi go wskazywał.

A czasem tkwiłem tam, a pan Robinson wchodził, mówił, że nazywa się Robinson i pytał, czy ktoś go szukał.

– Ile pan z tego miał?

– Siedemdziesiąt pięć na tydzień i pokrycie wszystkich wydatków.

– Płacili panu Smithowi i Robinsonowie.

– No.

– Wiedział pan, że musi w tym być coś nielegalnego. Vaschetti znów oblizwał wargi i przytaknął.

– Jasne, jasne. Musiały to być rzeczy, jakich nie mogli posyłać pocztą, albo woleli nie ryzykować, że otworzą to niewłaściwi ludzie.

– Wiedział pan, że chodziło o coś więcej. Wiedział, że pracuje dla Bundu, a więc przypuszczalnie szkodzi krajowi.

– Co u diabła? Jestem Włochem, mam braci w Italii. Nigdy nie lubiłem tych cholernych Anglików. Wszystko działo się od dawna, zanim doszła tu wojna. No więc co z tego?

– Nie przerwał pan tego po Pearl Harbour.

Vaschetti zaciął się, a jego oczy znów myszkowały po pokoju.

– No, nie przerwałem. Już w tym tkwiłem, a to nic by nie zmieniło. Tak myślałem na początku. Uważałem, że wpakował nas w to Roosevelt z Żydami. A jeszcze się bałem tego, co mogliby mi zrobić ludzie Osi, gdybym próbował przestać. Stałem się jednak bardziej ciekawy.

– No i...

– No i zacząłem otwierać przesyłki. Raz zabrałem jedną do Schenectady.

Potrzymałem nad parą i znalazłem w środku cztery mniejsze koperty zaadresowane do ludzi w Schenectady, ale były na nich pieczęcie woskowe ze swastykami i przestraszyłem się, że poznają, gdy je otworzę.

Dlatego wsadziłem je z powrotem do dużej koperty i dostarczyłem do adresata.

Czasem miałem do przekazania wielką paczkę, ale nie ośmieliłem się przy niej majstrować.

Musiałem jeść, nie chciałem też wpaść w tarapaty... Potem jednak bardziej przestraszyłem się FBI i tego co będzie, gdy mnie złapią. Teraz jeszcze to morderstwo. Wpadłem po uszy. Całe życie byłem cwaniakiem, ale nie chcę mieć nic wspólnego ze zbrodnią, ani trafić na krzesło.

Szafirowe oczy Simona obserwowały go beznamiętnie poprzez wznoszącą się powoli zasłonę dymu. Na pewno nie kłamał, nie musiał zastanawiać się nad psychologią signora Vaschettiego.

Stanowił pomniejszoną kopię signora Mussoliniego. To tylko drobna kanalia, która wspięła się na wózek z zyskami, a teraz, gdy grozi mu wykolejenie, stara się wysiąść. Nie miał żadnych wątpliwości, że mówi prawdę. Zbyt troszczył się o własną skórę, by coś zmyślać.

– Niezła historyjka – powiedział Święty z przekąsem – ale gdzie tu miejsce na Matsona?

– Jak napisał pan w gazecie, wzdał pieniądze za sabotaż. Nie wykonał zadania, ale zatrzymał pieniądze i zwiął. Mając tylko tyle, do niczego pan nie dojdzie. Dlatego z panem rozmawiam. Wyśledzili i go i dali nauczkę.

– Tak to sobie wyobrażam – powiedział Simon z nieuchwytną drwiną. Oprócz potwierdzenia, co pan jeszcze wie?

– Mówię panu, dostarczyłem jeden z tych listów Matsonowi w St. Louis. To dowodzi, że płacili mu Niemcy, że miał pan rację, ta Kinglake jest wołową...

– Ale to było w St. Louis. Skąd się pan wziął w Galveston?

Vaschetti wypalił papierosa do końca, rzucił niedopałek na podłogę i przydeptał.

– Ze względu na Blatta. Przyjechałem tu z El Paso dwa tygodnie temu. Miałem dostarczyć Blattowi paczkę w Niebieskiej Gęsi. Nie wiedziałem, że jest tu Matson. Nic

o nim nie wiedziałem, oprócz tego co sam powiedział, że pracuje dla Quenco. Blatt zapłacił mi tylko za przesyłkę i kazał czekać na jakieś listy, które miał wysłać. W hotelu uzbierał mi się niezły rachunek, a Blatt ciągle się nie pojawiał. Nie mogłem go też inaczej złapać.

Dlatego wypisałem lewy czek.

– Czy spotkał pan kogoś jeszcze z moich przyjaciół?

– Tak, Weinbacha. To gruby Szkop o czerwonej twarzy i jasnych włosach oraz najbardziej bladych oczach, jakie zobaczy pan w życiu.

Simon porównał ten obrazek z portretem obcego, którego opisał Port Arthur Jones, gdy pytał o niego w Alamo House. Pasowały bardzo dobrze. A więc to Weinbach.

Pozostawał Maris, którego nikt nie widział.

Święty przyjrzał się skurczonemu przedstawicielowi Cesarstwa Rzymskiego, – Może pan opowiedzieć to Kinglake’owi – powiedział.

– No. I okażę się współnikiem morderstwa, jeśli tylko ten smętas nie spróbuje jeszcze zrobić ze mnie potrójnego zabójcy. Nie, proszę pana. Zostawiam to panu. Niech się stąd wyrwę, a spiszę wszystko i podpiszę. Nie chcę, by któryś z durnych gliniarzy awansował za nic.

Niech pan im pokaże. Wtedy mi ulży.

Simon przez chwilę myślał bardzo intensywnie.

– Skoro spotkał pan Matsona w St. Louis dość dawno temu – powiedział – to jak pan wszystko skojarzył?

– Pamiętałem – łypnął chytrze oczami. – Mam też notatki. Nie odważyłem się dobierać do wewnętrznych kopert, ale spisywałem nazwiska i miejsca, które odwiedzałem w różnych miastach. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś się przyda. Może pan

mieć tę listę, jeśli się pan o mnie zatroszczy i nie dbam, co potem pan z nią zrobi. Żaden z tych łobuzów nie próbował mi pomóc, gdy trafiłem do pudła, a więc do diabła z nimi. Święty ledwo okazał zainteresowanie, ale w głębi duszy czuł, iż prawdziwy cel jego przybycia do Galveston jest tak blisko, że aż zapierało mu dech.

– Muszę pana uprzedzić, kolego – powiedział ostrożnie – że jeśli dostarczy mi pan jakieś wartościowe informacje, przekażę je prosto do FBI.

Twarz Vaschettiego zbladła w wolnych miejscach między brwiami a szczecina na policzkach, ale mimo to wyglądał, jakby zrobiło się inni lżej.

– Co pan z tym zrobi, to pana sprawa – powiedział. – Chcę tylko parę setek i zagwarantowaną szansę wyjazdu z tego miasta, a dostanie pan wszystko.

Święty spojrział na naczelnego Times-Tribune, który prawie leżał w starym fotelu z niekształtnym kapeluszem nasuniętym na oczy. Można by sądzić, że drzemie, gdyby nie było widać oczu pod poplamionym, słomkowym rondem. Na chwilę spoczęły one na Świętym, lecz poza nimi wszystko znajdowało się w bezruchu. Święty wiedział, że zgodnie z umową wszystko zależy od niego.

– Jaki hotel pan naciągnął? – spytał.

– Campeche.

– Ile?

– Pięćdziesiąt dolców. I mój rachunek.

– Zajmę się tym. Za kilka godzin chyba pana wyciągnę. Spotkamy się w Campeche.

Tam otrzyma pan dwieście dolców za zeznanie i spis nazwisk. Potem będzie pan miał dwie godziny na wyjazd, zanim nie ogłoszę wszystkiego. Odtąd będzie pan musiał radzić sobie sam.

– Ubił pan interes. Gdy tylko dostanę forszę, spróbuję się stąd wyrwać, albo przyjmę,

co mnie spotka. Chcę się tylko z tego wywinąć.

Widać było ulgę, która z patosem oczyściła duszę Vaschettiego, a może tylko ślełą wiareę we własne umiejętności unikania sieci FBI. Święty nie miał serca, żeby go wyprowadzić z tego błędu. Oderwał się od okna i otworzył drzwi. Zawołał klawisza. Naczelny redaktor wcisnął na głowę starą panamę i próbował dotrzymać mu kroku.

– Domyślam się – powiedział – że chce pan, bym zajął się wszystkim i skłonił Campeche do wycofania skargi.

– Sądzę, że jest pan w stanie to zrobić. Nie odzywał się pan, a więc zgodził się pan na to.

– Mogę dać mu adwokata. Wyciągnie go za kilka godzin, jak pan powiedział. Proszę jednak nie pytać, co stanie się ze mną za współudział w ukrywaniu dowodów.

– Opiszemy wszystko – powiedział Święty – i damy dowody Kinglake'owi gdy tylko ruszą maszyny. Dostanie gotowy materiał, a my będziemy mieli sensację. Czy to nie uczciwy układ?

Twarz naczelnego pozostała skwaszona i smętna, ale oczy mu rozblęły.

– Proszę zadzwonić do mnie do Alamo House, gdy tylko pana człowiek wydobędzie Vaschettiego – powiedział mu Simon. – Muszę zabrać Olę do jej kieratu, jeśli jeszcze nie uciekła.

Ale Olga Ivanovitch siedziała nadal w samochodzie Świętego, dokładnie tak, jak ją zostawił, z rękoma złożonymi na podołku. Słuchała jakieś pretensjonalnej audycji komediowej nadawanej przez radio.

Była w stanie zwieść jeszcze raz, bo wyglądała tak naiwnie. Bezsprzecznie nic ją nie trapiło, co mogłoby napinać brzegi udawanego opanowania.

– Przepraszam, że tyle to trwało – powiedział szorstko i ku swemu zdumieniu

usłyszał tę szorstkość we własnym głosie. – Ale ostatnio zaczęli uczyć redaktorów słów dwusylabowych i teraz mówią dwa razy wolniej.

– Nie nudziłam się – powiedziała, na swój słowiański i niewolniczy sposób.

Ciągle śmiała się z niego i przy nim, bawił się pogodą, z jaką bez skarg przyjmowała wszystko.

– Opowiedz, jak rozmawiałeś z redaktorami. Opowiedział jej coś niedorzecznego, prowadząc samochód do Niebieskiej Gęsi, a ona siedziała blisko i śmiała się wesoło. Z wielkim zakłopotaniem reagował na podatną jędrność jej ciała, pochylonego niewinnie w jego stronę i na urok twarzy okolonej splecionymi, żółtymi włosami. Musiał ciągle powtarzać, że nie jest taka młoda. Stał pod Niebieską Gęsią i otworzył jej drzwi, nie ruszając się z miejsca.

– Nie wstąpisz? – spytała.

Nie patrząc na nią, zapalił papierosa.

– Spróbuję wpaść przed zamknięciem – powiedział – i wypić szklaneczkę przed snem.

Wpierw jednak muszę coś zrobić. Pracuję! Zapomniałaś o tym?

Drgnęła po chwili milczenia i bezruchu, a potem odsunęła mu dłoń od ust ze świeżo zapalonym papierosem i zbliżyła swe wargi. Było jak poprzedniego wieczoru, tylko że bardziej czule. Otoczyła tak ramionami jego szyję, że widział przed sobą jej twarz jak plamę o barwie kości słoniowej. Przypomniawszy sobie jak poprzednio zdziwił się jej ciepłym zapachem, a teraz poczuł go znowu. Miał tylko ułamek sekundy na myślenie, a potem zatracił się w pocałunku, podczas którego nie mógł sięgnąć ani po pistolet, ani po nóż. Wyteżał uszy na odległe grzmoty, które następują zawsze w takich przypadkach. Nic się jednak nie stało, był tylko pocałunek, i jej niski głos, który mówił słodko jak

zawsze:

– Uważaj na siebie, towarzyszc. Uważaj.

– Będę uważał – powiedział i ruszył. Odjechał spory kawałek nim dotarło do niego, że spośród niegodziwych tylko z nią dotąd rozmawiał i że nie przypomniaby mu o ostrożności, gdyby nie wiedziała skądś, że coś mu grozi.

Wrócił ostrożnie do Alamo House, wziął klucz z recepcji, sprawdził, czy detektyw Yard znalazł wygodne krzesło i poszedł do swego pokoju, by odświeżyć się chłodnym alkoholem.

Miał głównie na myśli czcigodnego Petera Dawsona, niestrudzonego warzyciela szkockiej zupki, który, jak pamiętał, powinien być reprezentowany przez napoczętą butelkę jednego ze swych najlepszych wywarów. Simon Templar nie spodziewał się zupełnie, że dodatkową atrakcją będzie ciało pana Port Arthura Jonesa, skępowanego, zakneblowanego taśmą przylepną i przywiązanego do łóżka cumami ze sznurów rolety. Przewracając wielkimi oczami, wyglądał zupełnie jak nowy rodzaj etiopskiej mumii i chyba był nią w pełni.

VIII

Simon odwiązał go i oderwał taśmę. Goniec przynajmniej żył, a nawet nie ucierpiał wiele, sądząc po potopie słów, jaki wypłynął mu z ust po ich oswobodzeniu.

– Dwóch ich było, panie Templar. Jeden to grubas z rudymi włosami, o którym panu mówiłem. Wyszedłem na kolację, a kiedy wróciłem, był w holu z wysokim i chudym facetem. To mógł być ten dżentelmen, o którego pan pytał. Miałem właśnie zadzwonić do pana, by mógł pan zejść i rzucić na nich okiem, ale recepcjonista powiedział, że pan właśnie wyszedł. Potem ci dwaj weszli do windy, a ja poczułem, że coś śmierdzi.

Wiedziałem, że tu nie mieszkają, a skoro pan wyszedł, nie wyglądało to dobrze. No to wbiegłem schodami i zobaczyłem, że właśnie otwierają pana drzwi. Wtedy zapytałem ich, co robią. Próbowali mi wmówić, że są pana przyjaciółmi. Nie są panowie przyjaciółmi pana Templara, powiedziałem, bo pan Templar kazał mi na panów uważać.

Wtedy grubas wyciągnął pistolet, zawlekli mnie tutaj i związali, a potem zaczęli przeszukiwać pokój. Chyba nie znaleźli tego, czego szukali, bo wyszli strasznie wściekli. Porozrzucali pana rzeczy.

Ostatnie stwierdzenie było trochę za delikatne. Oprócz porozrzucanych mebli, które wyglądały jak po przejściu cyklonu, na podłodze leżała cała zawartość waliz Świętego. Wszystko było przemieszane, a nawet porozbierane na części.

– Nie przejmuj się, Po't Arthur – powiedział wesoło Simon. – Wiem, że nie znaleźli tego, co chcieli, bo nie zostawiłem niczego, co mogłoby się im przydać. Chyba, że któryś połakomił się na elektryczną golarkę, ale na to nie wygląda. Pomóż mi zająć się tym pobojowiskiem.

Simon zaczął pakować walizki, a Port Arthur Jones zabrał się do układania dywanu i ustawiania mebli.

Cała ta akcja zdumiała Świętego, bo nie miał żadnych cennych rzeczy czy papierów, a gdyby miał, to wychodząc, na pewno nie zostawiłby tego w pokoju. Plądrowanie musiało mieć coś wspólnego z zamordowaniem Matsona, ale niegodziwcy nie przybyli tu chyba tylko z nadzieją, że natrafią na jakieś przypadkowe informacje. Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem było to, iż podejrzewali, że Matson dał mu coś, lub powiedział przed śmiercią, gdzie to znaleźć. Ale Matson wspomniął tylko o walizie ze strusiej skóry z wyściółką. Zajęli się głównie torbami, ale dlaczego nie zaglądali za wyściółkę? A może zabrali coś w płonnej nadziei, że natrafili na to, czego szukali?

– To zdarzyło się tuż po moim wyjściu? – spytał.

– Tak, psze pana. Recepcjonista powiedział, że wyszedł pan najwyżej przed paru minutami.

Powiedział, że był pan z panią.

– A co z detektywem Yardem?

– Nie widziałem go, psze pana. Pewnie wyszedł z panem.

Było to bardzo sprytne pociągnięcie. Jeśli niegodziwi wiedzieli, lub przypuszczali, że policja śledzi Simona Templara, to mogli również założyć, że policja wyjdzie, gdy zrobi to i Simon Templar. Teren musiał więc być stosunkowo czysty, skoro wyszedł.

Strzegł się nieproszonych cieni, gdy wydawało mu się, że mogą za nim podążać.

Nie dbał zbytnio o tych, którzy zostawali w tyle, bo nie sądził, że warto tam zostawać.

Byli tu jednak. Trzech mężczyzn bez twarzy. Blatt, Weinbach i Maris. Znał rysopisy dwóch.

O Marisie nikt nic nie słyszał i nikt go nie widział.

Olga Ivanovitch musiała znać co najmniej jednego z nich. Czy lepiej, co najmniej

jeden z nich musiał ją znać. Musieli siedzieć i widzieć się nawzajem w holu, gdy czekała na niego. Tak czy inaczej, Święty już nie przeszkadzał. Któryś z nich wiedział o tym i patrzył, jak odchodzi. Mogła to być Olga.

Usta Simona stężyły natychmiast, gdy skończył składać ostatnią koszulę i położył ją na inne.

Obejrzał się i zobaczył, jak Port Arthur Jones skrupulatnie ustawia krzesło na śladach, które powstały wcześniej na dywanie. Pokój wyglądał schludnie, jakby nic się nigdy nie zdarzyło.

– Dzięki, stary – powiedział Święty. – Nie zapomnieliśmy o niczym?

Murzyn podrapał się po krótko przystrzyżonej głowie.

– Nie wiem, psze pana. Alamo House to bardzo nobliwy hotel.

– Czy nie będziesz miał kłopotów z powodu tak długiej nieobecności?

– Nie, psze pana. Nie sędzę. Idę na kolację, a potem wracam i zostaję tak długo, aż zarobię dobry napiwek. Nie wychodzę o określonej godzinie. Ale gdy ktoś się włamuje, mierzy z pistoletu i wiąże, powinna się o tym dowiedzieć dyrekcja hotelu albo policja, albo ktoś tam inny.

Był naprawdę zmieszany i zmartwiony. Simon wyciągnął z kieszeni dziesięć dolarów i trzymał je tak, żeby było widać wyraźnie sumę.

– Słuchaj – powiedział jak mężczyzna do mężczyzny – nie chcę mieć żadnych kłopotów w hotelu. Nie potrzebuję też pomocy glin. Sam się zajmę tymi gośćmi, gdy tylko ich znajdę. Może przyjmujemy, że nic się tu nie stało, a ty wcześniej udałeś się do domu, zauważając przedtem tylko dwóch facetów, o których pytałem i wskazałeś ich mnie. Zapłacę ci za to.

Skrupuły Port Arthura Jonesa były przypuszczalnie nie mniej szczerze i głębokie niż

Morgenthau'a, ale miał przed oczami migającą dychę i nie potrafił się oprzeć pokusie, jaka się z nią wiązała. Widać było tylko kości, pod którymi toczyły się majestatycznie ciemne ścieżki jego myśli.

– Tak, psze pana – powiedział gorliwie. – Nie chcę sprawiać kłopotów. Zapomnę o wszystkim, skoro pan tak chce.

Simon spojrział, jak schował zielone pocieszenie, a potem zamknął za nim drzwi.

Później nalał sobie szklaneczkę tego, po co tu przyszedł. Był rad, że jego goście nie szukali czegoś, co można rozpuścić w alkoholu.

Właśnie zaznajamiał się z drinkiem, gdy zadzwonił telefon.

– Zająłem się pana przyjacielem – powiedział Times-Tribune. – Powinien za chwilę być w Campeche. Pilnuje go jeden z chłopców.

– Dobrze – powiedział Święty. – Zjawię się tam zaraz.

– Zdołałem załatwić wszystko z hotelem i złapać sędziego – ciągnął ponuro głos.

– O tak późnej porze nie było to łatwe.

– Moje gratulacje – powiedział Święty. – Musi pan być persona bardzo grata.

Nastąpiła krótka przerwa, a redaktor jakby szukał nowego tematu.

– Podobało mi się, jak pan rozmawiał z tym Vaschettim – wygrzebał go wreszcie – i myślę, że powinienem tak samo rozmawiać z panem. Zachowam wszystko dla siebie, póki nie przyniesie pan swojej opowieści, ale muszę tu żyć. Dlatego przekażę ją policji i FBI natychmiast po przyniesieniu.

– Osobiście pochwalę pana za obywatelską postawę – powiedział Święty.

Widział postać z gruszkowatą głową, z nogami na biurku i pogniecionym kapeluszem zsuniętym na oczy, które były jedynymi iskierkami na wyschłej, pokerowej twarzy, widział go tak dobrze, jakby siedział naprzeciw.

– Z tego co pan mówił wynika, że wie pan cholernie dużo o tej sprawie – powiedział wreszcie naczelny. – Co właściwie robi pan w Galveston, dlaczego nie przyniesie mi pan całej historii i nie zarobi prawdziwych pieniędzy?

– Pomyślę o tym – powiedział Święty – gdy tylko pogadam z Vaschettim.

Odłożył słuchawkę i próbował zebrać myśli przy szklance z wysokim dnem.

Pociągnął właśnie głębszy łyk, gdy telefon zadzwonił ponownie. Tym razem był to Waszyngton.

– Hamilton – usłyszał – mam nadzieję, że nie trafiłem na niezręczną sytuację.

Simon uśmiechnął się i powiedział:

– Nie.

– Na razie wiem o nich tyle. Podczas prohibicji były w Milwaukee dwa pistolety i nazywali się Johan Blatt i Fritzie Weinbach. Zwykle pracowali razem. Gangsterzy.

Mieli jedno czy dwa oskarżenia o napaść oraz nielegalne posiadanie broni i tak dalej. Tuż przed wojną byli związani z działalnością nieamerykańską w Chicago. Mogę ci przeczytać ich akta, ale wyglądają na parę zbirów do wynajęcia.

– Nie trudź się – powiedział Święty. – Co z Marisem?

– Na razie nic. To nazwisko nic nikomu nie mówi. Czy nikt nie dostrzegł choćby koloru jego oczu?

– Nikt nie widział Marisa – powiedział Święty. – Nic o nim nie wiadomo. Znajdę go jednak prędzej niż ty. Ciągle działam. Napij się jeszcze mocnej kawy i czekaj na telefon. Ponownie odwiesił słuchawkę i raz jeszcze sięgnął po szkło z nieposkromionym zdecydowaniem.

Maris – nikt go nie widział. Ten człowiek mógł okazać się czymś więcej, niż tylko odpowiedzią na zagadkę postawioną przez przedwczesną kremację Stephena Matsona.

Ten człowiek mógł zmaterializować się jako jeden z legendarnych oszczepników, którzy byli odpowiedzialni za wypad Simona Templara w roli zwiadowcy nawet aż do Galveston.

Temu człowiekowi bardziej niż komukolwiek innemu mogło zależeć na zawartości walizy ze strusiej skóry, o której mówił Matson w chwili śmierci.

Albo na notatkach czy pamięci Nicka Vaschettiego, wspaniale skruszonego grzesznika ze strachu lub pod wpływem sumienia.

Zdusił niedopałek i zjechał na dół.

Port Arthur Jones, lśniąc jak wypucowany heban, podszedł do niego, gdy tylko wysiadł z windy.

– Panie Templar, detektyw Yard właśnie poszedł do domu. Zastąpił go inny detektyw.

Nazywa się pan Callahan. Siedzi ukryty za drugą palmą w holu. Krępy, łysy dżentelmen w szarym ubraniu...

Simon wsunął następny papierek z Lincolnem w różową dłoń chłopca.

– Jeśli pójdzie tak dalej, Po't Arthurze – powiedział – to skończysz jako kapitalista, nawet gdybyś tego nie chciał.

Był to dobrze przemyślany ruch, który powinien zostać wykonany wcześniej; wymiana aż za dobrze znanego Yarda na kogoś, kogo nie znał Święty. Simon dziwił się, że nie zrobiono tego wcześniej. Ale może dziwaczny relikwiarz Służby Selektywnej nie opuścił wydziału policji w Galveston mimo, że bezlitośnie wykorzystywał personel.

Niewiele go to obchodziło, ale w tej chwili, dopóki nie dotrze do Vaschettiego, Simon Templar wolał poruszać się bez politycznie skomplikowanej ochrony galwestońskiej żandarmerii.

Dlatego też nabrał Callahana na dziecianną sztuczkę; wsiadł do samochodu, włączył światła i majstrował przy rozruszniku, a następnie wysiadł drugimi drzwiami, złapał przejeżdżającą taksówkę i odjechał, gdy tymczasem detektyw nadal tkwił na koźle policyjnej furmanki, czekając aż Święty podniesie kotwicę.

Był to najprostszy sposób, który jeszcze był nieznany strażnikom prawa w Galveston.

Teraz Simon najbardziej pragnął mieć podpisane oświadczenie Vaschiettego z obiecaną wcześniej listą nazwisk i adresów. Była to dla niego cenniejsza broń niż pistolet, który nadal tkwił pod lewą pachą, czy nóż, który czuł przy każdym ruchu prawej nogi.

Hotel Campeche znajdował się przy Water Street i był bardzo popularny, bo przy wejściu do niego kłębił się tak wielki tłum, że aż tamował ruch uliczny. Święty wysiadł z taksówki o parę domów dalej i wszedł w ten tłum. Czuł pod nogami stłuczone szkło, gdy przepychał się między ludźmi, ale nie zastanawiał się nad tym, póki nie zauważył, że ludzie patrzą w górę na dziurę w markizie. Wykorzystując swój wzrost zdołał ponad głowami innych dostrzec punkt centralny całego zgromadzenia. Na niewielkiej przestrzeni spryskanego krwią chodnika leżała bezkształtna masa, a spod koca, który ją okrywał, wystawała jedna noga.

Już wiedział, ale musiał sprawdzić.

– Co się stało? – spytał gapiącego się sąsiada.

– Facetowi znudziło się życie – padła zwięzła odpowiedź. – Wyszedł przez okno z ósmego piętra. Nie widziałem jak wyskakiwał, alei przebił markizę jak bomba.

Simona nie kusiło zerknięcie pod koc, by zobaczyć, czy po twarzy można go rozpoznać.

Podszedł do umundurowanego policjanta, który stał z dość zadowoloną miną nad zwłokami i zapytał zimno:

– Kiedy to się stało?

– Zaledwie pięć minut temu. Jeszcze nie ma karetki. Właśnie szedłem drugą stroną ulicy i spojrzałem...

Święty nie pozwolił swym uszom wysłuchać reszty opowieści, zbyt pochłaniała go myśl, że teraz następną postać tej szczególnej sztuki wysłano do Wielkiego Donikąd w środku nie dokończonych zwierzeń. Chyba jedynie najbardziej staroświecki scenarzysta zastanawiałby się nad taką fabułą; albo miał bardzo mgliste pojęcie o talentach literackich autorów książek Przeznaczenia, albo nagłe zgaśnięcie Nicka Vaschettiego było następnym posunięciem w boskiej intrydze, której celem było utrudnienie życia Simonowi Templarowi.

IX

Wiele myśli krążyło po głowie Simona, jakby posuwały je zęby doskonale dopasowanych kół.

Niegodziwi włamali się do jego pokoju w Alamo House wiedząc, że wyszedł i nic nie znaleźli. Mieli jednak mnóstwo czasu na szukanie i było to dla nich dziecinnie łatwe, bo wiedzieli, że jest z Olgą Ivanovitch, a miejsce ich kolacji zostało wybrane zawczasu. Święty był przygotowany na zasadzkę z wybuchami i lecącymi kulami, ale nie na zwykłe odwracanie uwagi, a właściwie po co mieliby go odciągać, skoro jeden z niegodziwych przebywał z nim i notował wszystkie ruchy? Zostawił Olgę Ivanovitch w samochodzie przed gmachem Times-Tribune jako osłonę, jak to sam powiedział. Nie przyszło mu do głowy, że może być także osłoną dla reszty niegodziwych. Siedziała osłaniając wejście frontowe, a oni zajęli się pozostałymi. Gdy wyszedł od tyłu, poszli za nim. Gdy wkroczył do Miejskiego Czyścica, przypomnieli sobie o Vaschettim i musieli się domyśleć, że to z nim poszedł się spotkać. Dlatego jeden z nich czekał na możliwość uciszenia Vaschettiego. Gdy ten został uwolniony i wrócił do Campeche, uzyskali znakomitą okazję. Było to bardzo proste.

A Olga Ivanovitch cały czas wszystko kontrolowała. Wszystkie te punkty połączyły się w jego myślach, gdy stanął przed biurkiem zastępcy dyrektora, próbującego bezskutecznie udawać, że wszystko jest w pełni opanowane.

Simon odchylił klapę marynarki w zwyczajowym geście i choć nie pokazał niczego, rzucił zaczepnie.

– Policja. Który pokój miał Vaschetti?

– Osiemset dwunasty – powiedział zastępca tonem dręczonego przedsiębiorcy pogrzebowego. – Jest tam teraz detektyw hotelowy. Zapewniam pana, że...

– Kto był z nim w chwili skoku?

– O nikim nie wiem. Przyprowadził go jeden człowiek z Times-Tribune i wykupił czek.

Potem reporter wyszedł i...

– Nie miał potem żadnych gości?

– Nie, nikt o niego nie pytał. Jestem tego pewien, bo cały czas znajdowałem się w recepcji.

Przyjąłem czek i powiedziałem panu Vaschettiemu, żeby zwolnił pokój rano, a potem zacząłem gawędzić z moim przyjacielem.

– Gdzie są windy?

– W tamtym kącie. Chętnie pana zaprowadzę, panie...

– Dziękuję. Sam naciskam guziki – powiedział Święty niegrzecznie i ruszył we wskazanym kierunku, zostawiając zastępcę dyrektora w połowie zdania.

Miał bardzo mało czasu, jeśli w ogóle miał. Właściwi funkcjonariusze mogą się zjawić w każdej chwili, a chciał przedtem coś sprawdzić.

Wjechał windą i znalazł numer 812. Przez otwarte drzwi widział detektywa hotelowego rozglądającego się z rękoma w kieszeniach i kawałkiem zgasłego cygara w kąciku ust.

Simon wkroczył z dokładnie taką samą pozą i ruchem dłoni w kierunku klapy.

– No i co? – spytał kłótliwie.

Detektyw hotelowy nie wyjął ręk z kieszeni, a wzruszając ramionami i wskazując ogryzkiem cygara nie musiał już dodawać – masz oczy, nie?

Simon wyjął paczkę papierosów i pozwolił pracować oczom.

Wystarczyło mu jedno pobieżne spojrzenie, by wiedzieć na pewno, że nadal się

spóźnia. Choć nie przeszedł tędy huragan, to pokój zdradzał wszelki oznaki przetrząsania.

Łóżko było rozwalone, a materace pocięte w kilku miejscach, podobnie jak wyściółka jedyne fotela. Szafa stała otworem, a jej porozrzucana zawartość wałała się na podłodze. Wyciągnięto wszystkie szuflady i zawartość rozsypano na dywanie. Widok przypominał pokój Świętego w Alamo House, ale bałagan był jeszcze większy. Nie warto było tracić chwili na szukanie. Fachowcy zrobili to lepiej przed nim.

Ktoś ma już dziennik Vaschettiego, albo nikt go tu nie znalazł. Święty zapalił zapałkę o paznokciec kciuka i odgrodził się od reszty błękitnym dymkiem.

– Co z ludźmi, którzy byli tu z Vaschettim? – zapytał.

– Nigdy nie widziałem z nim nikogo – odparł natychmiast hotelowy łapacz.

Miał szeroki uśmiech i wystający brzuch, tak iż przypominał trochę żabę.

– Nie przedstawiłeś się – powiedział. – Jestem Rowden.

– Nie słyszałeś tego hałasu, Rowden?

– Zupełnie. Dopiero trzask, z jakim Vaschetti walnął w markizę. Nie wiedziałem nawet, że wypuścili go z aresztu. Gdzie Kinglake? Zwykle przybywa osobiście do takich wypadków.

– Zaraz będzie – obiecał Simon z przekonaniem.

Gdy zwęził szerokie zarysy sceny, zauważył jeden fascynujący szczegół. W środku porozrzucanych na podłodze rzeczy leżała na boku niemal nowa waliza, otwarta i pusta. Podszedł, by przyjrzeć się jej bliżej.

– Ktoś już tu był? – zapytał.

– Nie. Jesteś pierwszy. Dziwne, że cię nie znam, Myślałem, że znam wszystkich tajniaków w Galvestone.

– Może i znasz – powiedział Święty zachęcająco. Niewątpliwie o tę walizę chodziło Matsonowi. Przy rączce dojrzał nawet złote inicjały H.S.M. Ale jeśli w wyściółce było kiedyś pudełko ze strusiej skóry, to już zniknęło. Podszewka była pocięta na wstążki, tak iż nawet szpilka by się za nią nie uchwalała.

Był to malowniczy eksponat z muzeum tajemnic, ale nic więcej. Pytanie brzmiało, skąd się tu wziął i dlaczego? Johan Blatt zabrał ją z Ascot, a nie trzeba było bujnej wyobraźni, by połączyć go z niedawną i nieudaną próbą dokonania lewitacji. On i Vaschetti różnili się bardziej niż ogień i woda.

Simon Templar zastanawiał się nad tym głęboko przez jakiś czas, podczas gdy detektyw hotelowy kołysał się na piętach i żuł ogryzek i cygara. Na pewno nadałby się do wysłedzenia hotelu, pomyślał, Święty. Resztę zostawiał naturze i policji.

I Pozostawali tak bez zmian, aż w korytarzu rozległy się głosy i tupot nóg.

Hałas narastał ciągle, zwiastując zbliżanie się porucznika Kinglake’a i jego legionistów.

– Aha – stwierdził mądrze Yard na widok Świętego.

Kinglake nie tracił czasu, żeby okazać zdziwienie. Odwrócił się gwałtownie do przypominającego żabę łapacza hotelowego.

– Skąd u diabła wziął się tu ten ptaszek?

– Przybyłem tu z własnej woli – wtrącił się Simon. – Zastanawiam się nad przeprowadzką i chciałem sprawdzić, jakie są tu pokoje. Niech pan nie wini Rowdena. Próbował opowiedzieć o materacach. Jeśli się pan przyjrzy, to zobaczy pan, że nawet je pociął, by pokazać mi wnętrze.

Porucznika to nie rozbawiło. Nigdy nie wyglądał na człowieka, którego łatwo rozbawić, a już na pewno w ten wieczór nie można się było po nim spodziewać

szampańskiego humoru.

Patrzył smutnie na Świętego:

– No dobra, Templar. Doprosił się pan tego. Ostrzegałem, co się stanie, jeśli nie przestanie pan wtykać nosa w sprawy tego miasta. Doigrał się pan. Zatrzymuję pana jako świadka w sprawie śmierci Nicka Vaschettiego.

Łuk brwi Świętego był anielsko niewinny.

– W jakiej sprawie, towarzyszu? Przecież facet wyskoczył. Wyszedł przez okno, zapominając o spadochronie. Słyszał o policji w Galveston i wiedział, że najcenniejszą rzeczą, jaką może im ofiarować jest niepodważalne samobójstwo. Dlaczego zostawił pan w pościeli swą ukochaną żonę i przybył tu, by podwyższyć sobie ciśnienie krwi?

Usta Kinglake'a zwęziły się w szparkę, a kark poczerwieniał, mimo to cudownie nad sobą panował. Wściekłość wyrwała się jednak z jego szarych oczu.

– Czemu nie oszczędzisz sobie pan żarcików do gazety? – spytał nieprzyjemnie. –

Tyłeś już pan tu namieszał...

– Czemu pan sądzi, że mam z tym coś wspólnego?

– Rozmawiał pan z Vaschettim w areszcie. Załatwił, że go wypuścili i spotkał się z nim tutaj.

To nazywam mieszaniem się.

– Musiał pan zwariować – zauważył Simon. – Pozbyłem się pańskiego Callahana.

Kto panu powiedział?

– Ja – usłyszał głos Times-Tribune.

Redaktor stał w drzwiach ze śladami przeprosin na łagodnej i poważnej twarzy.

Simon obejrzał się i obdarzył go nieprzychylnym spojrzeniem.

– Dzięki. Czy wypuści pan wydanie specjalne i ogłosi o tym całemu światu?

– Nie – odparł sztywno redaktor. – Działalem zgodnie z naszą umową, gdy tylko się dowiedziałem o Vaschettim.

– Skąd się pan dowiedział?

– Reporter, który miał go pilnować i czekać na pana, wrócił do redakcji.

Spytałem go, po co wrócił do redakcji, a on odpowiedział, że podobno kazałem mu wracać. Ponieważ nie wydałem takiego polecenia, domyśliłem się, że coś nie gra. Nie czułem się zbyt pewnie, więc postanowiłem tu przyjść i sprawdzić. Na dole spotkałem porucznika Kinglake’a i opowiedziałem mu o wszystkim.

– A potem przyszliśmy tutaj – powiedział lekko Kinglake – i przyłapaliśmy Świętego.

Imię to zrobiło wielkie wrażenie na drzemającym detektywie hotelowym.

– Jezu – rzucił w nagłym podnieceniu – to Święty! – Wyglądał na rozczarowanego, że to odkrycie nie zrobiło na nikim wrażenia i pocieszył się cygarem. – Powiedział mi, że jest z policji – dodał ponuro.

– To samo powiedział zastępcy dyrektora – stwierdził Kinglake z pewną satysfakcją.

– Popęłnił pan wykroczenie i zostanie pan zatrzymany.

Simon przez chwilę przyglądał się uważnie zaciętej twarzy porucznika.

– Wie pan – powiedział – coś mi mówi, że naprawdę zamierza pan robić trudności.

– Ma pan świętą rację – odparł Kinglake bez urazy.

W tejże chwili detektyw Yard niespodziewanie krzyknął. Myszkował po pokoju z tą samą metodycznością, z jaką przetrząsał równinę na której Henry Stephen Matson znalazł swój stos pogrzebowy.

– Poruczniku, niech pan zerknie. Przyniósł pociętą walizę wskazując na inicjały.

– H.S.M. – przeczytał z dumą. – Henry Stephen Matson. To mogło należeć do faceta,

którego znaleźliśmy wczoraj.

Porucznik Kinglake badał walizę dokładnie, ale Święty nie oglądał walizy.

Coś innego przykuło jego uwagę. Ciągłe łamał sobie głowę nad tą torbą i dość nieuważnie przypatrywał się bigosowi na podłodze, podczas gdy Yard budował zręby teorii.

– Poruczniku, może ten Vaschetti to Blatt. On zabrał bagaż Matsona, a gdy go niegodziwi wyrzucili przez okno, mogli rozerwać tę torbę i dokonać pozostałych rzeczy.

– Bracie – powiedział Święty z pełnym szacunkiem – sądzę, że zostaniesz następnym szefem policji. Jak widzisz, zostały wyrwane całe pasy wyściółki, ale założę się, że w całym tym bałaganie nie znajdziesz kawałeczka podszewki. Sprawdziłem, czy niegodziwi byli na tyle sprytni, by o tym pomyśleć, ale nie sądzę. Walizę nie tu porznięto. Została podrzucona, by zmylić takiego geniusza jak ty.

– Po co? – spytał krótko Kinglake.

– By wszystko zamieszać. Przypuszczalnie w nadziei, że w zamieszaniu popuści pan smycz Blattowi.

– Jeśli w ogóle jest jakiś Blatt.

– Jest – wtrącił się redaktor naczelny. – Mówiłem już panu. Vaschetti mówił o nim i podał rysopis.

Porucznik oddał walizkę pomocnikowi i spojrzał twardo na Świętego.

– To nic nie zmienia – oznajmił zimno. – Liczy się tylko to, że wszystko dzieje się w granicach Galveston. Tym razem nie ma wątpliwości co do mojej jurysdykcji. Dość już mam pańskiego deptania mi po piętach, Templar. Chciał pan wyciągnąć Vaschettiego z mamra. Tutaj się z nim umówił. Zastaję pana w środku tego bałaganu, a wszystko wskazuje, że Vaschetti nie wyskoczył, a został wypchnięty. Wszędzie pana pełno, od

znalezienia ciała Matsona po przejażdżki z Olgą Ivanovitch. Wsadzę pana i będę miał pana stale na oku.

– Czy w ciągu pół godziny doszło do przewrotu politycznego – dopytywał się Święty z ostrą jak miecz ironią – czy też łudzi się pan, że gdy oskarży mnie i zaciągnie do sądu, ja nie powiążę tego z upieczeniem Matsona i nie rozniosę w diabły pańskich planów na spokojne wybory?

Szczęki Kinglake’a stwardniały jak skała, lecz dręczyło go jeszcze coś, co już wcześniej Simon zauważył wokół jego oczu.

– Zatroszczymy się o to później. Teraz będzie pan mógł roznosić w diabły spokojną celę.

Rozżalony Simon westchnął lekko. O wiele przyjemniej byłoby ciągnąć to po staremu, ale nie miał już takich możliwości. Gra szła o zbyt wysoką stawkę, by dbać o przyjemności.

– Niechętnie pana rozczaruję – stwierdził – ale nie mogę pozwolić, by mi pan dalej przeszkadzał.

Powiedział to z taką oczywistą prostotą, że wszyscy zamilkli, jakby za chwilę miała wybuchnąć bomba.

Pierwszy otrząsnął się detektyw Yard, najmniej wrażliwy ze wszystkich obecnych.

– Tego już za wiele! – rzucił podchodząc do Świętego i wyciągając kajdanki.

Robił to wszystko bardzo ostrożnie.

Simon nawet na niego nie spojrział. Patrzył wyłącznie na Kinglake’a, a rysy jego twarzy zaostrzyły się całkowicie. Wyglądał jak bokser na ringu, który ściąga szary, jedwabny szlafrok.

– Chcę z panem pomówić pięć minut na osobności – powiedział.

– Tylko z panem. Oszczędzi to panu wiele kłopotów.

Porucznik Kinglake nie był głupi. Twardy ton w głosie Świętego poruszył klawisz współbrzmiący z jego melodią. Popatrzył długo na Simona i w końcu się zgodził.

– Dobra. Poczekaście na zewnątrz. Proszę.

Następnie usiadł i zaczął machać wyciągniętym pistoletem, podczas gdy pozostali współpracownicy wychodzili pełni zdumienia, rozczarowania i niechęci.

Gdy drzwi zamknęły się, na surowej twarzy Kinglake’a widoczne było zakłopotanie, lecz pokrył je twardymi jak cios maczugi słowami.

– No – powiedział nieubłaganie – jesteśmy sami, jak chciałeś. Jeśli jednak myślisz, że będziesz szybszy niż ja, to nie zaoszczędzisz na rachunkach za szpital.

– Chcę, by wziął pan ten telefon i zadzwonił do Waszyngtonu – odparł Święty bez urazy. – Pod numer pięć, pięć, sto. Wewnętrzny pięć. Jeśli nie zna go pan, miejscowe FBI chętnie go potwierdzi. Odezwie się Hamilton. Potem wszystko zależy od pana.

Nawet na kamiennej twarzy Kinglake’a widać było zaskoczenie.

– Jeśli dam się namówić na tę rozmowę, co panu z tego przyjdzie?

– Sądzę, że Hamilton pęknie ze śmiechu – powiedział Święty – ale może powie panu, żeby zachował pan tę spokojną celę dla kogoś innego.

Porucznik patrzył na niego twardo przez kilka sekund. Potem sięgnął po telefon.

Simon Templar wyciągnął następnego papierosa i rozsiadł się w zniszczonym fotelu.

Prawie nie zwracał uwagi na prowadzoną rozmowę, a jeszcze mniej na rewolwer, który spoczywał na kolanach detektywa. Dla niego ten etap sprawy dobiegł już końca, teraz musiał się zastanowić nad czymś innym.

Gdy usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki otrząsnął się z tego i powrócił do zdemolowanego pokoju. Teraz Kinglake odezwał się w najbardziej ludzki sposób:

– No ładnie. Co u licha mam teraz powiedzieć tym frajerom na korytarzu?

X

Święty potrafił ranić słowem jak drutem kolczastym, ale wiedział też, kiedy i jak okazać miłosierdzie. Uśmiechał się do porucznika bez najmniejszych śladów złośliwości, czy napawania się przewagą. Był wyłącznie praktyczny.

– Niech im pan powie, że się wypowiadałem, że opowiedziałem o wszystkim, ale że nie może pan tego powtórzyć, bo to tajemnica wojenna, którą zajmuje się FBI, ale oczywiście dowiedzą się o wszystkim we właściwym czasie. Niech im pan powie, że jestem ambitnym amatorem, który próbował rozwikłać za trudną sprawę, a pan mnie zdemaskował. A wszak o to chodziło od początku. Niech im pan powie, że zwiędłem jak kwiat, gdy usiłowałem pana nabrać, a pan pozostał twardy. Musiałem się poddać, a pan okazał mi wielkoduszność i pozwolił się wycofać. Może mnie pan wykpić, bo nie zależy mi na dobrej opinii, a panu to pomoże.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym od razu? – pytał Kinglake dość potulnie.

– Bo nic nie wiedziałem o panu, ani o miejscowej – sytuacji politycznej, która, jak się okazało, nie było bez znaczenia. Jeszcze mniej wiedziałem o pana ludziach, choćby o Yardzie czy Callahanie. To małe miasto i tajemnica znana jednemu człowiekowi, wkrótce stałaby się powszechną plotką. Wie pan, jak to się dzieje. Wtedy nie zaszlibyśmy daleko.

Święty powiedział to spokojnie, ale szczerze.

Kinglake wyciągnął z kieszonki kamizelki własnoręcznie skręcone cygaro i przyjrzał mu się krytycznie, nim wreszcie odgryzł koniuszek z miną, jakby ukąsił zgniłe jabłko.

Po chwili odezwał się też dość posępnie.

– Zawsze miałem pana za oszusta.

Uśmiech Świętego był niemal nostalgicznie marzycielski.

– Pod względem metod zawsze nim byłem – powiedział miękko. – I może jeszcze będę.

Ale teraz mamy wojnę i niektórzy dziwni ludzie potrafią znaleźć zajęcie dla jeszcze dziwniejszych... Przez jakiś czas – co jeszcze gorsze – sądziłem, że jest pan nieuczciwy.

– Myślę, że wie pan, jak to bywa – odparł Kinglake cierpko.

– Chyba już wszystko sobie wyjaśniliśmy – powiedział Simon z ożywieniem. –

Gramy według nowych reguł. Gdybym zastosował którąś z mych dawnych sztuczek, to może znalazłbym sposób na pana, nawet w obecności innych i wyrwałbym się stąd, bez względu na pana groźby. Już tak robiłem. Pomyślałem jednak, że najlepiej zachować się tak, jak to zrobiłem.

Porucznik spojrział z poczuciem winy na pistolet i schował go do kabury na biodrze.

– No co? – powtórzył, ale tym razem bez groźby. – Obdarzy mnie pan jedną z tych historii, które powinienem znać od początku, czy mam nadal poruszać się po omacku?

Simon z rozmysłem skrócił papierosa wciągając dużo dymu głęboko w płuca.

Przyjrzał się raz jeszcze zmieszanemu porucznikowi. Potem przestał się wahać.

Gdyby nie potrafił oceniać ludzi na wylot, nie byłby tym, kim był, ani nie znajdowałby się właśnie tu. Mylił się często, ale nigdy wtedy, gdy były ważne sytuacje czy ludzie.

Powiedział lekko, jak zwykle po podjęciu decyzji.

– Oto jedna z tych historii...

Podciągnął nogę, oparł brodę na kolanie i zaczął mówić wśród kłębow dymu.

– Muszę przyznać, że teoria, którą przedstawiłem w Times-Tribune nie wynika

wyłącznie z mego talentu detektywa. To stara historia. Ona sprowadziła mnie do

Galveston i zetknęła z panem. Jediną rzeczą, jakiej się nie spodziewałem i na którą nie

wpadałem od razu, był fakt, że spalone ciało, na które całkowicie przypadkowo natrafiłem na moczarach, to był Henry Stephen Matson – facet, którego miałem odnaleźć.

– Dlaczego go pan szukał?

– Bo był sabotażystą. Pracował w dwóch czy trzech fabrykach zbrojeniowych, w których zdarzyły się sabotaże, choć on nigdy nie znalazł się wśród podejrzanych. Nie były to szkody gigantyczne ale jednak dość poważne. FBI sprawdziła to, ale trafiła na niego tylko dzięki jednemu z tych niebywałych przypadków, które zdradzają nawet najbardziej ostrożnych przestępców. Miał paskudne przyzwyczajenie: gdy wychodził, zostawiał zapalone światło.

Kiedyś jego gospodyni gasiła je po raz setny, postanowiła więc zostawić mu karteczkę z uwagą na ten temat. Nie zabrała jednak ze sobą ołówek i nie znalazła żadnego na wierzchu. Zaczęła go więc szukać i w jednej z szuflad znalazła ołówek automatyczny. Zaczęła pisać, ale złamała grafit.

Próbowała znaleźć coś innego do pisania, ale jej się nie udało. Wtedy rozkręciła ołówek i nagle wypadły z niego bardzo dziwne rzeczy. Gospodyni była sprytną kobietą, odłożyła wszystko na miejsce, i poszła na FBI, bo wiedziała, że Matson pracuje w zakładach zbrojeniowych. To bardzo niewiarygodna historia, ale ciągle się takie zdarzają.

– Któregoś dnia pewnie zdarzy się panu – powiedział Kinglake, ale wyraźnie odprężył się, a nawet próbował wykrzywić się jakby w uśmiechu.

Święty mówił dalej.

– Zdarzyło się... W każdym razie odtąd śledził Matsona człowiek z FBI, tak iż nie miał on już możliwości zniszczenia czegokolwiek.

– Czemu go nie aresztowano?

– Bo jeśli działał już w innych miejscach, to prawdopodobnie miał kontakty z całą organizacją sabotażową, której szukaliśmy od dłuższego czasu. Dlatego pojechałem do St. Louis, lecz nim się tam zjawiłem, on czmychnął. Nie sądzę, by wiedział, że jest śledzony. To Quenco okazało się twardym orzechem, twardszym niż wszystko, z czym miał dotąd do czynienia. W fabryce materiałów wybuchowych nie zdarzają się małe sabotaże. Jest po prostu wielki huk i ogromna dziura w ziemi. Matson pewnie się przestraszył i zwiął, ale nie był sprytnym uciekinierem. Nie dziwię się, że złapano go Jak szybko. Zostawiał ślady, które wytropiłby nawet Indianin z drewna. Dojechałem za nim do Baton Rouge i tam się dowiedziałem, informacja przyszła z Waszyngtonu, że wystąpił o paszport i podał nowy adres: hotel Ascot w Galveston.

Obawiał się pewnie, że ktoś wejdzie mu w drogę. I wszedł – z zapalkami.

– Zamierzał pan zdobyć jego zaufanie i wysondować.

– Coś w tym rodzaju. Gdyby się udało. Gdyby nie, spróbowałbym wszystkiego, nawet posunąłbym się do ostateczności. Ale to zostawiłbym na koniec. Myślałem jednak, że może mieć jakieś notatki. To prawdopodobne u każdego faceta, który chce się zabezpieczyć.

Jak u Vaschettiego... Szukałem tego pudełka ze strusiej skóry pod podszewką jego walizy, potrzebowałem też rejestru podróży i spotkań Vaschettiego. Mając te dwie rzeczy, moglibyśmy praktycznie zlikwidować całą siatkę sabotażową od wybrzeża do wybrzeża.

– Co za my? – spytał Kinglake z ciekawości. – Słyszałem już ten królewski sposób mówienia o sobie; chodzi o wydział FBI?

Simon pokręcił głową.

– To coś znacznie większego. Ale proszę mnie nie pytać, ani nikogo innego. I lepiej

niech pan zapomni, co mówiłem.

Żując cygaro, Kinglake przez chwilę przyglądał się Świętemu uważnie.

– Chcę tylko, by pan wiedział, że uważałem zabójstwo Matsona za zwykłe porachunki gangsterskie i tylko dlatego zgodziłem się zatuszować sprawę. Gdybym przypuszczał, że chodzi o coś takiego, nikt nie namówiłby mnie do przymknięcia oczu.

Święty skinął głową: – Tak sądziłem. Dlatego z panem rozmawiam. Siedzimy tu już dostatecznie długo. Sklecił więc pan swoją historię, a ja muszę ruszać.

– Wie pan dokąd?

– Tak – Simon wstał i zgniół papierosa. – Może jeszcze dziś w nocy skontaktuję się z panem.

Porucznik wyciągnął dłoń.

– Powodzenia.

– Dziękuję – odpowiedział Święty i wyszedł.

Rowden, Yard i naczelny Times-Tribune stali na korytarzu i patrzyli ze zdumieniem, gdy Simon zbliżał się do nich. Potem rozległ się głos porucznika.

– Pan Templar wychodzi. Możecie wracać.

– Wiesz – powiedział Simon radośnie do detektywa Yarda – życzę ci, byś miał na imię Scotland.

Ruszył dalej, a jego ulubiony wywiadowca gapił się na niego jak bernardyn, gdy uratowana ofiara nie pije z beczułki.

Kiriglake przeszywającym wzrokiem badał puste, zdumione twarze powracających współpracowników. Zacisnął cygaro mocno w zębach i wziął głęboki wdech.

Jednocześnie zignorował całkowicie podsunięte mu przez Simona Templara rzekomo przekonujące wywody i zdecydował się na własne działanie.

– Jeśli chcecie wiedzieć o czym rozmawialiśmy – warknął – to Templar próbował wywieść mnie w pole, a ja udawałem, że tak się stało. Teraz zobaczę, dokąd mnie doprowadzi.

Yard, zostaniesz tutaj. Sam będę śledzić Świętego i rozwalę wszystko, jeśli nawet będzie to trwało do Gwiazdki.

– Poruczniku – zaprotestował osłupiały Yard – ale co z szefem? Co z...

– Szef – odparł krótko Kinglake – komisarz, szeryf i wszyscy inni mogą...

Nie powiedział, że mogą mu skoczyć, dać buzi czy zastosować inne z przyjętych niedomówień. Bardzo wątpliwe zresztą, czy byliby w stanie wykonać to, „co mogli” według porucznika. Kinglake nie przejmował się jednak dokładnością. Miał własny cel, znacznie dlań ważniejszy i wychodząc rzucił z nieukrywaną złością swe niezwykle oświadczenie.

Również Simona Templara pochłaniała jedna tylko sprawa. Morderstwo Matsona było mu nie na rękę, ale musi przestać się nim tak przejmować. Większym nieszczęściem stało się zamordowanie Vaschettiego, lecz wytłumaczenia, które mógł znaleźć, były zaledwie lichą zasłoną wobec własnego, bezlitosnego krytycyzmu. Zdołał już jednak przekształcić tę reakcję w siłę napędową, która będzie go wiodła do celu. Niegodziwcy, którzy zamordowali dwóch ludzi niemal pod jego nosem i na ułamek sekundy przed zdobyciem cennych informacji, postępowali z taką bezczelnością i zuchwalstwem, że pragnął ich załatwić z taką mocą, jak jeszcze nikogo.

Gniew Świętego zmienił się w zimną brawurę, bardziej dziką niż ta, z jaką szedł z komendy policji do redakcji Times-Tribune. Ten obecny stan mogła ukoić tylko krew. Myślał, że teraz już wie, gdzie szukać odpowiedniej krwi.

Pojechał taksówką do Niebieskiej Gęsi, ale tym razem kierowca nie musiał za niego

ręczyć.

Bramkarz zapamiętał go i wpuścił od razu. Przeszedł w niebieskim, harmonijnym półmroku do baru. Był niby swobodny i spokojny, ale napięte nerwy nie miały nic wspólnego ani z lenistwem, ani z dobroduszością. Dojrzał Olgę Ivanovitch. Siedziała przy stoliku z inną dziewczyną i dwoma facetami, którzy wyglądali na hurtowników. Pomachał jej tylko z daleka i znalazł stołek przy barze. Wiedział, że podejdzie do niego i czekał na to pogodnie, podczas gdy krzepki, jasnowłosy barman sporządził skomplikowaną mieszankę dla kwartetu z drugiego końca spelunki.

Usiadła obok. Poznał ją, nim jeszcze zobaczył, po perfumach i zimnym aksamicie dłoni.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała. – Czy już wszystko załatwiłeś?

Zachowywała się dokładnie tak samo jak mówiła, serdecznie i słodko, jakby radowała się na jego widok, jakby śmierć nigdy nie uderzyła obok niej, ani nie spacerowała z jej znajomymi.

Simon wykonał głową gest w odpowiedzi na pytanie, choć trudno było określić, co oznaczał:

tak czy nie.

– O mało co mnie tu by nie było – dodał natychmiast. – Miałem nadzieję, że uda mi się wrócić do domu z dobrą książką z obwoźnej biblioteki.

– Co to za książka?

– Autobiografia jednego faceta. Miałem już ją wziąć, gdy zniknęła. Wypożyczył ją niejaki Nick Vaschetti. Nie przeczytał jej jeszcze, ale skończył już. Może wiesz, gdzie jest teraz?

Jej oczy zmatowiały.

– Dlaczego tak powiedziałeś? – zdawała się mieć kłopoty z wymową.

– Wielu ludzi czyta. Zdarza się to i mnie.

– Chodziło mi o to, że ten... ten Vaschetti... nie przeczytał jej jeszcze, ale skończył już?

– Przerwano mu czytanie – wyjaśnił lekko Święty. – Tak się zmartwił zabranieniem książki, że wyszedł z ósmego piętra przez okno, przy pomocy dwóch twoich kumpli. Patrzył jak delikatny odcień ciepła kości słoniowej na jej twarzy przechodzi w chłodny alabaster.

– Nie żyje?

– Cóż – odparł Święty – do chodnika miał kawałek drogi, a ze względu na niedobory gumy nie odbił się najlepiej.

Barman stanął nad nimi wyczekująco.

– Dla mnie Peter Dawson, co pija pani chyba wiesz. – Patrzył z zainteresowaniem, jak tamten zgrabnie pracuje.

I wtedy nagle wszystko stało się dlań jasne, było to jak przebudzenie pod prysznicem z lodowatą wodą.

Powoli odzyskiwał oddech i mógł mówić tym samym głosem, choć już bez uśmiechu.

– Nie znasz zbyt dobrze brata Blatta i jego koleżków, prawda, Olgo? Zwłaszcza Marisa.

Gdybym jednak był trochę bystrzejszy, to zostałbym tutaj i go odnalazł.

Wpatrywała się w niego sztywno, rozwartymi, pełnymi bólu oczami. Dobrze gra, pomyślał cynicznie.

Barman przyrządził im drinki i zaczął skrupulatnie wycierać mokre miejsca na

blacie. Simon zwrócił się do niego.

– Powinienem był zapytać ciebie, prawda, Joe? Mogłeś mi wskazać Marisa.

Wielka kwadratowa twarz zaczęła falować w łatwo przywoływanym uśmiechu.

Święty wiedział, że miał rację, choć doszedł do niej w jednym błyskawicznym olśnieniu i musiał jeszcze pojąć, jak do niej dotarł.

Maris, którego nikt nie zna. Maris, o którym nikt nie słyszał. Prawdziwy niewidzialny człowiek. To o nim mógł mówić zastępca dyrektora z Ascot, choć zaraz o nim zapomniał, gdy powiedział, że gawędził z przyjacielem, kiedy przyszedł tam umrzeć Nick Vaschetti. Nikt nigdy nie widział tego człowieka, ani nie mógł zobaczyć. Nigdy mu się przecież nie przyglądali.

Simon podniósł szklaneczkę i pociągnął łyk.

– Mogłeś mi powiedzieć, prawda? – zapytał teraz twardo, wpatrując się w twarz barmana.

– Wszyscy mówią na ciebie Joe i nie dbają o twoje nazwisko. A chyba nie przedstawiasz się im jako Maris.

To dziwne, że do tej chwili wszystko było jasne, a potem zniknęło w wybuchającym mroku, który zaczął się gdzieś przy prawym uchu i zmienił świat w wieczną noc.

XI

W oddali rozbrzmiewały dzwony. Bardzo ospałe dzwony, które milkły nieokreślenie długo między każdym tytanicznym uderzeniem ich serc.

Simon Templar unosił się ku nim po styksowych wodach, a one biły coraz głośniej i wyżej, w coraz to szybszym tempie.

To on ciągnął za sznur dzwonów. Wydawało mu się śmieszne, że jest dzwonnikiem na własnym pogrzebie, ale właśnie tak było.

Ręce bolały go od szarpania. Czuł się, jakby wrywano mu je ze stawów.

Dzwonienie przeradzało się w ból. Ból, który narastał i pochłaniał go jak ołowiany przyływ... jak tętno...

Jego umysł powoli powracał z ciemności, aż w końcu pojął, że carillon rozbrzmiewa wewnątrz jego czaszki, że ból wzmagą się zgodnie z rytmem serca.

Dostrzegł, że jest w pomieszczeniu pozbawionym okien, o betonowych ścianach. Na środku niskiego sufitu świeciła goła żarówka. To piwnica. Poznał po wszelkiego rodzaju rupieciach, jakie się zwykle składa w piwnicach. Był tu brzydki żelazny piecyk, a pod powałą krzyżowały się rury, poprowadzone z jednego kąta w drugi. Przypominały metalowe robaki poruszające się w dziurach.

Templar znajdował się w pobliżu jednej ze ścian, wychylony w dół i jakby do środka. Zwisał całym ciężarem ciała na wykręconych rękach. Nadgarstki miał przywiązane do dwóch, oddalonych trochę od muru rur, zawieszonych jakieś sześć stóp nad podłogą. Stąd ból w skrępowanych ramionach.

Namacał nogą podłogę i wyprostował kolana. Usunęło to rwący ból w stawach i ścięgna, zmniejszyło bolesny ucisk sznura. Próbował przywrócić normalne krążenie krwi.

Ale tylko ten jeden ruch był osiągamy.

Potem ujrzał Olgę Ivanovitch.

Stała przy ścianie na prawo od niego, przywiązana w ten sam sposób do rur, była jednak przytomna. Nie wyglądała już tak schludnie i ładnie jak w barze. Jeden z warkoczy rozplótł się i opadł na jej ramię, jak złamane skrzydło, a skromna ciemna sukienka była zmięta i rozdarta od kremowego ramienia do wystającej piersi. Przyglądała się, jak Święty odzyskuje przytomność.

Jej oczy prawie świeciły na bladej, ale pięknej twarzy.

Rozpoznanie Olgi najbardziej pomogło Simonowi otrząsnąć się z resztek puszystych pajęczyn oplatających mózg. Ból głowy stał się bardziej znośny, ale czuł, że nie pozwoliłby, aby ktoś dotykał go za prawym uchem.

– Zmieniając aa chwilę temat – powiedział matowym głosem, który powoli stawał się coraz wyraźniejszy i mocniejszy – czym u diabła, walnął mnie Joe – bumerangiem?

Oberwałem wtedy, kiedy ledwo pociągnąłem łyczek tego, co nie było gorsze od trunków, jakie piłem tu już wcześniej.

– Blatt zaszedł cię podczas rozmowy od tyłu i uderzył – powiedziała. – Próbowałam ostrzec cię wzrokiem. Był bardzo szybki, nikt nic nie zauważył. Potem powiedział, że się upiłeś w sztok. Zabrali cię na zaplecze, to wszystko.

Simon rozejrzał się znowu. To wewnątrz przypominało mu wiele podobnych pomieszczeń, w których zdarzało mu się już przebywać. Obrywał już nieraz, był więziony i krępowany w piwnicach.

– A potem, – zauważył – przybyliśmy wspólnie do schronu dla psów.

– To piwnica mojego domu. Można się tu dostać z Niebieskiej Gęsi.

– No, no. Szalejemy na całego. Ani przez chwilę nie jest nudno. Spojrzała nań ze

zdumieniem.

– Żartujesz w obliczu śmierci. Jesteś fatalistą czy idiotą?

– Na pewno zachowałem się jak idiota – przyznał Simon ze skruchą. – A co do

śmierci – nie zakłóci ci snu. Nie miałaś koszmarów o Matsonie, prawda?

– Zbyt wiele widziałam, by mieć koszmary – powiedziała słabo. – Daję ci jednak słowo, że nie pomogłam w żadnym morderstwie. Nie miałam pojęcia, że zamierzają zabić Matsona. Nic o nim nie wiedziałam, tylko to, że jest jednym z nich, i że mam go bawić. A po jego śmierci... co mogłam zrobić? Nie byłam w stanie przywrócić mu życia, ani nawet udowodnić, że to ich sprawka. A Vaschetti... Myślałam, że jest bezpieczny w areszcie, gdy...

– Gdy co?

– Gdy poszłam do jego pokoju, by zobaczyć, czy coś znajdzie.

Święty zaczął zastanawiać się, czy od uderzenia w głowę jest z nim wszystko w porządku.

Patrzył na Olgę jakby była zjawą.

– Szukałaś na przykład rejestru nazwisk i miejsc?

– Czegokolwiek. Myślałam, że może coś ma i chciałam to zobaczyć.

– Po co – aby szantażować?

– Aby oddać FBI, gdy będę miała wszystkiego dość.

Wiedział już, że nie zdoła jej zranić, ale było dlań niespodzianką, że potrafiła go zaskoczyć.

– Chciałaś wydać cały swój gang?

– Oczywiście.

Simon zaczął się zastanawiać. Może lepiej byłoby skoncentrować się na rzeczach

konkretnych. Musiał jednak z podziwem ocenić sposób, w jaki został skrępowany.

Był on właściwie prosty, praktyczny i oszczędny w użyciu sznura, a na dodatek całkowicie wykluczał ucieczkę. Templar nie mógł dosięgnąć węzła paznokciami czy zębami. Nie mógł też sprytnie przeciąć włókna jakimś ostrym kawałkiem, albo spróbować innej sztuczki. Był to jeden z najskuteczniejszych sposobów wiązania, z jakim spotkał się Święty, mający wyjątkowo bogate doświadczenia. Postanowił go zapamiętać i wykorzystać.

Na razie odezwał się bez większej subtelności.

– Ale czy byłoby to honorowe, towarzyszc? Mam uwierzyć, że ktoś tak piękny mógłby upaść równie nisko?

Przez chwilę myślał, że wreszcie wywołał w jej zielonych oczach choć iskrę złości.

– A skąd niby się tu wzięłam – towarzyszc?

– Zastanawiałem się nad tym, ale myślałem, że lubisz być ukrzyżowana.

– Jestem tu, bo przestali mi ufać. Pomogłam przynieść tu ciebie. Chciałam im pokazać, że nadal pomagam. Nie miałam innego wyjścia... Czekałam na szansę...

Skrepowali ciebie.

Pomagałam im.

A potem nagle złapali mnie i też związali. Wyrywałam się, ale nadaremnie.

– Masz taką słodką i uczciwą twarz – dlaczego nie mieliby ci ufać?

– Ze względu na to, co powiedziałaś w Niebieskiej Gęsi – stwierdziła bez urazy.

– Pytałeś mnie, czy mam książkę Vaschettiego. Przedtem myśleli, że ty byłeś pierwszy. Ale gdy Maris usłyszał, że oskarżasz mnie, stał się podejrzliwy. Wiedzieli, że cię lubię i że się spotykamy.

Marisowi wystarczy już małe podejrzenie.

Simon stwierdził, że stanie prosto nie jest wcale tak dobre, jak myślał. Gdy wisiał na ramionach, sznury wrzynały mu się w nadgarstki, ale gdy je odciążył, zmęczenie ramion stawało się powoli torturą. Nie czuł dłoni i nie mógł poruszać palcami.

– Naprawdę sądzisz, że przełknę to na sucho? – spytał szyderczo.

– Nieważne, w co teraz wierzysz – odparła ze znużeniem. – Już za późno. Oboje niedługo zginiemy. Nie możemy uciec, a Siegfried nie zna litości.

– Wybacz, trochę mi się mylą wszyscy ci ludzie, ale kim jest Siegfried?

– Siegfried Maris. Nazywasz go Joe. Jest on chyba przywódcą nazistowskiej organizacji sabotażowej w Stanach Zjednoczonych.

Święty też tak uważał. Doszedł do tego, nim Blatt uderzył go w głowę. Z tego powodu Matson poszedł do Niebieskiej Gęsi. To tłumaczyło, dlaczego trafił tu Vaschetti w swoich podróżach i dlaczego Niebieska Gęś odgrywała tak ważną rolę we wszystkich wypadkach. Była ogniskiem zarazy i sięgała swoimi mackami do miejscowych polityków, naciskając sprytnie tu i ówdzie, wykorzystując ludzkie słabości, aby podminować Amerykę. Pasożytnicze pnącze, które niszczy drzewo, wykorzystując niewielkie schorzenia... Nie było zaskoczeniem, że głównym korzeniem okazał się Siegfried Maris, znany wszystkim jako Joe. Simon wiedział, że poszukiwany przezeń człowiek może okazać się kimś, kogo wszyscy znali. Chciał zawsze tkwić w tle bo wiedział, że ma prawo tam być. Był człowiekiem, którego nikt nie widział w niebezpiecznych miejscach, więc...

– Towarzysz Maris – powiedział Święty – zbyt długo tkwił za kulisami. To nieuczciwe wobec czytelników. Co teraz robi?

– Sądzę, że jest na górze z innymi. Przeszukuje mój dom.

– Na pewno mu się tam spodoba. Jak długo tu jesteśmy?

– Niezbyt długo.

– Czego szuka?

– Książeczki Vaschettiego.

– Dlaczego tam?

– Bo ją znalazłam. Jest w niej połowa pseudonimów i wiele miejsc spotkań w całym kraju.

Maris ją znajdzie. Nie mogłam ukryć zbyt dobrze.

Simon na próbę poruszył lewą ręką. Nic jej nie obciążało. Oczywiście znaleźli i zabrali broń ze sprężynowego olstra. I tak na wiele by się nie zdała. Jednakże...

– A więc to ty przewróciłaś do góry nogami pokój Vaschettiego w Ascot. Ale ta banda myślała, że to ja. Dlatego tego wieczoru, gdy byliśmy razem, przetrząsnęli mój pokój, a mój kolorowy przyjaciel o mało co nie oberwał za wszystko. Niczego nie przeoczyłaś?

Ale ponieważ nadal brakuje niedyskretnych pamiętników Vaschettiego, nie wspominając o notatkach i papierach brata Matsona...

– Mają je – powiedziała apatycznie. – Były w walizie.

Ta informacja była jak cios w żebro.

– No to mamy teraz dobrze przygotowaną scenę w starej izbie tortur, do której mnie wpakowałaś udając, że ukryłem wszystkie te bezcenne dokumenty. Dobrze grasz, Olgo. Klaskałbym, gdybym mógł złożyć ręce. Musisz być pełnoprawnym członkiem aryjskiej łoży podrzynaczy gardeł.

– Myśl jak chcesz – powiedziała obojętnie. – To niczego nie zmieni.

Zawsze potrafiła sprawić, że czuł się winny. Jak teraz, gdy się złościła, gdy nie mógł zniszczyć jej godności. Ta obezwładniająca niewinność była prawdziwa, wypróbowana

i mocna jak lód, po którym się stąpa. Była pewna swych zasad postępowania. Niełatwo jest podkopać takie fundamenty, wymaga to czegoś więcej, niż umiejętności rycia w ziemi.

Powiedziała bez żadnych uczuć.

– Uważasz mnie za sprzedajną awanturnicę. Nie zaprzeczam. Pracowałam dla Marisa, i dla innych, tylko dla pieniędzy. Ale było tak, dopóki hitlerowcy nie napadli na Rosję. Nie wierzysz oczywiście, by zachłanna awanturница mogła mieć serce albo sumienie. Ale po tamtej agresji wszystko się u mnie zmieniło... Udawałam, że tak nie jest. Dalej dla nich pracowałam, brałam od nich pieniądze, robiłam, co kazali, starałam się utrzymać ich zaufanie. Ale czekałam tylko na okazję, by posłać ich wszystkich tam, gdzie ich miejsce – do diabła. Mam jednak własne grzechy do odpokutowania. Sama też robiłam złe rzeczy. Dlatego myślałam, że jeśli zdobędę ważne dokumenty, to udowodnię, że się zmieniłam, a wówczas FBI mi wybaczy i pozwoli zacząć wszystko od początku...

Mogę przysiąc, że tak jest; ale czym jest przysięga bez wiary?

Święty myślał teraz dużo jaśniej. Analizował wydarzenia zimno i bezlitośnie.

Wiedział, że Olga nie próbowała już nabrać go na lipne skrępowanie w piwnicy. Jej przeguby były równie dokładnie spętane jak jego. Widział krwawe pręgi w miejscach, w których wrzynały się sznury.

Jej twarz wykrzywiała się od napięcia i bólu.

– Do diabła, towarzyszc – powiedział w zadumie – zakasowałabyś wszystkich w Hollywood. Prawie mnie przekonałaś, że jesteś w porządku. To niemożliwe, by tak było, ale wydaje się, że teraz mówisz szczerze.

Jej oczy nie uciekały przed jego wzrokiem. Nagle Simon zauważył, że są to oczy starej, zmęczonej kobiety, która cierpi.

– Pragnę tylko, byś uwierzył mi przed śmiercią. Byłaby wtedy łatwiejsza, gdy nastąpi już niedługo. Siegfried Maris to jeden z najważniejszych ludzi, jakich ma tu Hitler.

Nie da nam żadnej szansy.

– Przynajmniej możemy czuć się wyróżnieni, że poświęciła nam uwagę taka gruba ryba.

Założył lewą nogę na prawej, ale nie po to, by przybrać elegancką, niedbałą pozę.

Wiedział, że go przeszukano i rozbrojono, ale miał tajną broń, o której niegodziwi czasem...

– Gdybyśmy zdołali schwytać Marisa – powiedziała Olga z beznamiętną, smutną rezygnacją – byłoby to równoznaczne z wygraniem bitwy na froncie. Bardzo pragnęłabym tego.

Wtedy moglibyśmy czuć się szczęśliwi.

Było to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. A jednak było. Wyczuł na łydkach płaskie etui.

Wpadł mu wtedy do głowy fantastyczny pomysł, z którego mogła wyniknąć równie fantastyczna ucieczka. Wiedział, że nieprawdopodobne może stać się rzeczywistością.

Nie odrzucił więc i tej ewentualności.

Oczy mu błysnęły, jak szafiry w słońcu.

– Może jeszcze będziemy szczęśliwi, Olgo – powiedział z nadmiernym ożywieniem.

– Spróbujemy zasłużyć na znaczącą wzmiankę w historii Stanów Zjednoczonych. Jak inni Rosjanie, głaskałaś niewłaściwego psa, nim nie zauważyłaś pomyłki. Wtedy cię ugryzł. Teraz spróbuję coś na to poradzić.

XII

Olga Ivanovitch popatrzyła na niego przekonana, iż zwariował.

– Nie, kochanie, jeszcze nie zwariowałem – powiedział, nim zdążyła się odezwać.

Przypomniał mi się film, jaki widziałem w dzieciństwie, o największym mistrzu ucieczki – Harry’ m Houdini.

– Bardzo ciekawe – powiedziała obojętnie.

Co za szczęście, pomyślał, że nosił buty luźne i wygodne. Inaczej mógłby mieć trudności z ich zdjęciem. Teraz wystarczyło przytrzymać obcas palcami i but spadał bez większego wysiłku. Z drugim było więcej kłopotów, brakowało mu twardej podeszwy.

– Nie zachowuj się jak Rosjanka i nie wpadaj w czarną rozpacz – poprosił. – Świętej pamięci Houdini powinien cię zainteresować. Był prawdziwym mistrzem w wydobywaniu się z sytuacji podobnych do tej. Przypomniałem sobie, jak przywiązano go do wschodniego koła tortur. Zdołał zrzucić buty i skarpetki, a potem palcami stóp rozwiązał węzły na przegubach.

Pozbył się wreszcie drugiego buta. Ze skarpetkami poszło łatwiej. Wystarczyło, że trochę poruszał palcami stóp i strząsnął je.

– Co z tego? – spytała Olga sceptycznie. – Czy potrafisz dosięgnąć stopami do nadgarstków?

– Wracasz do życia – pochwalił ją Simon. – Byłem wygimnastykowanym chłopakiem, zanim zacząłem się zapijać na śmierć i chyba sobie poradzę. – Balansując tułowiem, na jednej nodze zdołał poderwać drugą i kopnąć się w dłoń. – Już. Zawsze wiedziałem, że lata, które spędziłem w balecie kabaretu Follies, kiedyś mi się przydadzą – powiedział zadowolony.

– Ale węzły, jak je rozwiążesz? – W jej oczach dojrzał złośliwą ciekawość.

– Obawiam się, że nie jestem taki dobry – przyznał. – Mam jednak inny pomysł, który Harry mógłby uznać za niedostatecznie przydatny.

Zaczął manipulować przy prawej nogawce gołą lewą stopą. Zdumionym oczom dziewczyny ukazał się trzonek noża, tkwiący w futerale. Chwycił go palcami nogi, wyciągnął i położył na podłodze.

– Gdy w poprzednim wcieleniu bujałem się na drzewach – powiedział – robiłem to z łatwością. Teraz jednak wyszedłem trochę z wprawy.

Skupił się teraz na leżącym nożu, trzymał go między stopami, starając się wykorzystać palec jednej z nóg. Sprawdził chwyt przed wykonaniem ostatniego ruchu.

W piwnicy słychać było jedynie cichy szelest. Nadgarstki bolały go straszliwie, ale nie zwracał na to uwagi. Na czoło wystąpił pot; wreszcie uznał, że nóż chwycił dobrze.

– Teraz przejdziemy do najtrudniejszej części pokazu – powiedział. – Czuję się jak akrobata na trapezie bez siatki zabezpieczającej. W razie pomyłki nie będę mógł powtórzyć numeru.

Ustawił się tak samo, jak przy próbie, tyle, że jeszcze staranniej. Oceniał dokładnie odległość i wciągnął głęboko powietrze.

Potem machnął nogą, starając się ostrym jak brzytwa nożem trafić w krótki odcinek liny między lewym nadgarstkiem a rurą.

Trzykrotnie powtarzał ten sam wahadłowy ruch usiłując uderzać w to samo miejsce liny. Czuł, że za każdym razem puszczało kilka włókien.

Potem nóż wypadł mu spomiędzy palców, lecz zdołał go dosięgnąć. Szybko przysunął go bliżej i ponownie złapał palcami lewej stopy.

Znów machnął nogą. Jeszcze raz. Jeszcze dwa razy.

Nóż wysunął się ponownie i upadł na podłogę. Tym razem znalazł się poza

zasięgiem.

Usłyszał jak wstrzymała oddech. Jej oczy wypełniły się łzami. Zrozumiał wreszcie, że powiedziała mu prawdę. Do tej pory nie miał pewności. Spróbował, bo musiał, lecz cały czas obawiał się, że skończy się to niepowodzeniem. Gdy zdradzi swą tajną broń i uwolni się, jeśli da radę, wtedy ona zawoła Marisa, który wejdzie z pistoletem. To zakończyłoby wszystkie próby walki, które były ostatnią nadzieją. Teraz wiedział. Nie patrzyłaby tak i nie płakała, gdyby była w zмовie z towarzyszami. A więc nie była to gra. Ta pewność miała swą wartość.

Święty uśmiechnął się smutnie, kiedy zbadał sznur, z którym tak walczył. Mimo wszystko była to dobra robota. Lina wyglądała teraz inaczej.

– Zapomniałem wspomnieć – mruknął – że gdy byłem w cyrku, rwałem łańcuchy i wlokłem ciężkie zbiorniki jedną ręką.

Potem nagle z rozpaczliwym wysiłkiem pociągnął z całą mocą za częściowo przeciętą linkę.

Szarpał ją szaleńczo, jednocześnie odpychając się nogami od ściany i ściągając z całej siły ramiona. Na plecach nabrzmiały mu żyły, a pod skórą uwidoczniły się mięśnie.

Przez chwilę czuł się, jakby odgryzano mu dłonie...

A potem postrzępiony i przecięty kawałek sznura pękł z trzaskiem. Simon poczuł, że zakreślił się kilka razy.

Znów usłyszał łkanie dziewczyny, ale tym razem był w nim niemal histeryczny śmiech.

Odzyskał równowagę i zabrał się do węzła, przytrzymującego jego prawą dłoń.

– Opuściłem się – powiedział. – Kiedyś robiłem to dla rozgrzewki.

Miał problemy z węzłami. Dłonie mu zdrętwiały i musiał wymuszać każdy ruch palców.

Starał się pracować jak najszybciej, pomimo koszmarne bólu.

Wreszcie się uwolnił. Przeguby miał podrapane i trochę krwawił, ale nie było to nic groźnego.

Poczucie wolności i triumfu było jak oczyszczający wiatr, przelatujący przez wracające do życia zakątki duszy.

Chwycił nóż trochę niezgrabnie z powodu skurczu dłoni i przeciął węzły krępujące Olgę.

Niemal upadła na niego. Musiał ją przez chwilę podtrzymywać. Jej osłabienie przeszło w coś więcej.

Postawił ją na nogi i nałożył skarpetki i buty. Powrót krążenia wypełnił mu dłonie igłami i szpilkami, ale stopniowo, dzięki bezlitosnym ćwiczeniom, palce przestały być spuchniętymi, drętwymi kiełbaskami.

– Można się stąd wydostać omijając główne wyjście – powiedziała szeptem. –

Możemy się wyślizgnąć. Nic nie zauważą.

– Wyśliznąć się? – spojrzał na nią. – Kochanie, mam wprost przeciwne plany.

Pójdę teraz na górę i zabiorę drogiemu Joe notatki Matsona i pamiętnik

Vaschettiego!

– Jak to zrobisz? – krzyknęła. – Zastrzeli cię jak psa. Wzięli twój pistolet, widziałam.

Możemy zadzwonić po policję...

Simon wyprostował się i spojrzał z brawurowym uśmiechem w jej błagającą, zrozpaczoną twarz.

– Mam nóż – powiedział – a nie wiem, czy policja zdążyłaby na czas. Maris i spółka

mogliby znaleźć wcześniej, co im potrzeba i po prostu podnieść kotwicę. Nie możemy na to pozwolić. Ponadto, mamy zrobić z ciebie bohaterkę. Zapomniałaś? – Jej miękkie, zmysłowe wargi były tuż obok jego twarzy. Po raz kolejny odczuł jak bardzo go Olga pociąga. – Dzięki za samą troskę. Jest to warte co najmniej...

Była już w jego ramionach, pieściła oddechem policzek, pragnęła go całą sobą i już czuł jej wilgotne usta na swoich. Niestety nie miał teraz na to czasu, a może nigdy nie będzie go miał.

Było tak z wieloma sprawami w jego życiu, zdarzały się zawsze zbyt późno, nigdy we właściwym czasie.

Uwolnił się delikatnie z jej ramion.

– Teraz pogadamy z Joe.

Drzwi prowadzące do piwnicy nie były zamknięte. Simon ruszył bardzo ostrożnie po starych, drewnianych schodach. Za sobą czuł Olgę. Nie obejrzał się jednak ani razu.

Drugimi, niezaryglowanymi drzwiami, weszli do sieni domu. Nie było tu żadnego strażnika.

Maris i jego ludzie musieli wierzyć w trwałość konopi manilskich i skuteczność swego sposobu obezwładniania.

Zaufanie to było uzasadnione, podobnie jak Świętego do noża. Wiedział, na co się może przydać i co można nim zrobić. Wiedział, że może go zmienić w narzędzie szybkie jak błysk światła na ostrzu, tak dobre jak strzelba, śmiertelne jak każda kula.

Trzymał nóż delikatnie w odzyskujących czucie palcach. Był silny jak ptak, który czeka jedynie na uwolnienie.

Wyszedł za drugie drzwi. Nasłuchiwał przez chwilę. Dobięł go wyraźny głos

Siegfrieda Marisa, znanego jako Joe. Rozległ się tak nagle i wyraźnie, że można go było

porównać, cofając się w czasie, do pierwszych słów, które rozlegały się z ekranu po erze filmów niemych.

– Ręce do góry, poruczniku. Bez żadnych sztuczek. Nic one panu nie dadzą.

Kinglake warknął dziko.

– Ty sukinsynie – jak się wydostałeś z Niebieskiej Gęsi?

Święty otworzył usta i zamknął bez słowa. Opanował się, żeby nie parsknąć śmiechem. Nawet w takiej chwili radowała go perfekcja ostatniego ruchu.

– Mamy inne wyjścia – odparł Maris spokojnie. – To bardzo przydatne, jak pan widzi. Ale skoro go pan nie znał, to jak pan nas wyszedził?

– Nie wyszedziłem. Gdy nie znalazłem Templara w Niebieskiej Gęsi, pomyślałem, że może znajdę go u Ivanovitch.

– Znakomita dedukcja, poruczniku. I prawidłowa. Przyszedł tu z Ivanovitch. Ale wbrew swej woli... Jak to dobrze, że jest pan detektywem, a nie włamywaczem, prawda? Gdyby był pan włamywaczem, nie wszedłby pan tu tak głośno.

Simon położył palec na gałce drzwi, jakby było to kruche jajko. Zaczął nią obracać z mikrometryczną dokładnością.

– Ty bandyto – powiedział Kinglake. – Co z nimi zrobiłeś?

– Zobaczysz pan sam, gdy dołączy do nich za kilka minut.

– Jesteś Marisem, prawda? Powinienem wiedzieć.

– Wybaczalne przeoczenie, poruczniku. Ale może pan dalej nazywać mnie Joe, jeśli taka wola.

Simon odczekał jeszcze chwilę. Gałka była całkowicie przekreślona.

– Ty też przeoczyłeś parę rzeczy – powiedział Kinglake. – Nie wywiniesz się, Joe.

Mam ludzi na zewnątrz...

Przez drzwi dobiegł niski, twardy chichot Marisa.

– Stary blef, poruczniku, ale zawsze warto go spróbować. Wiem, że przyszedł pan sam.

Fritzie obserwował pana, upewniliśmy się co do tego, nim pozwoliliśmy panu wejść.

Proszę teraz trzymać ręce bardzo ostrożnie, a Blatt zabierze panu broń...

Ten przyjemnie dramatyczny moment wydał się Świętemu odpowiednim do wkroczenia w akcję.

W uchylonych drzwiach ukazała się piękna kompozycja, zastygła w ruchu, artystyczna i zadowolająca. Porucznik Kinglake stał z podniesionymi rękoma, z zaciśniętymi szczękami i ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt, gdy Johan Blatt podchodził do niego. Fritzie Weinbach znajdował się trochę bardziej na prawo, z wielkim pistoletem automatycznym gotowym do strzału. Simon rozpoznał ich, choć nigdy dotąd nie widział: wysoki blondyn i gruby rudzielec o zimnych, bladych oczach.

Zobaczył też Siegfrieda Marisa, po raz pierwszy jako szefa organizacji, a nie jako barmana, zwanego Joe. Różnica była zdumiewająca. Siedział za biurkiem, bez mylącego białego fartucha.

Nie wykonywał też żadnych szybkich, służalczych ruchów. Nosił zwykły ciemny garnitur i niewątpliwie górował nad innymi. Na blacie leżała płaska, jasna aktówka i kalendarzyk kieszonkowy. Simon nawet stąd wiedział, że muszą to być notatki, które sporządzał Henry Stephen Matson i dziennik Nicka Vaschettiego. Maris zgromadził wszystko.

Siedział teraz z kwadratową, potężną twarzą, bez zawodowego uśmiechu.

Gdy spojrział na drzwi, otworzył szeroko oczy. Wiedział od razu, że bez sekundy wahania musi ruszyć na Świętego i załatwić go od razu, obojętnie, co stanie się potem.

Nóż wyleciał mu z dłoni błyskając srebrem, i pomknął jak promień światła prosto w stronę gardła barmana.

Porucznik Kinglake wykorzystał nieoczekiwane zamieszanie. Chwycił pistolet, wypełnił pokój hukiem i suchym, dławiącym zapachem prochu.

XIII

Simon Templar nie robił korbów na rękojeści noża, bo to mogłyby w końcu zmienić wyważenie, a był do tego noża przyzwyczajony i miał nadzieję, że posłuży mu jeszcze długo.

Walczył z rdzą, by go nie stępić. Wytarł więc ostrze bardzo starannie w koszulę Marisa nim schował nóż do pochwy.

– Zasłużył na to – powiedział – podawał najpaskudniejsze drinki, za jakie płaciłem.

Kinglake ładował swój policyjny argument z nieświadomą obojętnością, w odruchowym nawyku sięgającym prehistorii.

– Chciałem być przy tej śmierci – powiedział niemal niezdarnie.

– Byłeś – zapewnił go trochę niepotrzebnie Święty.

– Są jacyś inni?

– Mam nadzieję, że sporo. Ale nie tutaj. Nie musimy się nimi przejmować. Przekaż tylko FBI te rzeczy z biurka. Zajmą się całą resztą.

– Chciałbym wiedzieć, co stało się z tobą.

Święty opowiedział mu.

Kinglake podrapał się po głowie.

– Widziałem w życiu wiele, uwierzysz albo nie – powiedział – ale to przewyższa wszystko. – Dodał potem. – Muszę wymyślić nową historyjkę, zepsułem sam tę, którą mi dałeś.

– Nieważne – powiedział Święty. – Cokolwiek powiedziałaś, możesz teraz twierdzić, że celowo wprowadziłeś ich w błąd, bo nie mogłeś zdradzić się z tym, co wiesz.

Twoja wersja będzie teraz prawdziwa. Pomiń tylko mnie. Masz na biurku mnóstwo dowodów.

Zgarnij trochę chwały dla siebie.

– Ale napisałeś o tych trzech facetach w Times-Tribune.

– No to co? Wiedziałem za dużo i byłem zbyt sprytny. Ty wiedziałeś tyle samo, jeśli nie więcej, lecz grałeś lepiej. Powiesz, że rozpuszczając tak gębę ostrzegłem Marisa i spółkę, że robi się wokół nich gorąco i omal nie zepsułem twego dobrze obmyślonemu planu.

Dlatego tak się na mnie wściekłeś. Musiałeś dokonać nadludzkich wysiłków, by potem uratować sytuację. Mów co zechcesz. Nie zaprzeczę. To mi odpowiada. A nie ma nikogo więcej, kto mógłby nazwać cię kłamcą.

Stalowe oczy porucznika myszkowały po pokoju. Prawdziwość ostatniego stwierdzenia była nie do podważenia.

Potem spojrzał na Olgę Ivanovitch.

Stała bardzo spokojnie za Świętym, jej blada twarz była opanowana i bez wyrazu, zielone oczy wędrowały beznamiętnie po otwartych ranach na ciałach, które zastygły w nagłej śmierci.

Nie sposób było powiedzieć, co myśli i czego się spodziewa. Czekwała w spokoju i bez ciekawości, a jej opanowanie Simon uważał za niemal królewskie. O nic nie pytała i nic nie mówiła.

– Co z nią? – spytał Kinglake.

Kieszenie Simona były opróżnione całkowicie. Pochylił się nad zwłokami i zabrał paczkę papierosów, których nieboszczyk nie będzie już potrzebował.

– Niestety musiałem cię oszukać – powiedział po namyśle. – To nasz człowiek. Jak myślisz, dlaczego związali ją ze mną w piwnicy? Nie mogłem ci tego wcześniej powiedzieć.

Było to takie proste i oczywiste, że porucznik tylko próbował wyglądać, iż przyjmuje to bez zaskoczenia.

– Ale co z historią, którą mam podać?

– Im mniej o niej powiesz, tym lepiej – powiedział mu Simon. – Była tylko jedną z właścioleek Niebieskiej Gęsi, a Maris, udając barmana, wykorzystywał ją.

Załatwił też to mieszkanie, dlatego miał klucz. Ale dziś jej tu nie było. Czmychnęła, gdy wszystko zaczęło cuchnąć. Według ciebie nie warto jej szukać.

Do tej pory Simon nie patrzył na dziewczynę. Zrobił to teraz.

– Przy okazji – rzucił lekko – to dobry pomysł z tym czmychnięciem. Kinglake za kilka chwil zadzwoni na Komendę. Możesz uciec moim samochodem, a ja wyniosę się z Alamo House w ciągu dziesięciu minut. Idź się spakować.

– Tak – odpowiedziała beznamiętnie i posłusznie, wychodząc z pokoju.

Święty ponownie przeszukał niegodziwców już bez ich protestów i znalazł swój pistolet w kieszeni Weinbacha. Umieścił go z powrotem w olstrze.

Porucznik patrzył tęsknie na telefon, wzmocnił lakoniczny zawór na gejzerze z pytaniami i wyciągnął następne miazmatyczne cygaro.

Wróciła Olga Ivanovitch.

Przebrała się w prosty zielony kostium z białymi lamówkami. Jej miodowej barwy włosy były znów przyczesane, a twarz zimna i odświeżona. Wyglądała młodziej niż kiedykolwiek dotąd.

Niosła dwie walizki. Kinglake przyjrzał się jej uważnie.

Simon poderwał się z narożnika biurka, na którym przysiadł.

– Dobra – powiedział – ruszamy.

Po raz ostatni podał rękę Kinglake'owi, wziął bagaż Olgi i wyszedł z nią. Szli

ścieżką wśród bujnych poinsecji i bougainvilli, które w świetle księżycy były tylko ciemnymi plamami. Wody zatoki wtaczały się na plażę poza falochronem w przyjacielsko stłumionym szumie.

Simon Templar ponownie pomyślał o Jeanie Laficie i stwierdził, że może śmiało patrzeć w oczy starego pirata na jego rodzinnym terenie.

Gdy minęli bramę, kroki dziewczyny straciły rytm. Zwolnił wraz z nią i spojrzał na nią. Ona zatrzymała się tak samo.

– Spasiba – powiedziała z dziwnym załamaniem głosu. – Dziękuję ci, dziękuję, towarzyszc... Nie wiem, czy coś z tego będzie, ale dziękuję.

– Co to znaczy, że nie wiesz, czy coś z tego będzie? Światło, które wydostało się z zaciemnionego okna za nimi, jak nieśmiały złodziej, padło bladą aureolą na jej włosy i błyszczało w jej szerokich, mocnych oczach.

– Gdzie teraz pojedę?

Święty roześmiał się.

– O Boże, wy Rosjanie! Słuchaj, kochanie. Dość długo kręciłaś z Marisem. Kilku niegodziwców musi o tym wiedzieć, ale nigdy się nie dowiedzą, że Maris zmienił zdanie na twój temat. Będą myśleć, że wymknęłaś się z Galveston tuż przed atakiem. Możesz więc coś jeszcze zrobić. Tego przecież chciałaś, prawda? Nie żartowałem. Oto co powinnaś uczynić, tylko że następnym razem naprawdę dla FBI czy kogoś innego.

Zabiorę cię do Waszyngtonu, spotkasz się tam z pewnym facetem, który nazywa się Hamilton. Muszę i tak się z nim zobaczyć...

Ponadto to nudna podróż i po drodze możemy się zabawić.